

LISTY Z WIĘZIENIA

**Na co liczy Marek Falenta,
czyli powrót afery taśmowej**



TYGODNIK LISICKIEGO

DO

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 26/328 24-30 CZERWCA 2019

RZECZY

**Sowiet w resorcie Kiszczaka
- Jan Olszewski
o schyłku PRL**

**KSIAŻĘ FILIP
- MĄŻ
NAJSŁAWNIEJSZEJ
KOBIETY
NA ŚWIECIE**



**Chciał umrzeć, dziś chce żyć
- niezwykła historia
Janusza Świtaja**

Nowa odważna książka Bogdana Musiała

WIELKA MANIPULACJA

**Oszczercy zapominają dziś, że Niemcy tylko Polaków
na taką skalę karali śmiercią za pomaganie Żydom**



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829



26 >

Nakład: 77 tys. egzemplarzy



PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2019





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Decydujący niemiecki czynnik

Od czasu, kiedy to Izrael, w związku z nowelizacją ustawy o IPN, wypowiedział Polsce swoistą wojnę propagandową, ukazało się bardzo wiele tekstów, wypowiedzi, ba, nawet książek, na temat relacji Polaków i Żydów. Wydaje się jednak, że najpoważniejszą i najważniejszą napisał ostatnio Bogdan Musiał. „Kto dopomoże Żydowi...” to książka w pewnym sensie przełomowa, bo pokazuje prawdziwy kontekst, prawne otoczenie i postawę niemieckich władz okupacyjnych wobec Polaków i Żydów.

Kilka lat temu, po publikacji mojej książki „Krew na naszych rękach?”, gdzie pisałem o religii

dawstwa przyjętego na ziemiach okupowanych przez III Rzeszę, kształtował wszystko.

Zustaleń Musiała wynika, że od roku 1940 władze niemieckie systematycznie zaostrzały przepisy prawne skierowane przeciw jakiegokolwiek formie pomocy udzielanej Żydom przez Polaków, a od roku 1941 wprowadziły za wszelką formę kontaktów karę śmierci. Podstawą niemieckiej polityki eksterminacyjnej były nie tylko obwieszczenia i rozporządzenia władz, lecz także faktyczne ich stosowanie. Niemcy prowadzili politykę, co się zowie, gangsterską, stosując zasadę odpowiedzialności zbiorowej i wymuszając, za pomocą zbrodni i prześladowań, pożądane przez siebie zachowania. Sama liczba nowych przepisów i zmian w prawie, coraz bardziej morderczych i barbarzyńskich, pokazuje powszechność polskiego oporu. „Z analizy omawianych ogłoszeń i odezwo wynika, iż próby uniknięcia deportacji do obozów zagłady przez Żydów poprzez ucieczkę na stronę »aryjską«, czyli polską, podobnie jak gotowość pomocy zbiegom, były powszechne”. Niemcy wprowadzały coraz bardziej drakońskie kary, bo za wszelką cenę chciały powstrzymać polską pomoc. Gdyby przyjąć dominujące dziś wśród wielu holokaustianistów przekonanie, zgodnie z którym polskie społeczeństwo współuczestniczyło chętnie w ludobójstwie, wszystkie te niemieckie obwieszczenia, zakazy i groźby byłyby absurdalne. Po co Niemcy mieliby karać śmiercią całe wioski i masowo mordować pomagających Żydom Polaków, skoro nikt rzekomo pomagać im nie chciał? Najwyraźniej niemieccy oprawcy kierowali się inną logiką niż ta, którą usiłują im dziś wmówić specjaliści z Prince-

ton czy Ottawy. Widać, zakazywali tego, czego nikt nie robił, i zabijali tych, którzy chcieli im służyć.

Trzeba też pamiętać o tym, jak diabelskimi sposobami próbowali okupanci powstrzymać pomoc. Być może najbardziej poruszające przykłady dotyczą przypadków, kiedy to schwytani przez Niemców Żydzi wydawali swoich dobroczyńców na śmierć, a nie były to wcale jednostkowe przypadki. „Inna historia miała miejsce jesienią 1942 r. w lasach w okolicach Hadli Szklarskich, leżących ok. 20 km na południe od Łańcuta, gdzie ukrywała się grupa żydowskich uciekinierów. Miejscowi chłopci dostarczali im żywność, a niektórzy udzielali czasowo schronienia. Schwytana przez żandarmerię osiemnastoletnia Małka Schoenfeld, chcąc ratować życie, zdecydowała się wydać znanych jej Polaków, którzy pomagali żydowskim uciekinierom. 4 grudnia 1942 r. do Pantalowic przyjechała grupa sześciu niemieckich policjantów z posterunku żandarmerii w Łańcutie pod dowództwem Antona Hachmannna. Była z nimi Małka Schoenfeld. Wskazanych przez nią mieszkańców wsi zebrano w domu jednego z nich, a następnie zabito na podwórzu strzałem w tył głowy”. Naprawdę, żeby w tej sytuacji, w której Niemcy grozili śmiercią, a ofiary gotowe były wydawać swoich pomocników, zdobyć się na jakąkolwiek pomoc, trzeba było być bohaterem, wręcz świętym.

Tym bardziej obrzydliwe są dzisiejsze próby odwrócenia historii, pisanie jej na nowo, jak próbuje to robić tzw. nowa polska szkoła historii. Doprawdy, podłe są te wszystkie usiłowania przypisywania Polakom zbiorowo czy to obojętności, czy wręcz zaangażowania w niemiecką politykę ludobójstwa. ©©

RYСУNEK TYGODNIA



Holokaustu, podczas debaty na Uniwersytecie Warszawskim jeden z uczestników zapytał mnie, jak wyglądały relacje polsko-żydowskie w czasie okupacji. Odpowiedziałem, że to pytanie w takiej postaci nie ma sensu: kto chce mówić o relacjach polsko-żydowskich, kto chce badać skalę polskiej pomocy udzielanej Żydom, musi zacząć od polityki niemieckich władz okupacyjnych. To był bowiem czynnik kluczowy, absolutnie decydujący. To niemiecki terror, ściśle wynikający z całego niemieckiego prawo-



TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA Z PROF. BOGDANEM MUSIAŁEM
MANIPULACJE I KONFABULACJE
Jak zabijano Polaków za pomoc Żydom

KRAJ

24 PIOTR SEMKA
ZA SZYBKĄ ZWYŻKĄ FORMY PIS
Jak nie roztrwonić przewagi

28 ROZMOWA Z PAWŁEM SZEFERNAKEREM
ZDALIŚMY TEST Z WIARYGODNOŚCI

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
MORALNOŚĆ OŚMIESZONA

32 WOJCIECH WYBRANOWSKI
ROZGRYWKI FALENTY

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
NOWE ŻYCIE JANUSZA ŚWITAJA

38 ŁUKASZ ZBORALSKI
DROGOWE PUŁAPKI EUROPY

KULTURA

40 MONIKA MAŁKOWSKA
MISTRZ ABSTRAKCJI
Wystawa Marka Rothko w Wiedniu

43 GRZEGORZ BRZOSOWICZ
TAK PŁONIE MUZYKA

44 PIOTR GOCIEK
WAKACJE W KINIE

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK
APOLOGIA KEFASA
Recenzja książki „Grób Rybaka. Śledztwo w sprawie największej tajemnicy watykańskich podziemi” Pawła Lisickiego

55 ALAIN DE BENOIST
JAK LIBERALIZM
UPROWADZIŁ DEMOKRACJĘ

HISTORIA

58 WSPOMNIENIA JANA OLSZEWSKIEGO
BEZPIEKA CHCIAŁA POKAZAĆ,
ŻE „SVOJE ZROBIMY”
Fragmenty książki Justyny Błażejowskiej

61 DODATEK SPECJALNY
POLSKIE WYNAZKI

ŚWIAT

74 MACIEJ PIECZYŃSKI
ZAGADKA ZEŁENSKIEGO
Dokąd zmierza Ukraina?

78 PIOTR WŁOCZYK
DZIECINNY RUCH

80 ŁUKASZ WARZECHA
RUGOWANIE FILOZOFIA

EKONOMIA

82 STEFAN SĘKOWSKI
MINIMALNIE
WIĘCEJ?
Ukryte koszty płacy minimalnej

86 JAKUB WOZINSKI
BUNT WALUTOWY

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
MAŻ SVOJEJ ŻONY
Księżę Filip: „Jestem tylko cholerną amebą”

O ZDROWIU

90 ROZMOWA
Z PROF. PIOTREM CHŁOSTĄ
MUZYKA,
BADANIA I RAK
Polska urologia dorównuje światowej



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Godek**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłowski**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietniści:

Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojarczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Marek Budzisz**, **Sławomir Cenciewicz**,
Wiesław Chelminiak, **Dominika Cosi** (*Brusela*), **Krzysztof Czabański**,
Piotr Gursztyn, **Maria Kądzelska**, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**,
Sławomir Koper, **Piotr Kowalcuk** (*Rzym*), **Jakub Kowalski**,
Grzegorz Kucharczyk, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Małowski, **Monika Małkowska**, **Karolina Marchlewska-Trzmieł**,
Gabriel Michalik, **Filip Memches**, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**,
Maciej Pieczyński, **Katarzyna Pinkosz**, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**,
Krzysztof Rybiński, **Stefan Sękowski**, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**,
Artur Szeremeta, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torajski**, **Szewach Weiss**,
Piotr Włoczyk, **Marcin Wolski**, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmieł** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Alekowska**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wójcicka**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystopa**
Okładka: **NAC**

WYDAWCA: **Ole Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Ole Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Ole Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@mpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@mpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 77 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaz egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Droży Czytelnicy,

Zaczynamy od tematów bieżących, by w ostatnim liście znów powrócić do wyborów z 1989 r. Zachęcamy do przesyłania korespondencji na adres: listy@dorzeczy.pl.

Homoterror

Droga Redakcjo, dziękuję za podjęcie tematu (i to na okładce) narzucania nam tępczowej ideologii. Boli mnie to, na co szczególnie zwrócił uwagę red. Paweł Lisicki – na zaangażowanie marek, na pompowanie pieniędzy globalnych firm (czyli klientów tychże firm) w promowanie ideologii LGBT. Myślę, że tak jak kiedyś podejmowana była akcja promowania polskich produktów (590 w kodzie kreskowym), tak dziś trzeba wybierać firmy, które jasno się zadeklarują, że nie angażują swoich środków i kanałów komunikacji w żadne światopoglądowe przepychanki. I zachęcać firmy, by takie deklaracje swoim klientom składały.

Pozdrawiam z Poznania

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

„Potrzebna jest zmiana prawa”, Paweł Lisicki, „DRz” 25/2019

Szanowny Panie Redaktorze, a może po prostu zamieścić w Internecie listę firm wspierających LGBT, a nawet taką listę regularnie drukować w „Do Rzeczy”? Czytelnicy będą wiedzieć, co zrobić z taką informacją. Zdjęcie z takiej listy będzie następować tylko na pisemną prośbę zainteresowanej firmy.

Łączę wyrazy szacunku
Wojciech Tempieński, Warszawa

Nie tylko o 4 czerwca

Pacta sunt servanda A REBUS SIC STANTIBUS! Czyli, że umowy obowiązują w tym samym stanie rzeczy. Ta stara rzymska maksyma przypomina, że „jak świat światem”, umów się dotrzymuje, jeśli sytuacja nie ulega zmianie. Powołanie się – niestety bardzo powszechne – tylko na pierwszą jego część „pacta sunt servanda” i stawianie tu kropki to okrojanie całkowicie wypaczone jego sens. [...]

Pamiętam, jak w Polsce po sukcesie wyborów 4 czerwca 1989 r. prominentne osoby, bywalcy Magdaleny,

wmówiły wręcz na siłę opinii publicznej, niestety skutecznie, półprawdę – czyli najgorsze kłamstwo – przekonując tylko do pierwszej części tej [...]. Kto pamięta tamten czas, wie, jak sami byliśmy zaskoczeni, że nagle władza legła na wyciągnięcie ręki na ulicy. Mogliśmy wziąć nie tylko 35 proc. wyznaczonych przy kantach Okrągłego Stołu, lecz także pełnię władzy. Niestety, nikt z tych, którzy strajkowali, byli bici przez ZOMO podczas licznych demonstracji, zabijani w kopalniach, nie był na to przygotowany. Gotowi byli ci, którzy dogadali się, pijąc wódkę z Kiszczakiem! I tak zgniły kompromis kłamstwa położony został jako kamień węgielny tzw. III RP. Nie dziwmy się więc rozkładowi moralnemu naszego państwa, zwłaszcza jego „samooswieconych elit” – tzw. salonu.

Przykładem, jak głęboko tym przesiąkł, było mało zauważone i szybko zapomniane (w imię „racji stanu”) haniebne zachowanie ministra spraw zagranicznych RP podczas EuroMaj-

Praca za wisnę rzuca dla globalnej korpacji; daje mi dużo satysfakcji; i poczucie uczestnictwa w wielkiej rewolucji LGBT...



danu. W Kijowie straszył uczestników Rewolucji Godności, wychodząc z ducha właśnie ww. okrojonej – przez co przeinaczonej – zasady w następujący sposób: „Podpiszcie, bo inaczej będziecie martwi”, przez co de facto ratował zbankrutowaną już promoskalską dyktaturę.

Wracając na nasze podwórko, stąd już niedaleko do myślenia „elit” III RP – w ich mniemaniu – typu mniejsze zło stanu wojennego. Zwłaszcza z biegiem czasu staje się coraz mniejszym złem, coraz bardziej do zaakceptowania.

Prawo decydowania w takich zwrotnych momentach jak wiosna i lato 1989 r. należy do tych, którzy wywalczyli zwycięstwo, wyszarpali władzę państwowym bandytom. [...]

Pozdrawiam serdecznie czytelników i redakcję
Jan Fedirko, Lublin



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nieudana zabawka Roberta

Jedyny rodzaj hejtu, jaki akceptuję to: hej tu jestem, by mocno cię tulić – taki plakat z rysunkiem wiewiórki jak z japońskich bajek zamieścił na Instagramie Robert Biedroń. Trudno o bardziej wyrazistą metaforę infantylnego stylu polityki założyciela partii Wiosna.

Oglądając ten rysunek, uświadomiłem sobie, że po lewej stronie o mizernym wyniku Biedronia w eurowyborach mówi się niechętnie. Szukając jakichś analiz na lewicowych portalach, znalazłem jeden tekst Adama Leszczyńskiego z 30 maja br. na łamach „Krytyki Politycznej”. Leszczyński obdzwonił znajomych uczestników kampanii, próbując ustalić, „co poszło nie tak”, i wskazywał: „Zbyt wiele osób z bagażem politycznym na listach (a nie młodych i świeżych, co pierwotnie obiecywano); „opanowanie kampanii przez dawnych działaczy Ruchu Palikota, co wywoływało konflikty wewnętrzne i intrygi”; „promowanie tylko kandydatów i kandydatek najbliższych osobiście Robertowi Biedroniowi (Spurek, Kohut, Śmiszek). Inni mieli być pozostawieni właściwie sami sobie”. Najważniejszym błędem

miała być „bardzo mała elastyczność kampanii – w miarę upływu czasu było jasne, że jej dynamika słabnie, a kierownictwo partii nie wrzucało nowych tematów i nie chciało myśleć o modyfikacji strategii”.

A końcówka tekstu była już bardzo stonowana: „Wszędzie są wewnętrzne konflikty i trudności w komunikacji. Wiosna musi jednak działać lepiej – nie może być tak, że polityk wywołuje kryzys, a potem nie słucha rad ekspertów, jak go rozładować, grzebiąc nie tylko swoje szanse, ale i partię”.

Biedroń przyciągnął do siebie ważne postacie młodej lewicy – Michała Syskę czy Macieja Gdulę – i zafundował im niezłą kompromitację. Hasła socjalne zeszyły na dalszy plan, za to w kampanii zatriumfowało ulubione „walenie w czarnych”. A dziś Gdulę czy Syskę prześladowają pytania: Dlaczego wasz lider nie oddaje euromandatu?

Czy nie było wcześniej przesłanek, aby dostrzec, że nową inicjatywę lewicy prowadzi człowiek o mentalności kapryśnego dziecka? Rozumiem, że lewa strona od lat czeka na jakiś sukces

i efektowny projekt mógł zawrócić w głowach. Czy nikt jednak nie zauważał, że słupska prezydentura Biedronia podszyta była hucpiarstwem? Dla nikogo ostrzegawczym dzwonkiem nie była bożonarodzeniowa, najwyraźniej nietania wypoczynkowa eskapada do Nikaragui? Dlaczego Adam Leszczyński dopiero po słabym wyniku w majowych wyborach odkrył niestosowność obsadzenia jedyńki we Wrocławiu przez partnera Biedronia i w Poznaniu przez towarzyszkę życia wiceszefa Wiosny Marcina Anaszewicza?

Eleganckie milczenie otaczało też sposoby finansowania partii. Nikt się nie zastanawiał, czy aż dwie wizyty Fransa Timmermansa w Polsce dla wsparcia Biedronia nie wiążą się z jakąś pomocą finansową europejskich socjalistów dla Wiosny?

W najbliższych tygodniach rozstrzygnie się, czy partia Biedronia będzie szła do jesiennych wyborów sama, czy wejdzie w skład jakiejś lewicowej koalicji. Robert Biedroń z mandatem eurodeputowanego już jest ustawiony. Maciej Gdula chyba już zrozumiał, w co się wpakował. ©

DĄB MIESZKO
W OGNIU

600-letni Mieszko – najstarszy dąb szypułkowy na całym Mazowszu – stanął w ogniu w nocy z 16 na 17 czerwca oraz – drugi raz – 17 czerwca. Nie wiadomo dokładnie, jak doszło do pożaru stojącego na terenie warszawskiego Ursynowa jedyne drzewo pozostałe po Puszczy Mazowieckiej. Po wstępnej analizie urzędnicy zdecydowali się jednak złożyć w prokuraturze zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Gdy zamykałmy to wydanie „Do Rzeczy”, nie zapadła jeszcze decyzja o przyszłości tego pomnika przyrody. (jap) ©



FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

Donald Trump: Utrzymajmy Amerykę wielką

– Nasi przeciwnicy chcą nas zniszczyć i chcą zniszczyć nasz kraj – oznajmił na Florydzie amerykański przywódca Donald Trump, oficjalnie rozpoczynając kampanię w wyborach prezydenckich 2020 r. – Tylko wyobraźcie sobie, co ten rozwścieczony lewicowy tłum zrobiłby, gdyby rządził krajem – dodał prezydent, nazywając demokratów „ekstremistami”. – Nadal będziemy walczyć o to, aby utrzymać Amerykę wielką. Obiecuję wam, że nigdy, przenigdy was nie zawiodę – dodał podczas wiecu na Florydzie, na którym oklaskiwało go 20 tys. zwolenników, krzycząc z całych sił „USA!” i „Jeszcze cztery lata!”.

W stolicy Florydy – stanu bitewnego, w którym podczas wyborów w roku 2016 Donald Trump wygrał o włos – amerykański prezydent wygłosił aż 80-minutowe przemówienie. Obiecał w nim m.in. kontynuowanie walki z nielegalnymi imigrantami i usunięcie z kraju „milionów nielegalnych przybyszów”.



Według wstępnych sondaży przedwyborczych Donald Trump przegrywa z niektórymi z potencjalnych kandydatów Partii Demokratycznej (np. z Joe Bidenem czy socjalistą Bernieem Sandersem). Jego oficjalny rywal zostanie jed-

nak wyłoniony dopiero w prawyborach, do których na razie zgłosiło się ponad 20 kandydatów.

Wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych odbędą się 3 listopada przyszłego roku. © (jap)

REKLAMA

SCORPIONS

CRAZY WORLD TOUR 2019

21 lipca 2019
Arena Gliwice

23 lipca 2019
ERGO ARENA Gdańsk/Sopot

BILETY: PRESTIGEMJM.COM



Prestige
MJM



Arena Gliwice

Radio
złote przeboje

DZIENNIK
ZACHODNI

Dziennik
Bałtycki

wprost

szczer

Gitarzysta

Perkusista

WP

reklamator

trójmiasto.pl

cgm.pl

Multikino

4 GOLD

STRÖER

VIXON

pap

CHRYSTIAN



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Z kim tu gadać?

Ponieważ nie bardzo dało się przedstawić wizytę prezydenta Dudy w USA jako klęskę, kompromitację i dowód izolowania Polski na arenie międzynarodowej, w komentarzach opozycji pojawił się nowy ton. Oto np. Tomasz Siemoniak oskarżył prezydenta o to, że „upartyjnił” tę wizytę, bo nie zwołał wcześniej Rady Bezpieczeństwa Narodowego

To nie władza podjęła decyzję o „nieliczeniu się z opozycją”, tylko sama opozycja symbolicznie wypisała się z państwa

i nie zaprosił opozycji do dyskusji nad pryncypiami polityki zagranicznej oraz obronnej.

Teoretycznie pan Siemoniak ma rację – w tych sprawach powinno się dbać o ponadpartyjny konsen-

sus z opozycją. Tylko że mówimy o konkretnej opozycji, którą stanowi partia pana Siemoniaka. Powiedzmy, że prezydent przed wyjazdem do USA i ważnymi rozmowami by ją do takiej dyskusji zaprosił. Przecież z góry wiadomo, że zaproszenie to PO wykorzystałaby do kolejnych gestów obliczonych na zdelegitymizowanie i upokorzenie Głowy Państwa. Najpewniej zostałyby ono odrzucone z dętymi komentarzami, typu „nie ma rozmów z wielokrotnym gwałcicielem konstytucji”. A jeśliby nawet opozycja na rozmowy z prezydentem poszła – to po to, żeby wymachiwać mu przed nosem literkami na kartonikach, tupać, pierdzieć na wargach, a na koniec ogłosić okupację sali konferencyjnej dopóty, dopóki PiS nie opublikuje wyroku, albo coś takiego.

Nie? A jak było, kiedy prezydent chciał z PO i liczącą się wtedy jeszcze Nowoczesną rozmawiać o kłinczu w sprawie Trybunału

Konstytucyjnego i szukać wspólnie wyjścia z niego? Nikt nie był tym zainteresowany, opozycja i wtedy, i wiele razy później dążyła wyłącznie do zadymy oraz zwarcia, wierząc, że z poparciem z zagranicy doprowadzi do obalenia rządu i wcześniejszych wyborów.

To nie władza podjęła decyzję o „nieliczeniu się z opozycją”, tylko sama opozycja symbolicznie wypisała się z państwa, zapowiadając, że „będziemy opozycją totalną”, i – co gorsza – zapowiedź tę konsekwentnie realizując. W jej języku nie ma nawet pojęcia „państwo polskie”. Jest „państwo PiS” – odrzucane „po całości”, wraz z wynikiem wyborów, który się nie liczy, bo PiS go sobie „kupił”, i to u tych „gorszych” wyborców, „starszych, słabo wykształconych i z małych miasteczek”.

Tak, demokracja w Polsce oczywiście jest zagrożona totalnackimi ciągotami – ale bynajmniej nie ze strony władzy. ©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Tak bardzo tolerancyjni

Minał niespełna miesiąc od niesławnej Parady Równości w Gdańsku z udziałem prezydent miasta Aleksandry Dulkiewicz, podczas której wyśmiewano się z katolicyzmu, umieszczając sztuczną waginę w miejscu Przenajświętszego Sakramentu. „Gdańsk nie boi się różnorodności” – pisała Dulkiewicz. Co wydarzyło się od tamtego czasu?

We Wrocławiu psychopata – jak twierdził, pod wpływem filmu braci Sekielskich o pedofilii w Kościele – pchnął nożem Bogu ducha winnego kapłana ks. Ireneusza Bakalarczyka. W tym samym czasie inny wariat

w Rypinie w czasie nabożeństwa porąbał siekierą ołtarz. Cóż, świrów nie brakuje, prawda? Można i tak to tłumaczyć.

Problem w tym, że ostatnio szaleńców przybywa, i to dziwnym trafem najczęściej wśród miłośników tolerancyjnej, postępowej liberalnej lewicy. Już po zdarzeniach w Gdańsku, we Wrocławiu i w Rypinie „nieznani sprawcy” zdewastowali kościół św. Maksymiliana Kolbego w Koninie, a w Radomiu pod jednym z kościołów mężczyzn, grożąc proboszczowi śmiercią, ukradł mu rower i zebrane w trakcie mszy pieniądze. W Płońsku ktoś rozbił figurę Jezusa Chrystusa, a w przedostatnią

niedzielę w wielkopolskiej Piłce kolejny miłośnik tolerancji zakłócił świętą liturgię.

A, byłbym zapomniał. Ulicami Warszawy też przeszła Parada Równości, a w jej trakcie tolerancyjni aktywiści LGBT parodiowali mszę świętą. „Było radośnie i kolorowo, dziękuję za mnóstwo pozytywnej energii!” – cieszył się prezydent Rafał Trzaskowski.

Czego zabrakło? Choćby jednego listu, pisma, oświadczenia środowisk medialnych lub inteligentnych z kręgu genderowej tolerancji, potępiającego ataki na Kościół i szyderstwa z katolików. Ach, ci tak bardzo tolerancyjni i ich wyznawcy... ©

Premier wysyła pociągi na festiwal



FOT. ADRIAN WYRUTA/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Ta sprawa zaczęła się od alarmu, który wszczął organizator festiwalu Pol'and'Rock w Kostrzynie nad Odrą. Jerzy Owsiaak ujawnił, że firmy przewozowe nie chcą w tym roku wystawić dodatkowych pociągów, które dowio-

złyby uczestników festiwalu. Dodawał, że wręcz zasugerowano mu, iż pociągi dalekobieżne w ogóle będą w tym czasie omijać Kostrzyn.

Po takiej informacji część samorządów wojewódzkich zapowiedziała, że

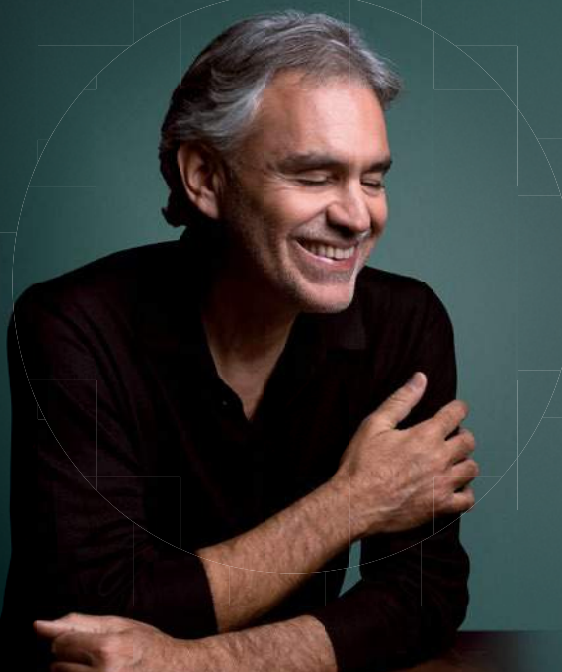
jeśli Przewozy Regionalne nie wyślą w tym roku dodatkowych pociągów, to zapewnią je one. Kursy specjalne zapowiedzieli samorządowcy z województw zachodniopomorskiego, pomorskiego i wielkopolskiego. Według portalu RynekKolejowy.pl pociągi podstawić mogą również Koleje Mazowieckie.

Z kolei Antyradio stworzyło akcję „Skazani na busa”, by łączyć ludzi jadących na festiwal samochodami z tymi, którzy chcieliby się zabrać.

Dość szybko jednak głos w sprawie transportu na festiwal zabrał premier. Mateusz Morawiecki poinformował, że dodatkowe pociągi będą. „Po rozmowie z Joachimem Brudzińskim i ministrem Elżbietą Witek, w trosce o bezpieczeństwo uczestników festiwalu w Kostrzynie nad Odrą, poleciłem ministrowi Adamczykowi przygotowanie pociągów, które dowiozą uczestników na miejsce. Będzie on także zabezpieczony przez służby podległe MSWiA” – napisał Morawiecki na Twitterze. ©©

Łukasz Zboralski

REKLAMA



PRESTIGE MJM PREZENTUJE
22 sierpnia 2020
 PGE NARODOWY, WARSZAWA

ANDREA
BOCELLI
 THE WORLD'S MOST BELOVED TENOR

BILETY:
 PRESTIGEMJM.COM

www.andreabocelli.com

Od każdego biletu 4 zł na Fundację Andrei Bocellego



PIOTR KOWALCZYK
Z RYZMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O pogromie

Polscy łowcy antysemityzmu popisali się nie lada zacierzwieniem, głupotą lub/i podłością, piętnując rzeczywiście bardzo niefortunny wpis na stronie PZPN „To już jest pogrom” po czwartej bramce dla Polski w meczu z Izraelem (wpis zresztą wycofany).

Słowo „pogrom” i jego pochodne należą do słownictwa sportowego i są od lat używane bez związku z mordami na Żydach

Każdy średnio rozgarnięty Polak wie, że słowo „pogrom” i jego pochodne należą do słownictwa sportowego i są od lat używane bez żadnego związku z mordami na Żydach. Autorowi można i trzeba zarzucić bezmyślność, ignorancję, może głupotę, ale nie antysemityzm.

Mam graniczące z pewnością obawy, że łowcom chodziło o wywołanie za granicą nowych ataków na polski

antysemityzm i obwinienie o to rządzących. We Włoszech do boju ruszył niezawodny Andrea Tarquini (korespondent zagraniczny lewicowej „La Repubblica”, obecnie w Berlinie) – od kilkudziesięciu lat pudło rezonansowe „GW” w Italii.

Zideologizowany furiat napisał: „Nie do wiary! Nie jesteśmy na olimpiadzie 1936 r. w Trzeciej Rzeszy, a w dzisiejszej Polsce: PZPN skomentował zwycięstwo nad Izraelem, używając słów nierozzerwalnie związanych z Holocaustem i ostatecznym rozwiązaniem (kwestii żydowskiej na konferencji w Wannsee – przyp. P.K.) i sądzi, że nic się nie stało”. Tarquini nie może pojąć, dlaczego jeszcze nie zareagował rząd Izraela, a rząd Polski nie przeprosił.

Dziennikarz poprosił o opinię w Centrum Szymona Wiesenthala w Jerozolimie. Naturalnie usłyszał od dyrektora Efraima Zuroffa to, co chciał: „To haniebne i nie do przyjęcia. Znak rosnącego antysemityzmu w Europie Środkowo-Wschodniej. To obraza Żydów na całym świecie”. Tarquini nie ma problemów ze wskazaniem winnych: „Tłem jest rosnący nacjonalistyczny suwerenizm w Europie, u władzy w Warszawie i Budapeszcie”. A kończy, cytując znów Zuroffa: „Ta obraza jest odzwierciedleniem pogorszenia stosunków polsko-izraelskich na tle zwrotu mienia żydowskiego i innych kwestii dotyczących Holocaustu. To znak, że w Europie Wschodniej usiłują pisać na nowo historię swego antysemityzmu”.

Smutne to wszystko i dość obrzydliwe. ©©



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Legendy opozycji

Wszystkie znaki na niebie i Twitterze wskazują, że wchodzimy nieubłaganie w sezon ogórkowy. Weźmy na przykład temat ostatniego tygodnia – kolejne, nudne jak konferencje PKW, przesłuchanie Donalda Tuska. „Tusk oczywiście rozjechał nieszczęsnych zagończyków z PiS-u. Tylko po co marnować mu dzień pracy i życia” – napisał wyraźnie zblazowany Tomasz Lis.

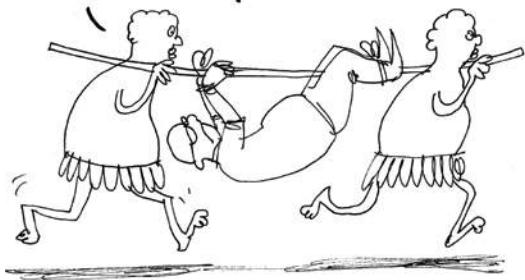
Mimo wszystko niektórzy potrafili wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu. „Jeżeli ktoś liczył, że jest już »po Tusku«, to dzisiejsze przesłuchanie pokazuje, że się mocno przeliczył” – stwierdził Michał Kolanko. „Nie, to pokazuje, że Tusk bywa bardzo nierówny. Jak wszyscy oczekują wydarzenia z nim w roli głównej – to coś potrafi to zepsuć. A jak walczy o wizerunek swego byłego rządu, to bywa sprawny” – zgasił jednak promyczek nadziei Piotr Semka.

Wszystko pozostało jednak bez zmian w alternatywnej, poetycko-politycznej rzeczywistości Przemysława Szubartowicza. „Hura! przesłuchujący Tuska to spotkanie wagi słomkowej z wagą ciężką. Przewodniczący komisji vatowskiej wprowadzie już dawno leży na deskach, ale nadal zgrywa Rocky’ego. Kłopot w tym, że suwerenowi podobają się zawodnicy niekompetentni i skompromitowani. Dlatego mamy to, co mamy” – podsumował bard opozycji.

Á propos opozycji, miejsce na piedestale (po skrytykowaniu Grzegorza Schetyny) straciła kolejna legenda Solidarności. „Sznuję Władysława Frasyniuka, ale chyba największym jego sukcesem w partyjnej polityce było złożenie do grobu Unii Wolności” – wyznał Kamil Dziubka. A mógł się po prostu Frasyniuk nie odzywać, dając się wynosić z ulic przez policję, gdy protestował przeciwko kacystowskiej dyktaturze. Wtedy szacunek byłby bez „ale”.

Milczeńie nie zamierza również przyszła nadzieja opozycji. „Z raportu Oxfam: model społeczeństwa opiera się na nieodpłatnej pracy kobiet. Gdyby policzyć wszystkie godziny spędzone na opiece, prowadzeniu gospodarstwa etc., to zlecając wykonanie tej pracy komercyjnej firmie, miałaby zarobki 43 razy większe niż Apple” – zauważyła Sylwia Spurek. Pani Sylwio, dzisiaj wyrzuciłem śmieci. Gdzie mogę się zgłosić po przelew? ©©

Pau to chyba jest jakiś ludotercofobem...



k t y s z t o p e & e J o z e f T o l i b o w s k i

Chciał zlecić morderstwo Kristiny, zabił sam?

Do jednoosobowej, monitorowanej całą dobę, będącej pod szczególnym nadzorem celi trafił w ubiegłym tygodniu Jakub A. podejrzany o zabójstwo 10-letniej Kristiny z Mrowin. Komisja penitencjarna uznała go za więźnia niebezpiecznego. Jakub A. jest podejrzany o zabójstwo dziecka ze szczególnym okrucieństwem z motywacji zasługującej na szczególne potępienie i ze znieważeniem zwłok, a także o podżeganie do zabójstwa. Jak poinformował prok. Mariusz Pindera z Prokuratury Okręgowej w Świdnicy, oskarżony przyznał się do popełnienia zarzucanych mu czynów.

Dziesięciolatka z Dolnego Śląska została porwana w czwartek 13 czerwca. Wracała z oddalonej zaledwie o kilometr szkoły. Ostatni raz

widziana była ok. 200 m od domu. Jeszcze tego samego dnia w lesie, ok. 6 km od wioski, w której mieszkała, znaleziono zwłoki dziewczynki. Zginęła od ran kłutych. Ślady na jej ciele wskazywały na motyw seksualny.

W niedzielę 16 czerwca zatrzymano 22-letniego Jakuba A. Zdaniem prokuratury to on miał zabić dziewczynkę i „podejmować czynności, które miały wskazywać, że zabójcą jest ktoś o skłonnościach pedofilskich”.

Zbrodnia była zaplanowana. Jeszcze w maju A. miał nagabywać do jej popełnienia innego mężczyznę. Wirtualna Polska podała, że za zabicie dziewczynki oferował 10 tys. zł. „Znalazł jakiegoś faceta na Śląsku, który dostał propozycję, by za ok. 10 tys.



zabił dziewczynkę. Ten mężczyzna miał początkowo się zgodzić, ale później się wycofał. Wtedy Jakub A. zdecydował, że sam ją zabije” – mówi źródło WP, którym ma być osoba znająca kulisy sprawy. To ten mężczyzna miał

naprowadzić śledczych na trop Jakuba A.

WP poinformowała również, że podejrzany o morderstwo mógł być zakochany w matce dziewczynki, a motywem zbrodni mogła być chora zazdrość. © © (raw)

REKLAMA

kebu

ZAKLINACZ SYNTEZATORÓW
WYSTĄPI W POLSCE!

12 października 2019
Klub Progresja
Warszawa

BILETY: PRESTIGEMJM.COM



Prestige
MIM

REGENT
WARSAW HOTEL

wprost

DO RZECZY

WP

cgm.pl

STRÖER

VIXON

PRESS SERVICE

pap

ZANURZONA W STRESY

Edzia Górniak tuż przed festiwalem w Opolu trafiła do szpitala. Powodem było zasłabnięcie artystki. Wcześniej tego dnia brała udział w próbach do koncertu w opolskim amfiteatrze. Było bardzo gorąco i to mogło Edzi zaszkodzić. Ostatecznie okazało się, że to nie było nic poważnego.

„Nie wiem nawet, co mam powiedzieć. Przepraszam wszystkich za wywołany wczoraj stres i ogromne zamieszanie, które spowodowała sytuacja mojego stanu zdrowia” – napisała w mediach społecznościowych, dziękując szpitalowi za opiekę i zaangażowanie, a fanom za słowa wsparcia. „To, co się wydarzyło, odbieram jako mocne pouczenie od losu, że być może za głęboko zanurzyłam się w stresy” – wyznała na koniec. W tej sytuacji tylko zimny prysznic da radę. Na upał pomaga. I na głowę.

UMIEĆ PIĘKNIE MILCZEĆ

Wdowa po wokaliście Grzegorzu Ciechowskim Anna Skrobiszewska promuje właśnie film o swoim mężu. Wiadomo, że pozostaje w konflikcie z pierwszą żoną muzyka, aktorką Małgorzatą Potocką, i w filmie obchodzi się z nią nie najlepiej. To oburzyło Monikę Richardson, teraz Zamachowską, u której w programie w telewizji śniadaniowej gościła Skrobiszewska. – W tym filmie pani właściwie niszczy wizerunek Małgorzaty Potockiej. Jako matki, jako kobiety, jako żony. Mówi pani, że brała narkotyki z Grzegorzem, że nikt się Weroniką nie zajmował i właściwie nie zostawia pani powietrza – mówiła, nie kryjąc oburzenia Zamachowska. – Warto angażować się w tę dyskusję? Tak pięknie pani milczała tyle lat – dodała na koniec. Tak bardzo życzylibyśmy sobie i światu, by pani Monika sama zastosowała się do własnej rady, a potem dopiero doradzała innym! Tak, wiemy, że to naiwne, ale pomarzyć zawsze można.

POLITYCZNY SPISEK

Podobno Barbara Kurdej-Szatan nie będzie już prowadzącą ani „The Voice of Poland”, ani „The Voice Kids”. Tak zdecydowano w TVP, o czym donosi plotkarski magazyn „Party”. Ponoć uznano, że Kurdej-Szatan jest prowadzącą zbyt wielu programów, zwłaszcza że równolegle gra także w serialu „M jak miłość”. To nie koniec, sprawa ma podobno jeszcze drugie dno – uwaga – poli-



FOT. ANNA GROMA



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

tyczne! „Osoby z produkcji przypuszczają, że Barbarze zaszkodziło to, że nie kryła się ze swoimi poglądami politycznymi, brała udział w protestach w obronie sądów, wsparła Rafała Trzaskowskiego w kampanii o fotel

prezydenta Warszawy, wystąpiła na koncercie papieskim, a kilka dni później poparła Paradę Równości” – donosi „Party”. Naszym zdaniem jest jeszcze trzecie dno tej sprawy. Po prostu pięć minut sławy blondynki z reklamy i tak trwało dłużej, niż wszyscy myśleli, i kiedyś musiało się skończyć. Tak, wiemy, że to mało atrakcyjna teoria. Spisek zawsze jest lepszy. A już zwłaszcza polityczny!

ZNIKĄD POMOCY

Niejaki Łukasz Darłak, uczestnik nowej edycji „Big Brothera”, którą ekscytują się głównie znajomi uczestników, zabłysnął swoimi wywodami o polityce. Nie wiemy, kim jest Łukasz poza tym, że bardzo chce zostać celebrytą. Ale kto dziś nie chce? A więc w ramach autopromocji uczestnik Łukasz opowiedział serwisowi „Pomponik”, co myśli o byłej premier Beacie Szydło. – Była nikomu nieznana kobietą, która nagle stała się premierem Polski – mówi. – Kompletnie nie ufam pani Beacie Szydło, ponieważ ona wzięła się w polityce znikąd – stwierdził Łukasz. Z „Big Brothera”, więc nie znikąd.

NIECH MÓWIĄ!

„Gazeta Wyborcza” donosi, że prawica ma kłopot, bo młodzi celebryci (wymienia Dawida Podsiadłę, Macieja Musiała, Julię Wieniawę i Margaret) zaczynają mówić to, co myślą. A myślą i mówią – tu zaskoczenie przeogromne – to samo mniej więcej co starzy celebryci. Można więc przypuszczać, że i efekt będzie ten sam. Niech mówią więc jak najwięcej. I jak najgłośniej. W imieniu prawicy prosimy. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, zauważyliśmy, iż ostatnio w Internecie popularne zrobiły się ptaki jerzyki, ponieważ zjadają mnóstwo osobokomarów. Nie może być naszej zgody na tego typu faworyzowanie jednego gatunku kosztem innego. To obrzydliwy gatunkizm i patrzeć na przyrodę z pozycji antropocentrycznych, iż skoro człowiek nie lubi osobokomarów, pochwała pożerające je jerzyki. Aby solidaryzować się ze znienawidzonymi osobokomarami, specjalnie udostępniamy im ciała jako pożywienie. Po pierwsze, nasze ciała, nasza sprawa. Po drugie, w tych upałach osobokomaram z pewnością chce się pić, a my nie możemy przechodzić wobec tego obojętnie. W ogóle jak to jest z tymi zwierzętami, iż jedne się kocha (np. osobopsy czy osobokoty), a inne się zatłukuje prawicową prasą nienawiści zwiniętą w rulon. Osobokomary też chcą żyć, mają plany

i aspiracje, a poza tym zabijanie ich jest zdecydowanie niewegańskie!

Za nami festiwal w Opolu. Jeśli oglądaliście, to pewnie zauważyliście, iż ponownie go zbojkotowaliśmy. Martwi jednak, iż znaleźli się artyści, którzy postanowili w nim wystąpić. Szczególnie wzruszył nas tytuł niedzielного koncertu z okazji Trzydziestolecia Wolności – „Nie pytaj o Polskę”. Rzeczywiście, jakkolwiek by spojrzeć, nie ma o co pytać: / No bo jak – trybunał zdemontowany, demokracja w rozpence, społeczeństwo nie umie wybierać. Jeden wielki dramat. Nam tymczasem zabrakło na scenie mocnych obywatelskich akcentów. Zabrakło Mai Ostaszewskiej, która pokazałaby, dlaczego mówi „Niedla”, zabrakło zignorowanego Lecha Wałęsy w koszulce „OTUA”, a publiczność nie pokazywała transparentów z napisem „#KONSTYTUCJA”: (Widać więc, iż chyba

przyzwyczajamy się do życia w dyktaturze. Zresztą to taka tenkrajowa tradycja, iż mieszkańcy bawią się na festiwalach w trakcie okupacji – tym razem PiS-owskiej: (

Apropos okupacji: jak ma w tym kraju być normalnie, iż znów nasze miasta zostały w czwartek opanowane przez Podkarpacie, które manifestowało na ulicach przywiązanie do katolicyzmu? Czy naprawdę w kraju w środku Europy nie można byłoby zadbać o odpowiednie parytety w trakcie procesji tego typu? Czy przedstawiciele innych wyznań nie mogliby się do nich dołączyć i poszukać wspólnie tego, co łączy, a nie dzieli? W sensie: być dobrym człowiekiem, kasować bilety w autobusie, segregować śmieci czy sprzątać po psie? © ©

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

Tour de Pologne[®] amatorów 09.08.2019

WSPARCIE FINANSOWE REHABILITACJI RYSZARDA SZURKOWSKIEGO
ZA POŚREDNICTWEM ZBIÓRKI "STOWARZYSZENIA LIONS CLUB POZNAŃ 1990".



DYSTANS 58km

www.tourdepologneamatorow.pl

ORGANIZATOR LANGTEAM

Partner Główny

BUKOVINA RESORT

Patroni Medialni

eska

TVP SPORT

SPORTOWY

onet

wprost

DO RZECZY

pap

POLSKA AGENCJA PRASOWA

TOUR

BIKOWORLD.PL

noszolo.pl

SZOSA

Sponsorzy Wspomagający

quest

OLIMP SPORT NUTRITION

studio55 advertising solutions

CISOWIANKA

Oficjalna Woda

TISSOT SWISS WATCHES SINCE 1853

Oficjalny Pomiar Czasu

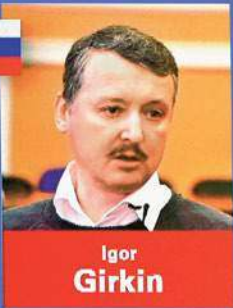


ŚLEDZCY ŚCIGAJĄ TRZECH ROSJAN I JEDNEGO UKRAIŃCA

Girkin, Pułatow, Dubinski, Charczenko – tak brzmią pierwsze cztery nazwiska osób podejrzanych w procesie o zestrzelenie w 2014 r. nad Ukrainą samolotu linii Malaysia Airlines.

Trzech Rosjan i jednego Ukraińca oskarża się o przyczynienie się do śmierci 298 osób. Wobec podejrzanych zostały wydane międzynarodowe nakazy aresztowania – poinformowali na konferencji przedstawiciele międzynarodowego zespołu śledczego (JIT), badającego katastrofę lotu MH17, w skład którego wchodzi śledczy z Holandii, Australii, Belgii, Malezji oraz Ukrainy.

Igor Girkin znany też jako Strielkow to były przywódca „separatystów” z Donieckiej Republiki Ludowej, były „minister obrony” Doniecka i pułkownik rezerwy Specnazu GRU. Dubinski to jego zastępca, który również pracował dla GRU. Dla Specnazu GRU pracował także Oleg Pułatow. Ukraińiec Leonid Charczenko był z kolei jednym z dowódców oddziałów „separatystów”. ©



Igor
Girkin



Sergey
Dubinskiy



Oleg
Pulatov



Leonid
Kharchenko

FOT. MAXIM ZARUEV/REUTERS/FORUM, JOHN THYS/AP/EAST NEWS

Góra urodziła mrowisko. Zwykle mówi się „mysz”, ale już wyjaśniamy: wielki kongres PiS w Katowicach to nie będzie jeszcze kongres z programem na wybory, tylko taka bardzo wielka dyskusja w różnych podgrupach na różne tematy. A teraz najlepsze. O takich zgromadzeniach „mrowisko” mówi nie kto inny jak Kaczor Dyktator.

Jest pewien problem z kongresem, bo z jednej strony ma być tam jak najwięcej specjalistów od wszystkiego, a z drugiej jest ryzyko, że każda teza wygłoszona w ramach dyskusji będzie przedstawiana potem w rozmaitych gazetach jako oficjalne programowe pomysły władzy. Stąd przygotowaniom oprócz dumy towarzyszy zrozumiała porcja lęku. Słusznie. Władzy, która nie wzbudza lęku, nie szanujemy.

Program na wybory i drugą kadencję zostanie przedstawiony na osobnej imprezie w sierpniu. Nie jest prawdą, jakoby tym razem miało się obejść bez nowej „piątki”. – Piątki się bardzo dobrze sprawdzają – przekonywał nas pewien znaczący przedstawiciel PiS. Szczególnie w piłce nożnej, to fakt.

Wiewiórki mówią, że jeszcze przed końcem wakacji będą nowe propozycje dla nauczycieli. Może nie w gotówce, ale jakieś inne rozwiązania: może wcześniejsze emerytury, a może jeszcze coś innego. Armagedon z rocznikami to bowiem coś, czego sztabowcy PiS we wrześniu boją się najbardziej.

Zabawnie było w zeszłym tygodniu, bo premier Mateusz zapowiedział publicznie, że ustawa o „500+” dla niepełnosprawnych jest gotowa. Tymczasem w ministerstwie trzeba było ją dopiero na gwałtu retę dogotować. Nawet niektórzy ministrowie z tego powodu odwoływali umówione wcześniejsze wizyty w mediach. No i co? Udało się. Zapisujemy więc to wydarzenie w kro-

nikach pod hasłem „triumf woli nad materią”.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Zapytaliśmy, jak przebiegają prace tercetu egzotycznego oddelegowanego do pisania nowego programu PeŁo z przystawkami. Tercet to Brejza-Szłapka-Karnowski-Sopocki. Dziwna rozbieżność nastąpiła. Nieoficjalnie to oni się mają dopiero spotkać. Oficjalnie – to spotykają się codziennie, od dawna, i ciężko pracują.

Àpropos Karnowskiego-Sopockiego i rozmaitych znanych samorządowców, na których liczy PeŁo. Chociaż Trzaskowski czy Truskolaski kandydować do Sejmu nie chcą, to wielu innych ma wielką ochotę. Na przykład

Trzaskowski i Truskolaski kandydować do Sejmu nie chcą. Za to wielu innych ma wielką ochotę. Na przykład Jacek Karnowski-Sopocki

właśnie Jacek Karnowski-Sopocki. Mówi znajomym, że już ma dość samorządu i czuje się wypalony. Hm... Nie wiedzieliśmy, że słowo „wypalony” może być synonimem słowa „nachapany”.

Jeszcze o samorządowcach. Tezy decentralizacji Polski wygłoszone 4 czerwca oraz inne propozycje demontażu państwa nie mają wiele wspólnego z PeŁo, przyznają wiewiórki w PiS. „Ale za to jak pięknie się udało Jarkowi tym tematem trafić w opozycję” – dodają. To prawda, ale żeby skorzystać z okazji, trzeba mieć Kaczora Dyktatora, a nie tercet egzotyczny.

Tymczasem u kukistów. Rozmowy Kukiza i Peezelu to niestety prawda. Co gorsza, podobno Paweł ma już gotowy gładki argument, którym będzie zbijał oskarżenia, że wchodzi w sojusz z zieloną siłą. Argument brzmi tak: „To prawda, nazwałem PSL zorganizowaną grupą przestępczą, ale skoro mamy tak dobrze działającą prokuraturę i sądy, to gdyby było tak w rzeczywistości, dawno zostaliby ukarani”.

Bardzo nas ciekawi, jak się to wszystko zakończy. Oby nie zdaniem w podręcznikach historii „Leszek Miller nie dostał się do Sejmu z list Samoobrony, a Paweł Kukiz – z list Peezelu”.

Natomiast w PiS, obleganym przez żadnych miejsc na listach kukistów, dojrzewa pomysł, by samego Pawła Kukiza wystawić jako kandydata do Senatu. Nawet nas to trochę bawi. Paweł będzie mógł w praktyce sprawdzić, jak działają okręgi jednomandatowe.

Wokolicach Władka Kosińskiego-Kamysza krąży też nie kto inny jak Marek

dwaj panowie **g**



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

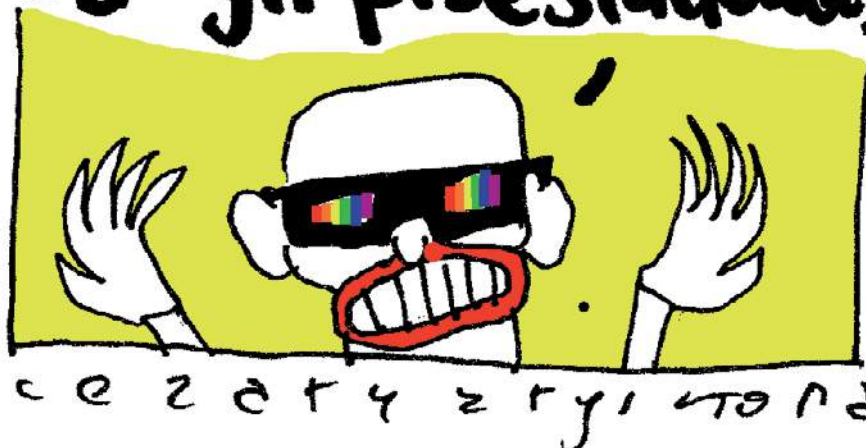
Jurek. W eurowyborach kandydował jako kukista, ale średnio mu poszło. Nie przeszkadza nam to. Zawsze mówiliśmy, że Marek Jurek to równy chłop.

W Sądzie Najwyższym powoli rozpoczynają się przymiarki do tego, kto zastąpi Gersdorfową w fotelu pierwszego prezesa. W kazamatkach, czyli podziemnej stołówce przy placu Krasińskich, największe przerażenie budzi pogłoska, że swoją kandydaturę może wystawić obecny szef prokuratury, czyli Bogdan Świączkowski. I powiemy szczerze – nie dziwi nas owo przerażenie. Wszak nie darmo nosi on przydomek Godzilla. Pytanie tylko, czy na ten transfer zgodzi się prawdziwy pierwszy prezes Polaków, zwany też Dyktatorem.

Niestety, nie mamy dobrych wieści dla Marka Falenty. Otóż w prokuraturze szykują się dla niego kolejne zarzuty. I wcale nie chodzi o taśmy czy podsłuchy. Prokuratorzy odkryli bowiem, że chcąc ukryć swój majątek przed Ruskimi, którym jest winien kupę kasy, wpadł na pewien pomysł. Niestety zrobił to nieudolnie, a co gorsza – na ten pomysł jest akurat paragraf.

Rysiek Petru ogłosił po raz 2765., że jest w Polsce miejsce na nowoczesną partię liberalną. I my mu wierzymy. Wiemy nawet, kto utwierdza go w tym przekonaniu. Złe języki opowia-

No co mam jeszcze
zrobić, żebyście mnie
zaczęli prześladować?



startu Rysiek zaprosił do współpracy cztery firmy PR, które miały zbadać jego sytuację i powiedzieć, co ma dalej robić. Zgodnie stwierdziły, że musi się głęboko pokajać, odkręcić sprawę z Maderą, Joašką i podjąć inne działania pokutne.

A teraz puenta. Zgłosiła się też piąta firma, szeroko znana, która robiła m.in. kampanię pewnej sieci komórkowej. Jako jedyna powiedziała Ryškowi,

Życie przegania kabaret. Kazio Marcinkiewicz skarży się, że komornik chciał mu zabrać na zawodach rower. Nie zabrał, bo to był cudzy rower. Naprawdę nie mamy nic do dodania.

Z cyklu „Imprezy u żony mecenasa Romana”. Policyjna interwencja „zakńczyła się pouczeniem 40-letniego mężczyzny z powiatu zachodniego”. No ale Giertych Roman to rocznik 1971, czyli 48 lat. Cholera, nie można już wierzyć ani policji, ani tabloidom...

Tylko jedna agencja PR powiedziała Ryškowi, że nie musi się kajać, wszystko jest super. Zgadnijcie, którą firmę wybrał Rysiek Petru?

dają bowiem, że Rysiek ma obiecanie sporo geldu od lobby bankowego, jeśli tylko jego nowoczesna partia liberalna głośno będzie podkreślać, jak bardzo w Polsce potrzebna jest waluta euro. Złe języki znają nawet konkretne oczekiwania sponsorów: żeby w sondażach partia Ryśka miała nie 2 proc., lecz 4. Żaden problem, trzeba tylko zadzwonić do odpowiedniej sondażowni.

Z reaktywacją Ryśka wiąże się też inna piękna historia. Otóż w celu poprawy wizerunku i nowego

że nie musi się kajać, że wszystko jest super; a najbardziej super jest sam Rysiek. Zgadnijcie, którą firmę wybrał Rysiek?

Mamy dla wszystkich skompromitowanych polityków biznesową propozycję. Całkiem serio. Jeśli tylko potrzebujecie kogoś, kto powiedziałbym wam, że jesteście super i że wszystko, co robicie, jest super to nie przeplacajcie. Zgłoście się do nas. Zrobimy to dużo taniej, bez przetargu i jeszcze opiszemy w popularnej rubryce.

Skoro już o interwencjach. Prokuratura, która nie tak dawno zatrzymała generałów za walki na kasie przy organizacji Air Show w Radomiu, nabrała apetytu na następnego człowieka w lampasach. Będzie z tego wielki dym, bo faceta nie lubi były szef MON o imieniu Krwawy Antoni. Ale niezmiernie lubią go za to dziennikarze głównego kanału piszący o wojsku.

Życie kulturalne. Myśleliśmy, że nic gorszego od premiery nowej książki Marka Migalskiego nie może nas spotkać. Do chwili, kiedy odkryliśmy, że ukazały się wiersze Barbary Labudy. Dla młodszych: Barbara Labuda to była taka Joanna Scheuring-Wielgus czasów geremkowszczyzny, a potem kwaśniewszczyzny. W sumie wiersze Scheuring-Wielgus też byśmy poczytali. ©©



Z prof. Bogdanem Musiałem, historykiem
rozmawia Krzysztof Masłoń

KRZYSZTOF MASŁOŃ: Gdyby w tytule pańskiej książki: „Kto допоможе Żydowi...” był znak zapytania, pomyślałbym, że może chodzi tu o Polaka, ale że jest wielokropek...

PROF. BOGDAN MUSIAŁ: ... to też chodzi o Polaka, tyle że po przecinku: „Kto допоможе Żydowi, ten podlega karze śmierci”. Sformułowanie to znalazło się w wielu niemieckich rozporządzeniach, po raz pierwszy w akcie mającym moc dekretu, wydanym 15 października 1941 r. przez Hansa Franka. Rozporządzenia różnie tłumaczono; zawsze najważniejsze było to, żeby właściwie je rozumiano. A „karę śmierci” rozumiano.

Manipulacje i konfabulacje



Za pomoc Żydom Niemcy zabili rodzinę Ulmów. Na zdjęciu: wystawa w Gdańsku poświęcona polskiemu bohaterom. FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

Według danych Józefa Gitlera-Barskiego, dyrektora komitetu opieki nad dziećmi w warszawskim getcie, ze 100 tys. żydowskich dzieci z getta ocalało 300. To były te, które znalazły schronienie w polskich rodzinach, po drugiej stronie muru. Jednak Ludwig Fischer mógł meldować latem 1942 r. o ograniczeniu czy wręcz likwidacji plagi żydowskiego żebractwa.

Zatrzymajmy się w tym miejscu. Przypomina pan w swojej książce słynny artykuł Jana Błońskiego z 1987 r. „Biedni Polacy patrzą na getto”, w którym ten krytyk literacki zarzucił Polakom obojętność wobec zagłady Żydów. Bez tego eseju nie może od tamtej pory obejść się żaden dyskurs dotyczący wzajemnych stosunków polsko-żydowskich.

Przywołałem ten tekst z uwagi na kolejną publikację, Tomasza Żukowskiego, też specjalisty od literatury, który autorytatywnie stwierdził: „W 1943 roku w Warszawie Jan Błoński jako chłopiec spotkał żydowskie dziecko, uciekiniera z getta. Wspomina, że nie mógł się do niego uśmiechnąć, bo to zostałyby zrozumiane jako szyderstwo albo zapowiedź donosu”. Otóż, w 1943 r. żydowskich dzieci, uciekinierów z getta, nie było w Warszawie. To nie jest drobiazg, pogarda dla faktów charakteryzuje wiele osób uważających się często za znawców tej problematyki.

Tymczasem pana książka wzięła się głównie z dokumentów.

No nie, wzięła się z historii rodzinnych, o których zresztą opowiadałem w książce. To mój dziadek ze strony mamy, Jan Trela, przez lata wyrzucał sobie, że odmówił prośbie wzięcia żydowskiej dziewczynki na przechowanie. Bał się mieszkających w tej samej wsi folksdojców, tego, że doniosą, a Niemcy zastrzelą nie tylko Żydówkę, lecz także jego, jego żonę i dzieci. Tematyką Holokaustu i relacji Polaków, Niemców i Żydów zająłem się na studiach historycznych, a w latach 1995–1997 przeprowadziłem kwerendę do doktoratu o niemieckiej administracji cywilnej w Generalnym Gubernatorstwie oraz niemieckiej polityce przeciwko Żydom na terenie Polski centralnej i wschodniej. Poznałem wtedy prawodawstwo okupacyjne zabraniające pomocy Żydom prześladowanym w okupowanej Polsce.

a w najlepszym razie współudział w zbrodniach nazistowskich – bo nie niemieckich przecież – pan dowody na kłamstwo tych tez znajduje nie gdzie indziej jak w dokumentach niemieckich, niezauważanych, niewykorzystywanych przez Barbarę Engelking, Jana Tomasza Grossa czy Jana Grabowskiego.

Żeby skorzystać z materiałów niemieckich, trzeba znać język niemiecki...

Czyżby było inaczej?

Ani psycholożka Engelking, ani socjolog Gross niemieckiego według mojej wiedzy nie znają, natomiast Jan Grabowski utrzymuje, że zna ten język, ale jeśli nawet nauczył się go na jakichś kursach, to błędy, które popełnia, świadczą o słabej jego znajomości, a coś dopiero mówić o jakże specyficznym języku niemieckiej biurokracji. Ale najgorsze jest co innego...

???

Symulowanie badań naukowych, bo z nim mamy do czynienia, np. w projekcie badawczym „Świadkowie Holokaustu – społeczeństwo polskie na terenach okupowanych wobec zagłady Żydów (1939–1945)”. Kierująca projektem Barbara Engelking z góry założyła, że jej celem jest redefiniowanie samego pojęcia „świadka” – oczywiście świadka Zagłady. Polak powinien bowiem pomagać Żydowi, a donieść na ukrywającego się Żyda można było albo i nie, i nie miałyby to mieć jakoby związku z prawodawstwem niemieckim. No, to jest więcej niż błąd.

Sankcje groziły Polakowi za wszystko, co się z Żydami łączyło. A sprawa donosicielstwa też nie była wcale zupełnie prosta. We wsi sołtys, który „wiedział, a nie powiedział”, miał duże szanse na to, że zostanie powieszony albo rozstrzelany.

28 października 1942 r. dowódca SS i policji w Generalnym Gubernatorstwie Friedrich Wilhelm Krüger zadekretował w rozporządzeniu policyjnym obowiązek meldowania do władz niemieckich o zbiegach żydowskich – pod groźbą policyjnych środków bezpieczeństwa.

Co się kryło za tą nazwą?

Rozstrzelanie lub zesłanie do obozu koncentracyjnego, co często równało się karze śmierci.

Można odnieść wrażenie, że stosunek Niemców do Polaków pomagających Żydom zaostrzał się z każdym dniem...

Pomoc Żydom też na ogół nie była doprecyzowana.

Nie było takiej potrzeby, chodziło o wszelką pomoc. W niedługi czas po Franku gubernator dystryktu warszawskiego Ludwig Fischer pod groźbą kary śmierci zabronił Polakom przekazywania Żydom jałmużny i żywności, w tym także dla głodujących dzieci żydowskich. A skoro takie rozporządzenie zostało wydane, to znaczy, że tym głodującym dzieciom żydowskim Polacy pomagali.

Dopóki mieli komu... Żydowskie dzieci w pierwszej kolejności pojechali do Treblinki.

W efekcie dziś, gdy Polakom zarzuca się donoszenie na Żydów i ich mordowanie,

Niemcy nabierali doświadczeń. Ale mylące byłoby wrażenie, że zanim okupanci spenalizowali tego rodzaju działania, Polakom nic za to nie groziło. Nic podobnego. W 1940 r., o czym wspominam w książce, Ludwig Fischer nakazał warszawskiej radzie adwokackiej, by pozbyła się osób pochodzenia żydowskiego. Dziekan Leon Nowodworski z innymi przedstawicielami rady interweniował u władz niemieckich z takim skutkiem, że zostali aresztowani i wywiezieni do obozów, skąd już nie wrócili.

Dopiero lektura „Kto dopomoże Żydowi...” uświadomiła mi prawdziwy sens opowieści, które pamiętam z dzieciństwa, a i później powtarzanych, o swoim dziadku, który w Białymstoku „za Niemca” handlował – jak słyszałem – „z Żydami z getta”. Nie widziałem w tym specjalnego powodu do chwały, a teraz myślę, że gdyby wtedy wpadł, mógł za to zapłacić życiem, wraz z moją babcią, ciotką, całą rodziną. Za to, że nosił do getta jakąś żywność, a przynosił jakieś przedmioty, może złoto.

Ale niech pan zwróci uwagę na to, że w tym samym postępowaniu Niemcy widzieli dokarmianie Żydów. A normy skazywały Żydów na śmierć głodową. Nawiasem mówiąc, normy dla Polaków były tylko trochę wyższe. W 1941 r. w miastach w Generalnym Gubernatorstwie średnia wartość artykułów żywnościowych przyznawanych oficjalnie przez władze niemieckie wynosiła dla Żydów 184 kalorie, dla Polaków kalorii 654, a dla Niemców 2310.

Mówił pan wcześniej o manipulacjach dokonywanych przez Barbarę Engelking, przypominających mi zarzuty wysuwane wobec Grossa, o którym pan swego czasu pisał, że nie to jest ważne, czy jest zawodowym historykiem, czy nie, ale że wyniki swoich badań wykorzystuje w celach z nauką niemających nic wspólnego.

To samo się dzieje w wypadku Jana Grabowskiego – na dobrą wiarę przyjmującego relacje żydowskie i, niestety, również zeznania niemieckich urzędników – natomiast na punkcie polskich chłopów mającego jakąś fobię, bo oskarża ich o wszystkie możliwe zbrodnie na podstawie bardzo wątpliwych dowodów nawet, lecz tylko przesłanek do odpowiedniego rozumowania. Absolutnie szokująca jest skala konfabulacji w jego pracy „Judenjagd”. Manipuluje też danymi liczbowymi, co doprowadza go do stwierdzenia, jakoby to Polacy zamor-

dowali podczas Holokaustu 200 tys. Żydów. Bezpośrednio lub pośrednio.

Przy tym powoływał się na artykuł Szymona Datnera, o czym mówię z tym większą przykrością, że Datner w latach powojennych zaznajomił się w Białymstoku z moim ojcem i potem był w naszym warszawskim mieszkaniu, a ojciec wyrażał się o nim jak najlepiej.

Bo i Datner nic podobnego, co zapisuje mu Grabowski, nie napisał. Cytuję w swojej książce wspomniany artykuł, a z niego te słowa: „W jednej z prac liczbę ocalałych Żydów [pod niemiecką okupacją] oszacowałem, głównie dzięki pomocy ludności polskiej – na ok. 100 000 osób. Równie orientacyjnie oceniamy, że co najmniej drugie tyle ofiar zostało wychwytyanych przez organa okupacyjne i padło ofiarą zbrodni”.

Organa okupacyjne... to przecież nie Polacy, nawet nie, nazywana granatową, Policja Polska Generalnego Gubernatorstwa.

Która nie miała prawa wejść do getta – o czym nie wiedzą nieuki ochoczo zabierające głos na ten temat – a której pierwszym komendantem był Marian Koziński, brat sławnego Jana Karskiego.

Nie znaczy to, że ktoś taki jak Franciszek Kłos, zapijaczony i służący Niemcom zbrodniarz z opowiadania Stanisława Rembeka, był absolutnym wyjątkiem.

Oczywiście Policja Polska się zmieniła, Niemcy powołali w Nowym Sączu specjalną szkołę, gdzie kształcili młodych policjantów w zupełnie innym duchu. Starsi bowiem – jak się skarżyli – wykazali się wobec nich nielojalnością. Nieprzypadkowo najgorszą gehennę w Auschwitz, z transportów, które przybyły tam pierwsze, po 14 czerwca 1940 r., przeżyli Żydzi, księża katolicy i policjanci właśnie.

Ciekawe, że także Sowietci, z terenów Polski, które zajęli w 1939 r., w pierwszej kolejności wywozili duchownych i policjantów.

Bo to byli polscy patrioci, pełniący służbę dla Rzeczypospolitej. Hitlerowcy na niemiecką modłę nie mogli ich przemienić, ale ich następców i zmienników, i owszem. A nie zapominajmy, że ten sam policjant, który do getta nie mógł wejść, poza nim miał obowiązek donoszenia o ukrywających się Żydach. Mógł tego nie robić, ale wówczas ryzykował, a szmalcownictwo wydawać się mogło opłacalne.

Czym były w Generalnej Guberni Sondergerichte?

To były sądy specjalne, utworzone na wzór podobnych ciał funkcjonujących w III Rzeszy od 1933 r. Charakterystyczne dla nich były uproszczone procedury, w tym brak konieczności przeprowadzenia postępowania dowodowego. A od ich wyroków nie można się było odwoływać, bo nie było gdzie. W październiku 1941 r. sądy specjalne otrzymały kompetencje orzekania w sprawach karnych za pomoc Żydom. I niemieccy sędziowie taśmowo orzekali kary śmierci. Uratować życie skazanym mógł jedynie generalny gubernator, z którego to prawa niekiedy korzystał. Ale ciekawe, że zastępca Franka, Josef Bühler, nie ułaskawił jedyne go obywatela Rzeszy, na którego sprawę natknąłem się w archiwach. Chodzi o Aloisa Hubera z Bawarii, który pracował w Krakowie jako kierowca ciężarówki. Podjął się, za spore pieniądze, nielegalnego przewiezienia mieszkających poza gettem Żydów z Krakowa do Nowego Targu. Niewykluczone, że była to prowokacja, w każdym razie ciężarówkę zatrzymał niemiecki patrol policyjny i Huber stanął przed sądem specjalnym. W październiku 1944 r. wykonano na nim wyrok śmierci.

Na początku okupacji wyroki były jeszcze znacznie łagodniejsze, a władze policyjne, które potem też wprowadziły własne sądy doraźne, stosowały areszt prewencyjny.

Trudno te sądy policyjne w ogóle uważać za sądy, a rozszerzenie ich kompetencji najlepiej okazało sławne rozporządzenie o zwalczaniu zamachów na niemieckie dzieło odbudowy w GG z października 1943 r., według którego kara śmierci groziła za „wszelkie uchybienia ustawom, rozporządzeniom, zarządzeniom i dyspozycjom władz okupacyjnych, popełnione z zamiarem utrudniania lub przeszkadzania w niemieckim dziele odbudowy”.

Do swojej książki wplótł pan osobistą narrację związaną z wydarzeniami w pana rodzinnej wsi – Wielopole w okolicach Dąbrowy Tarnowskiej, gdzie jesienią 1943 r. niemiecki żandarm zastrzelił ukrywające się w stodole dwie żydowskie kobiety i dziewczynkę, po czym kazał zakopać zwłoki. Wszystko to działo się na oczach niemal całej wsi, a decyzje o powiadomieniu posterunku podjął miejscowy sołtys, gospodarz we wsi szanowany, który sam pomagał w ukrywaniu

i Żydówki, i zbiegłego jeńca sowieckiego. Gdyby nie zgłosił tego wypadku, uczyniłby to znany we wsi donosiciel, mający na sumieniu zabójstwo, rozboje i pobicia, w tym jednej Żydówki. Sąsiad ten nazywał się – uwaga! – Zygmunt Masłoń. To nie moja rodzina, która wywodzi się z okolic Częstochowy, Zawiercia, Myszkowa, jest tam nawet wieś Masłowskie, niemniej pomyślałem sobie, że mojego stryja Tadeusza Niemcy rozstrzelali m.in. za pomoc Żydom. A cóż mógłbym począć, gdybym w rodzinie miał takiego Zygmunta, zresztą zlikwidowanego w 1944 r. przez AK, po wydaniu na donosiela wyroku śmierci.

Nic, oczywiście, że nic.

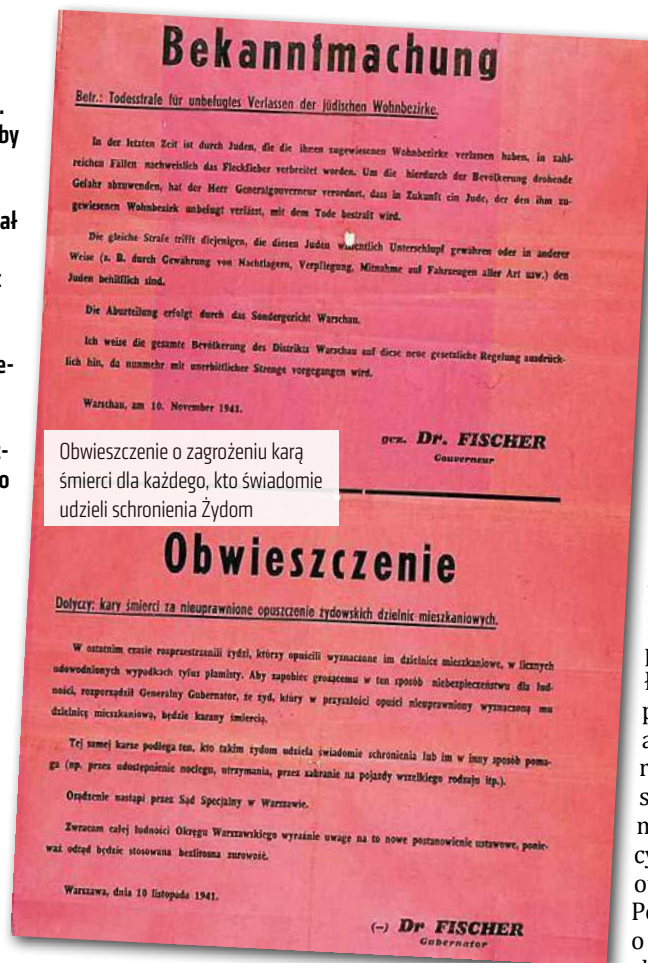
A po wojnie, jak czytam w pana książce, mordem w Wielopolu zajął się Sąd Okręgowy w Tarnowie, w 1949 r. u niewinniając sołtysa i gromadzkiego zakładnika tzw. dziesiętnika. Skazał natomiast na więzienie, wyroki wyносиł od jednego roku do ośmiu lat, syna sołtysa i trzech jeszcze mężczyzn.

Początkowo nie chciałem całej tej historii wprowadzać do książki. Dopiero gdy dzięki Piotrowi Gontarczykowi dotarłem do akt procesowych tej sprawy, mogłem zweryfikować znane mi przekazy rodzinne. Okazało się, że pokrywają się one z wynikami śledztwa.

Symbolem niemieckich zbrodni na Polakach ukaranych za pomoc Żydom stała się zbrodnia w Markowej pod Łańcutem, gdzie hitlerowcy zamordowali rodzinę Ulmów razem z ukrywaną przez nich rodziną żydowską, w sumie 16 osób i nienarodzone dziecko Wiktorii Ulmowej. Jednak mówi się o zbrodni, a nie o zbrodniarzu.

Akcją dowodził porucznik policji niemieckiej Eilert Dieken. To on podjął decyzję o rozstrzelaniu nie tylko małżeństwa Ulmów, lecz także sześciorga ich dzieci, w wieku od półtora roku do ośmiu lat. Dieken sam był ojcem trojga małych dzieci. Po 1945 r. kontynuował służbę w niemieckiej policji w miasteczku Essen na północy Niemiec. Nigdy nie poniósł żadnej kary za popełnione w Polsce zbrodnie, a jego najstarsza córka, z którą rozmawiałem w 2013 r., wspominała go ciepło. Wiadomości, które jej przekazałem, niespecjalnie ją poruszyły.

W pewien sposób pańskie spotkanie z nią było kontynuacją sławnych rozmów Krzysztofa



Obwieszczenie o zagrożeniu karą śmierci dla każdego, kto świadomie udzieli schronienia Żydom

Kąkolewskiego, który w 1975 r. opublikował swoje wywiady ze zbrodniarzami hitlerowskimi, do których pojechał do RFN, by zadać im właściwie jedno pytanie: Co u pana słychać? Tak też zatytułował swoją książkę.

Do swojej książki włączyłem jego krótkie opowiadanie „Bezruch, cisza i ciemność”, ukazujące wspólny dramat okupacyjnej – Żydów i Polaków. Na okładce „Kto dopomoże Żydowi...” zamieściłem obwieszczenie niemieckiego starosty łowickiego dr. Heinza W. Schwendera z 17 grudnia 1941 r. ze słowami: „Zwracam jeszcze raz uwagę na zarządzenie, że kara śmierci grozi każdemu, który udzieli Żydom opuszczającym miejsce odosobnienia bez zezwolenia Władz, lub też w inny sposób okaże Żydom swą pomoc”. Schwender, mimo że po wojnie przebywał w obozach sowieckich i amerykańskich, zrobił w Niemczech karierę prawniczą.

Powojenne sądy polskie za pomoc i współudział w zagładzie Żydów skazały bardzo wielu Polaków, a także – co się skwapliwie przemilcza – obywateli polskich żydowskiego pochodzenia.

Tych skazanych były tysiące, a pamiętajmy też o wydanych i wykonanych

wyrokach śmierci, za szmalcownictwo właśnie, przez sądy Polski Podziemnej. Dużo łaskawszy okazał się los dla niemieckich urzędników, prawników czy policjantów, którzy organizowali i nadzorowali „polowania na Żydów”.

Do sądów polskich, funkcjonujących w warunkach końca lat 40. i coraz bardziej widocznego stalinizmu, też można mieć zastrzeżenia...

Procesy te nie zawsze odbywały się z zachowaniem praworządnych procedur. Zdarzało się również, że pod pozorem kolaboracji z Niemcami komuniści prześladowali członków podziemia, przypisując im działania antyżydowskie, wynikające ponoć z niejako programowego antysemityzmu. Ale ogólnie rzecz biorąc, polski wymiar sprawiedliwości, na ile to było możliwe, rozliczył się z okupacyjną przeszłością. Zbrodniarze otrzymali to, na co zasłużyli. Do Polski trafiło 1817 podejrzanych o popełnienie zbrodni na terenie okupowanego kraju, z których większość została skazana na

wysokie kary więzienia lub śmierć, tak jak m.in. komendant obozu w Auschwitz Rudolf Höss, zastępca Hansa Franka, Josef Bühler, czy kat z Płaszowa Amon Göth. Jeśli zaś chodzi o sędziów, do których trafiały te sprawy, to był wśród nich np. Jan Sehn, legendarny polski sędzia śledczy pochodzenia niemieckiego, doktor prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, przewodniczący krakowskiej komisji okręgowej Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, który prowadząc śledztwo w sprawie Bühlera, zgromadził kilkaset tomów oryginalnych (!) dokumentów, a z oskarżonym rozmawiał, oczywiście, po niemiecku.

Z chwilą powstania Republiki Federalnej Niemiec zaczęły się piętrzyć trudności z postawieniem przed sądem oskarżonych o zbrodnie z lat wojennych.

A to ze względu na humanitaryzm przyświecający poczynaniom młodego państwa niemieckiego, które na dzień dobry zakazało ekstradycji swoich obywateli oraz zlikwidowało karę śmierci. Równolegle zaczęła lawinowo spadać liczna skazanych za przestępstwa

nazywane odąd nazistowskimi. W 1949 r. było ich jeszcze 1476, a w 1955 – już tylko 15.

A podobno to Niemcy z RFN wzorcowo zadośćuczynili swoim największym ofiarom – Żydom.

W sumie sądy zachodnioniemieckie – te jak najbardziej praworządne i demokratyczne – orzekły ok. 600 wyroków skazujących za nazistowskie zbrodnie dokonane na 6 mln europejskich Żydów. Nie jest mi znany ani jeden wyrok skazujący sądu RFN-owskiego za udział w „polowaniu na Żydów” na terenie Polski.

A jak było pod tym względem w NRD?

Władze były tam bardziej stanowcze, lecz o decyzjach podejmowanych przez organ bezpieczeństwa decydowała polityka. Najważniejszy był interes własnego reżimu, Związku Sowieckiego, a sprawiedliwość – już niekoniecznie. Jednak w latach 60. skazany został tam na karę śmierci Horst Fischer, lekarz SS z obozu zagłady Auschwitz, czy Josef Blösche, który jako gestapowiec służył w Warszawie i brał udział w likwidacji getta.

Okazać się jednak miało, że to Niemcom z RFN udało się zafundować światu kłamstwo o złych nazistach, którzy winni są zbrodniom nie tylko na Żydach, choć na nich przede wszystkim, lecz także na Romach – co się podkreśla, na homoseksualistach, niech będzie, że i na Polakach, ale też na Niemcach, bo jakżeby inaczej.

W zeszłym roku Uniwersytet w Bielefeldzie przeprowadził badania, z których wynika, że 69 proc. Niemców twierdzi, iż wśród ich przodków nie było sprawców II wojny światowej, a 54 proc. doszukało się wśród nich ofiar teźże wojny. Wielki triumf odniosła niemiecka propaganda historyczna, potrafiąca takie akty bez większego znaczenia – jak przykleśnięcie kancлера RFN Willy’ego Brandta przed pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie w grudniu 1970 r. – podnieść do rangi epokowego wydarzenia. A polityka ta, zda się, odnosi sukcesy także w Polsce, gdzie Niemcy zbudowali obozy zagłady, w których wymordowali 90 proc. polskich i większość europejskich Żydów. I to u nas, w polskim Wrocławiu, centrum im. Willy’ego Brandta nie pozwala zapomnieć o tym, co jego patron zrobił pół wieku temu na sto-

łecznym Muranowie. Uklęknął! I kwiaty złożył!

Podobno polscy naukowcy ścigają się, by dostarczyć naszemu zachodniemu sąsiadowi materiałów dowodzących polskiej winy, a przynajmniej współwinny w Holokauście. Z kolei polscy propagandyści przedstawiają wysane z palca bzdury jako świadectwo zagłady. Tak działał się przed laty z „Malowanym ptakiem” Jerzego Kosinińskiego, który nie daje o sobie zapomnieć i wraca, a to pod postacią filmu, a to znów sztuki teatralnej. Od pół roku czołowe miejsce na liście bestsellerów w Polsce zajmuje powieść australijskiej pisarki, a wcześniej przed drukiem tej debiutanckiej książki pielęgniarki, Heather Morris – „Tatuażysta z Auschwitz”. Zdążył pan wspomnieć o niej w „Kto dopomoże Żydowi...”, cytując wywiad przeprowadzony z wyraźnie niedouczoną autorką przez „Gazetę Wyborczą”. Morris opowiada w nim, jak bardzo poruszyło ją to, że Polacy ze wsi znajdujących się nieopodal budowanego obozu, choć widzieli, co tam się dzieje, pracowali dla Niemców.

Oczywiście, Australijka nie wiedziała o tym, że na początku 1941 r. Niemcy utworzyli strefę interesów KL Auschwitz, z której przymusowo wysiedlili Polaków i Żydów, w ich miejsce sprowadzając niemieckich kolonistów. Polacy również pracowali w obozie. Jednak jak wytłumaczyć pisarce z antypodów, że możliwości sprzeciwu mieli mocno ograniczone, a właściwie w ogóle ich nie mieli. Heather Morris można wiele – choć nie wszystko – wybaczyć, ale dziennikarz „GW” miał obowiązek zwrócenia uwagi na luki w jej wiedzy o powstawaniu i funkcjonowaniu obozu Auschwitz-Birkenau.

Czy Polska była jedynym krajem w podbitej przez Hitlera Europie, w którym Niemcy wprowadzili specjalne prawodawstwo, mówiące o tym, że za pomaganie Żydom grozi kara śmierci?

Tego nie wiem, ale będę chciał się dowiedzieć w swojej dalszej pracy. Na razie – a przewertowałem archiwa niemieckie i rosyjskie, amerykańskie i angielskie, austriackie i węgierskie – nie natknąłem się na nic podobnego. Inni badacze milczą też na ten temat, jeśli chodzi o Francuzów, Belgów, Holendrów czy Duńczyków. Nie znaczy to, że nie sankcjonowano tam pomocy Żydom, prawdopodobnie jednak wykorzystywano istniejące przepisy, nie tworząc zaś nowych, odrębnych. Przede wszystkim



BOGDAN MUSIAŁ
„KTO DOPOMOŻE
ŻYDOWI...”
ZYSK I S-KA 2019

inna była skala pomocy udzielanej osobom narodowości żydowskiej.

No tak, jak pan pisze, na terenie Czech i Moraw w ukryciu przeżyły tylko 424 osoby pochodzenia żydowskiego.

A jednak kilkunastu Czechów zostało skazanych na karę śmierci przez sądy specjalne. Także w Norwegii za pomoc Żydom w ucieczce do Szwecji kilku członków ruchu oporu zapłaciło głową.

Ale już we Włoszech i w Danii pomoc taka w zasadzie nie była karalna.

Tymczasem Dania uchodzi za modelowy wręcz przykład oporu mieszkańców, niezgadających się na rasistowską politykę narzucaną przez Niemców.

Niemiecka marynarka wojenna arestowała na morzu duńskich rybaków, którzy za hojną opłatą przemycali Żydów do Szwecji i wydali ich duńskim władzom, a duńskie sądy skazały niektórych z nich na trzy miesiące aresztu. Takie są fakty i nic nie wskazuje na to, aby poza okupowaną Polską Niemcy stworzyli specjalne prawodawstwo penalizujące pomoc Żydom, jak również cały system terroru wymuszający współudział w wyłapywaniu uciekinierów żydowskich. Dlaczego? Bo nie było takiej potrzeby. Po prostu.

Zapewne inaczej wyglądała sytuacja w krajach okupowanych i satelickich.

Naturalnie! I w tym kontekście należy patrzeć na działania policji francuskiej czy kolaborantów z Litwy, ze Słowacji i z Węgier. Ale najważniejsza była wielkość zjawiska. To tu, na ziemiach polskich, mieszkało najwięcej Żydów i tu otrzymywali pomoc od obywateli polskich. Tym Żydom, którzy tutaj przeżyli Zagładę, udało się to dzięki Polakom. Gdyby nie polska pomoc, za którą groziła śmierć, żaden z nich nie przeżyłby w ukryciu lat okupacji niemieckiej. Żaden.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Bogdan Musiał
– historyk, specjalizuje się
w badaniu dziejów Niemiec,
Polski i Rosji w XX w.

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



**ZDOBYŁEM MONTE CASSINO!
PORUSZAJĄCY WYWIAD
Z ŻOŁNIERZEM ARMII ANDERSA**

Piotr Zychowicz – **Wołyń zdradzony**
Szokujące dokumenty podziemia z Galicji Wschodniej
Sławomir Cenckiewicz – **Berling, won z pomnika!**
Mikołaj Iwanow – **Luksusowe życie Stalina**
Sławomir Koper – **Bestialskie zabójstwo żony magnata**
Gerald Posner – **Diabelskie eksperymenty dr. Mengelego**
Marcin Bartnicki – **Tajemnica zatonięcia „Kurska”**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Piotr Semka

„Embarras de richesse”
– to francuskie określenie oznacza
kłopoty tego, któremu los dał
więcej, niż przypuszczał. Czy PiS
jest w takiej właśnie sytuacji?

Za szybka zwyczajka formy PiS

Jarosław Kaczyński przypomina dziś trenera, który boi się demobilizacji drużyny przed ostatnią najważniejszą rozgrywką. Czy szczyt formy nie przyszedł za wcześnie? Czy uda się dowieźć zwycięski wynik do jesiennych wyborów?

SŁUPKI ROSNĄ

Średnia sondażowa opublikowana 16 czerwca przez niezmordowanego Marcina Paladego daje PiS aż 47,9 proc. (w badaniu brano pod uwagę tylko wskazania zdecydowanych). Do Sejmu wejść może jeszcze Platforma z Nowoczesną – 25,6 proc. – oraz Wiosna z wynikiem 7,7 proc. Nie wchodzi SLD (4,4 proc.) i PSL (4,1 proc.).

Wydawałoby się, że Jarosław Kaczyński powinien już świętować sukces. Jednak klimat jego dwóch niedawnych wystąpień – na wyjazdowym posiedzeniu klubu PiS w Warszawie 14 czerwca i dzień później na zlocie klubów „Gazety Polskiej” – był inny. Prezes starannie unikał wrażenia, że „jest już pozamiatane”. Wręcz na odwrót – wzywał do maksymalnej mobilizacji i jeszcze bardziej wyťažonej pracy.

„Wyraźnie jest na fali – mówi jedna z działaczek klubów »GaPola«. Zarówno on, jak i Mateusz Morawiecki są wyraźnie podekscytowani wizją kolejnej kadencji. Premier grał na gitarze klubowiczom Tomaszowi I – jak twierdzą świadkowie – nie

wyglądało to na wystudiowany luz”.

Kaczyński i Morawiecki wiedzą, że tylko druga kadencja umożliwi im utrwalenie zmian z pierwszej i uznanie przez Europę, że rządy PiS nie były politycznym „wybrykiem natury”. Wspomniana już średnia sondażowa z czerwca pokazuje możliwość zdobycia 287 miejsc w Sejmie. To gwarantuje nie tylko solidną większość, lecz także zdolność obalenia ewentualnych wet czy to senackich, czy prezydenckich. Na dodatek PiS dzieli wtedy już tylko 16 miejsc do większości pozwalającej zmienić konstytucję.

Jednak ktoś, kto w Polsce wypowiada na głos takie marzenia, nigdy nie wychodzi na tym dobrze. Dlatego Kaczyński



– Wtedy, w marcu 2018 r., prezes musiał tą obniżką zgasić wzburzenie po słowach Beaty Szydło „te pieniądze się należały”. Tyle że teraz wiele osób nie chce kolejnej kadencji ze stosunkowo marnymi pieniędzmi poselskimi, ale szuka lepszych finansowo posad w PiS-owskich sejmikach samorządowych”.

Już po odejściu Elżbiety Kruk do Brukseli był problem z odmowami objęcia mandatu przez kolejne osoby na liście.

Jednak władze partii nie pozostawiają złudzeń. Ktoś, kto odmówi kandydowania, gdy partia daje propozycję, nie zostanie dopuszczony do innych stanowisk w instytucjach podległych PiS.

„Prezes ceni i dyspozycyjność, i lojalność – zauważa polityk bywały na Nowogrodzkiej. – Gdy Patryk Jaki przegrał w Warszawie i poskromił fochy wynikiem z rozgoryczenia porażką – to potem szybko dostał do wygrania euromandat w Małopolsce. Jego ciężka praca w stolicy nie została niezauważona”.

Jarosław Kaczyński umiejętnie korzysta z różnych typów retoryki w obrębie swojego obozu. Właśnie daje zielone światło Porozumieniu Jarosława Gowina w próbach poszerzenia elektoratu w średnich i wielkich miastach. Jarosław Gowin i Jadwiga Emilewicz mają przedstawić 12 lipca w rządzonej przez PiS Chełmie program „Miasto plus”. Ma on odpowiedzieć pozytywnie na modne ostatnio hasła deglomeracji i pokazać pozytywny stosunek rządzącej partii do problemów tych samorządów.

Na korzyść PiS w tej kampanii wpłyną decyzje podjęte już przed poprzednią batalią. W sierpniu miliony Polaków dostaną 300 zł na wyprawkę szkolną. W październiku zacznie działać program „500+” na każde dziecko. Opozycja wiele mówiła o przygotowaniach do wyborczego czwórsoku, a Kaczyński to zaplanował w realu. Nastroje społeczne – znów tak, jakby to ktoś zaplanował – na okres przed najważniejszymi wyborami są całkiem niezłe. W zupełnym kontraście do nastrojów w opozycji.

KTO Z KIM?

Gra się tak jak przeciwnik pozwała – mówi stare piłkarskie przysłowie. Na początku nowej kampanii opozycja, płacząc się we własne nogi, pozwala PiS na wiele.

Nikt się nie spodziewał, jak bardzo przegrana Koalicji Europejskiej w maju

mówił w Warszawie, że pierwszym celem jest teraz „zwykła” silna większość pozwalająca nie martwić się o dobór koalicjantów. I ostrożnie dodawał: „Jeśli Bóg pozwoli”. A niebiosa pozwolą tym chętniej, im bardziej PiS ponownie zapracuje na swój sukces.

Jarosław Kaczyński chce, by powtórzyć udany „team spirit” z kampanii do europarlamentu. Efekty dała wtedy cicha, ale żmudna praca sztabowa. Politycy PiS z tajemniczymi minami chwalą socjologiczne metody prof. Waldemara Parucha, badającego to, w których rejonach najłatwiej można uszczknąć mandaty Platformie lub PSL. Dobre nastroje w partii wzmocniła też nominacja Joachi-

ma Brudzińskiego na szefa kampanii. Były szef MSW znany jest z systematyczności i cichej, ale efektywnej organizacji. Nikt nie ma też wątpliwości, że prezes i Brudziński do pomocy w kampanii zaangażują najbardziej znane twarze zeszłej kampanii – Beatę Szydło, Patryka Jakiego, Elżbietę Rafalską czy Jadwigę Wiśniewską.

Jak zawsze wcześniejsza wygrana rozwiązuje wiele problemów. Skoro są bardzo dobre, to dotychczasowi posłowie nie muszą walczyć łokciami o miejsca na listach.

„Kłopotem nie jest już zdobycie miejsc na listach, ale problem obniżek pensji poselskich – mówi jeden z posłów PiS.

FOT. STEFAN HASELSKI/REPORTER

■ rzutować będzie na wybory. Pierwszy zysk z tego obrotu rzeczy to wyeliminowanie (przynajmniej na razie) Donalda Tuska z udziału w nowej kampanii. Szef Rady Europejskiej znów skupił się na szukaniu dla siebie jakiejś zagranicznej posady do objęcia po końcu swej kadencji „Króla Europy”.

Nikt nadal nie wie, jak wyglądać będzie układ, w którym partie opozycji pójdą do wyborów. Czy PO wystartuje razem z PSL, czy też ludowcy pójdą osobno?

Każde rozwiązanie niesie dla partii Władysława Kosiniaka-Kamysza inne zagrożenia. Na samodzielny start naciskają partyjne doły, ale sondaże pokazują, że PSL ma wyniki poniżej progu 5 proc. Jeśli ludowcy ponowią start w koalicji z PO, to może się wzmocnić tendencja do pozerania przez PiS „zielonego elektoratu” na szczeblu gmin. A jeśli zwycięży koncepcja PO-PSL, to czy stanie się tak za cenę wyrzucenia spod skrzydeł Grzegorza Schetny SLD i Inicjatywy Polskiej Barbary Nowackiej?

Postkomuniści pod wodzą Włodzimierza Czarzastego chętnie zostaliby w koalicji z Platformą, ale Schetyna musi się liczyć z irytacją aparatu, który bardzo źle przyjął podanie na tacy euromandatów takim weteranom byłego PZPR, jak Włodzimierz Cimoszewicz, Leszek Miller i Marek Belka. A teraz – wobec słabych sondaży – miejsc biorących może nie starczyć dla „swoich”.

Schetyna ma też problem ze zwrotem ku centrum. Tyle że ci, którzy mieliby nieco powściągnąć swoją niechęć do Kościoła, niespecjalnie liczą się z linią szefa PO. Rafał Trzaskowski, który gdyby chciał, mógłby poprosić szefów homoparady o zwrócenie uwagi Szymonowi Niemcowi i skłonienie go, by nie odprawiał swoich modłów w asyście osobnika z durszlakiem na głowie, najwyraźniej uznał, że to nie jego zmartwienie. A liderzy gejowscy w niedzielę 16 czerwca w Częstochowie próbowali przebić się ze swoim Marszem Równości i obrazem NMP z tęcza aureolą do pielgrzymki dziecięcych kółek różańcowych, co znów wzburzyło wielu katolików. Im bardziej zresztą Schetyna nawołuje do umiarkowania – tym bardziej kojarzeni z opozycją celebryci z iście małpią złośliwością udowadniają salonowi, że ani na milimetr nie zejść ze szlaku walki o „rozdziół państwa od Kościoła”.



Trudno też na razie ocenić, jak dużym czynnikiem mobilizacji elektoratu miejskiego może być stworzenie ruchu samorządowców. Na razie są to bardziej huczne deklaracje niż realny fakt polityczny. Nie jest jasne, czy wyborcy miejscy zaakceptują samorządowców w nowej opozycyjnej roli.

Większy problem PiS ma z tym, jak zachować się wobec wędrującego ruchu Kukiz'15. Całkiem szczerze opowiadał o tym niedawno wicemarszałek Ryszard Terlecki. „Kukiz, wymieniany jako nasz koalicjant, się rozsypuje. Do mnie przychodzą posłowie od Kukiza i aplikują o przyjęcie ich do klubu PiS. Nie podjęliśmy jeszcze takich decyzji. Zastanawiamy się, czy podtrzymywać istnienie Kukiz'15, czy zgodzić się na to, że jego posłowie przejdą do nas” – stwierdził Terlecki w Radiu Kraków.

Zbłądła też obawa partii Jarosława Kaczyńskiego przed konkurencją z prawej flanki. Konfederacja po klęsce w maju nie wydaje się mieć pomysłu na jesienną kampanię. Na dodatek to, że sprawa ustawy 447 nie zablokowała umów wojskowych na linii Waszyngton–Warszawa, pokazuje, że żydowskie lobby restytucji pozaspadkowych nie okazało się aż tak silne, jak wieszczyli liderzy Konfederacji. A bez hasła: „Precz z ustawą 447” liderzy Konfederacji nie mają zbyt wiele innych haseł mogących zmobilizować elektorat młodej prawicy.

NA OSTATNIEJ PROSTEJ

Co zatem niepokoi sztabowców PiS? Jak zwykle to, czego nie sposób jeszcze sobie wyobrazić.

Wyskoczenie z jakimś celnym hakiem na ludzi PiS, jakiś nadmuchany incydent, który może pojawić się w ostatnim tygodniu kampanii. Jakies pobicie młodego chłopaka przez policję, mogącego sprowokować nagłe masowe protesty, lub lapsus któregoś z polityków PiS.

Jarosław Kaczyński już uczula swoich wyborców na „hejt”, przestrzegając przed filmem Patryka Vegi – czym nolens volens zrobił bezpłatną reklamę znanemu reżyserowi. Sztabowcy PiS zastanawiają się, jak opozycja może próbować docierać do najmłodszych wyborców. „Po nocach śni mi się jakiś udany kawałek hiphopowy, który nagłośni jakiś pozornie błahy incydent i rozhušta nastroje wpierw wśród młodych, a potem wpłynie na mobilizację wielkomiejskiego elektoratu, która nastąpiła w końcówce wyborów samorządowych” – mówi jeden z młodszych polityków PiS.

O tym, że wystarczy chwila bierności, by opozycja znalazła sobie nowe pole do ataków na PiS, pokazuje sprawa pociągów na festiwal Owsia w Kostrzynie. Nikt nie wyjaśnił na czas, dlaczego pociągi skasowano. Jeśli była to wcześniejsza dewastacja wagonów, to PKP mogły o tym powiedzieć głośno i na czas. W lukę weszli platformerscy szefowie sejmików samorządowych z Zachodniopomorskiego i Lubuskiego, którzy z chęcią wystąpili w roli zbawców młodzieży.

Podobnie ślamazarnie Ministerstwo Kultury reaguje na kampanię prezydent Gdańska Aleksandry Dulciewicz pod hasłem: „Chcę Gdańskowi zabrać Westerplatte”. Władze grodu nad Motławą w 2007 r. zlikwidowały program budowy parku historycznego na tym miejscu polskiej pamięci, a dopiero gdy rząd postanowił drogą specjalnej sejmowej ustawy wydziedziczyć za odszkodowaniem miasto z terenu walk, wybuchła afery. Jednak takie rzeczy Polakom trzeba mówić – a nie dawać opozycji pole do protestów.

„Już raz Tusk chwalił się, że Platforma nie ma z kim przegrać – mówi polityk PiS. – Nas nie stać na powtórzenie tego błędu. Ale też nie przesadzajmy. Gdybyśmy w maju przegrali – teraz szarpalibyśmy się, wykonując rozmaite ruchy na osłup w trosce o odzyskanie zaufania społecznego. Z dwojga złego lepiej mieć pozycję lidera, a jednocześnie dbać o to, by woda sodowa nie uderzała do głów kolegom. Marzę, by już był październik”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

CZY WIESZ, ŻE...

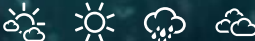
KROPLA DESZCZU JEST
KULĄ, A DOPIERO W LOCIE
PRZYBIERA KSZTAŁT ŁZY.

A CZY WIESZ...

GDZIE JUTRO SPADNIE
DESZCZ?



interiaPOGODA


SPRAWDZA SIĘ!

SPRAWDŹ POGODĘ NA INTERIII! PROGNOZA NA **25 DNI** DLA **3 MLN** MIEJSC

Z Pawłem Szefernakerem, sekretarzem stanu w MSWiA, posłem PiS

rozmawia Kamila
Baranowska



KAMILA BARANOWSKA: Dołączył pan do sztabu wyborczego PiS. Czym ta kampania będzie się różniła od poprzedniej?

PAWEŁ SZEFERNAKER: Wynik wyborów do Parlamentu Europejskiego pokazał, że Polacy inaczej patrzą na polityków i rządzenie państwem niż w 2015 r. Rządy Prawa i Sprawiedliwości udowodniły, że serca Polaków zdobywa się realizacją programu, który daje im lepsze życie, a nie PR-owskimi sztuczkami. W kampanii europejskiej byliśmy konsekwentni w działaniach, pomimo że część komentatorów i polityków opozycji próbowała nam wmówić, że tematy, które poruszaliśmy, nie są tematami, którymi można wygrać wybory. Plan kampanii był jasny oraz konsekwentnie realizowany i dzięki temu wybory wygraliśmy z bardzo dobrym wynikiem. Jednak naszym największym atutem była wiarygodność. To, że dotrzymujemy obietnic i realizujemy program, na który się z Polakami umówiliśmy. Dzisiaj nie da się już wygrać wyborów tymi samymi sposobami co na przykład w roku 2015.

To znaczy?

Po wyborach w 2015 r. wielu ekspertów uznało, że nowoczesny sposób prowadzenia kampanii, a w szczególności przekaz w Internecie, był jednym z ważniejszych czynników przesądzających o zwycięstwie PiS. Dzisiaj Internet w kampaniach wyborczych doceniają wszystkie sztaby, więc nie będzie już miało to tak przełomowego znaczenia jak wcześniej. Dzisiaj wygrana nie jest kwestią konwencji, spotów wyborczych, ulotek, plakatów czy aktywności w mediach społecznościowych. To jest ważne, każda profesjonalna kampania musi być na tym oparta, ale dziś nie jest to najważniejsze. W moim przekonaniu wyborcy głosują na PiS przede wszystkim dlatego, że jesteśmy w ich oczach partią wiarygodną, i to na każdym polu – zarówno jeśli chodzi o spełnianie obietnic wyborczych, jak i sprawy światopoglądowe. Ostatni czas był takim testem wiarygodności, który zdaliśmy. Myślę,



Zdaliśmy test z wiarygodności

że ten czynnik będzie decydujący także w nadchodzącej kampanii.

A jakie znaczenie ma bezpośredni kontakt z wyborcami, czyli spotkania w terenie? Andrzej Duda i Beata Szydło w 2015 r. zjeździli całą Polskę, teraz też was było wszędzie pełno.

W 2013 r. kierownictwo PiS rozjechało się po Polsce i odbyło spotkania we wszystkich powiatach. Wtedy pierwszy raz zbliżyliśmy się w sondażach do Platformy, a w niektórych nawet ją wyprzedziliśmy. To pokazało, jak ten kontakt jest ważny. Pamiętam gminy, gdzie przychodziło pięć, 10 w porywach do 15 osób, dzisiaj w tych samych miejscach przychodzi kilkadziesiąt, a nawet kilkaset osób. Jestem przekonany, że ta praca ma

ogromny sens. Chociaż oczywiście, gdybyśmy jeździli bez programu i nie mieli ludziom nic do powiedzenia, to ten efekt nie byłby równie dobry. Dzisiaj radzi się opozycji, że też musi ruszyć w Polskę, zedrzeć buty i rozmawiać z ludźmi. Tylko że tu nie chodzi o to, by tak sobie poodwieczkać regiony kraju, trzeba mieć jeszcze coś do zaproponowania. My mamy.

Jako wzór dobrej i skutecznej kampanii po stronie opozycji jest podawany przykład Bartosza Arłukowicza.

Pochodzę z zachodniego Pomorza, jestem posłem z Koszalina i w całym okręgu obejmującym województwa zachodniopomorskie i lubuskie Platforma straciła ponad 116 tys. głosów względem

wyborów samorządowych. Oczywiście Bartosz Arłukowicz jako najbardziej aktywny kandydat PO zrobił dobry wynik, ale to efekt tego, że zabrał głosy innym kandydatom Koalicji Europejskiej, bo sama Platforma straciła dużo głosów. To pokazuje, że jeśli nie ma się żadnej propozycji, o wiarygodności nie wspominając, to ta walka odbywa się na poziomie stałego, twardego elektoratu partii, bez pozyskiwania nowych wyborców.

Bardzo dobry wynik w wyborach europejskich nie działa demobilizująco na polityków PiS? Niektórzy już uwierzyli, że idziecie po większość konstytucyjną.

Pycha kroczy przed upadkiem. Trzeba pracować, trzymać się przyjętej strategii, bez oglądania na to, co robią nasi konkurenci. Te działania, które podjęliśmy od razu po kampanii – spotkania klubu parlamentarnego, spotkania władz struktur wszystkich szczebli, spotkania w terenie z pełnomocnikami regionalnymi – były ukierunkowane na to, by ani przez chwilę nie było momentu rozluźnienia w naszych szeregach. Prezes Jarosław Kaczyński na każdym spotkaniu powtarza, że najważniejsze wybory dopiero przed nami.

W wyborach do PE uzyskaliście ponad 45 proc. głosów. Czy z waszych analiz wynika, że macie szanse pobić ten wynik? Są jeszcze wyborcy, których możecie pozyskać?

Oczywiście, że tak. Nawet analizując wyniki w moim regionie, koszalińskim, widzę, że są miejsca, gdzie trzeba mocniej powalczyć o każdy głos. Wybory do parlamentu mają to do siebie, że jest więcej kandydatów na listach, że są to kandydaci, którzy mogą trafić do szerszego grona wyborców. W wypadku wyborów do PE, gdy mamy 10 kandydatów na dwa województwa, trudno jest trafić do każdego powiatu i gminy z bezpośrednim przekazem. Teraz będzie większa możliwość dotarcia do wyborców z naszym programem i propozycjami.

W ostatniej kampanii upadło sporo mitów, takich jak ten mówiący, że wysoka frekwencja działa na niekorzyść PiS, ale także ten dotyczący Jarosława Kaczyńskiego. Okazało się, że jego zaangażowanie w kampanii pomaga, a nie szkodzi.

Prezes Jarosław Kaczyński jest liderem i architektem tego zwycięstwa, podobnie jak był architektem zwycięstwa w 2015 r. To naturalne, że jest twarzą naszych kampanii.

W 2015 r. nie było to takie naturalne. Wtedy twarzami byli Andrzej Duda i Beata Szydło, prezes stał w cieniu.

W 2015 r., z czego nie wszyscy zdają sobie sprawę, było bardzo dużo spotkań z Jarosławem Kaczyńskim w terenie. Był bardzo aktywny, na finiszu kampanii miał po kilka spotkań dziennie. Był podział obowiązków i każdy z naszych liderów odwiedzał inne części Polski, co się bardzo dobrze uzupełniało. Rzeczywiście w kampanii do PE prezes był bardziej widoczny w przestrzeni medialnej i okazało się, że Polacy doceniają wiarygodność Jarosława Kaczyńskiego, który od lat 90. ma konkretny pomysł na Polskę. Wcześniej politycy wrogo nastawieni do PiS stworzyli obraz, że to, co mówi prezes, jest niemożliwe do zrealizowania. Realizując program, o którym środowisko Porozumienia Centrum, a potem PiS mówi od dawna, pokazaliśmy, że to Jarosław Kaczyński miał rację.

W ramach prac nad programem opozycja rzuciła pomysł decentralizacji. To hasło, którym można wygrać wybory?

Moim zdaniem nie, bo tezy przedstawione przez samorządowców Platformy Obywatelskiej to nic nowego. Już na początku lat 90. liberałowie, najpierw środowisko KLD, potem Platformy, mówili o decentralizacji. I już wtedy ścierały się dwa różne poglądy na funkcjonowanie samorządu. Pierwszy, bliższy naszemu środowisku, że samorząd powinien wzajemnie uzupełniać się z władzą centralną, powinien być częścią państwa. Drugi pogląd mówi, że samorząd powinien mieć dużo większą niezależność niż obecnie, większą autonomię, że władza samorządowa powinna być przeciwstawiana władzy centralnej, a nie stanowić jej uzupełnienie. Tylko że taki system ustroju państwa nie leży w polskiej tradycji. Wręcz przeciwnie: Polska zawsze była silna wtedy, kiedy była państwem jednolitym, a nie podzielonym.

Sam postulat większej samodzielności samorządów, które są bliżej ludzi i mają lepsze rozeznanie w ich sprawach, brzmi sensownie.

Już dzisiaj samorządy mają wiele kompetencji, dużo więcej niż w innych systemach w państwach europejskich. Jest rozbudowana Komisja Wspólna Rządu i Samorządu Terytorialnego, która opiniuje wszystkie ustawy dotyczące działania samorządu. Oczywiście można rozmawiać o poszczególnych sprawach,

np. czy więcej kompetencji nie dać strażom gminnym, strażom miejskim, co jest do przemyślenia zwłaszcza po tragedii w Gdańsku, ale powinniśmy to robić w ramach obowiązującego ustroju, a przedstawiane propozycje ten ustrój wywracają.

Trudno rozmawiać, gdy ze strony PiS padają od razu argumenty o rozbiciu dzielnicowym.

Te tezy, przedstawione przez samorządowców z PO, są bardzo daleko idące, stąd takie, a nie inne reakcje. Środowisko Prawa i Sprawiedliwości od lat mówi o zmianach, które sprawiają, że państwo będzie mocniejsze. Tymczasem propozycje likwidacji urzędu wojewody, zmiany ustroju Senatu, likwidacji administracji zespolonej, czyli tego wszystkiego, na co państwo może liczyć w sytuacjach kryzysowych, osłabiają państwo, sprawiają, że nie jest wydolne.

Rząd PiS dzisiaj idzie w drugim kierunku – przywracania instytucji państwa w terenie: posterunków policji, oddziałów Poczty Polskiej, połączeń PKS itd. Na co dzień pracuję z wojewodami i wiem, jak wielką pracę wykonują. Nie wyobrażam sobie, by te kompetencje oddać samorządom i żeby różne działania, które dziś są ujednolicone w całym państwie, były wykonywane przez 16 różnych samorządów, w każdym inaczej. To prowadziłoby do federalizacji, a w konsekwencji do potężnego osłabienia państwa.

Wspólna lista opozycji i samorządowców do Senatu spędza szałowi PiS sen z powiek?

Najnowsza historia Polski pokazuje, że często samorządowcy, którzy od lat rządzą w swoich regionach, gdy zabierają się do polityki krajowej, nie odnoszą sukcesów. Najlepszy przykład to niezwykle skuteczny prezydent Rzeszowa Tadeusz Ferenc, który rządzi tam nieprzerwanie od kilkunastu lat. Jednocześnie dwukrotnie startował w wyborach do Senatu i nie zdobywał mandatu. Polacy zupełnie inaczej podchodzą do wyborów samorządowych i parlamentarnych. W wyborach parlamentarnych bardziej kierują się sympatią polityczną do danej partii niż do danego człowieka, w tym wypadku samorządowca. Zresztą widać już, że samorządowcy wcale tak chętnie nie garną się do kandydowania, zapewne z tego właśnie powodu. Oczywiście trzeba być czujnym, analizować zachowania politycznych rywali. Na pewno nie wolno ich nie doceniać, ale też nie ma co ich przeceniać.



Rafał A. Żemkiewicz

Przyzwoitość zanika. Została ona w polityce skutecznie zdeprecjonowana. Tak jak na wojnie, gdy nie ma broni złej, jest tylko mniej lub bardziej skuteczna

Jest taki stary żydowski kawał o rabinach jadących furą, którym nagle drogę zagroziło zwalone drzewo. Fura staje, rabini długo dyskutują, co każe zrobić w takiej sytuacji Talmud, przerzucają się mądrymi cytatami, przypowieściami i przykładami z Tory – aż w końcu tą samą drogą podjeżdża chłopski wóz. Chłop, ani myśląc, zsiada, podwija rękawy, odwala drzewo na bok i jedzie dalej. Rabini odprowadzają go wzrokiem, aż w końcu któryś stwierdza lekceważąco: „Phi! Siłą...”.

Po co przypominam ten chasydzki żart, narażając się, po raz kolejny, na zarzut antysemityzmu (to samo w sobie brzmi jak jeszcze lepszy żart, ale widziałem niedawno raport, w którym zwyczaj opowiadania w Polsce dowcipów o Żydach zrównano, jako przejaw antysemityzmu, z aktami brutalnej agresji wobec nich w zachodniej Europie)? Nic bowiem nie podsumowuje lepiej głębi powyborczych analiz, dokonywanych przez intelektualne i medialne zaplecze opozycji.

Słowo „analizy” to oczywiście ironia – mamy raczej do czynienia z udowadnianiem na różne sposoby, że wynik PiS został osiągnięty w sposób moralnie naganny, niewłaściwy: poprzez „rozdawnictwo”, „przekupstwo”, sprowadzenie do urn jakiegos ciemnego motłochu, który głośnie tak, jak mu każą proboszczowie etc. W każdym razie jako taki wynik ten nie zasługuje, by go poważać.

NIC Z TEGO

To oczywiście wspinały prognozy dla Prawa i Sprawiedliwości – trudno wyobrazić sobie lepszą z jego punktu widzenia kampanię wyborczą „totalnej opozycji” niż więcej tego samego co dotąd. Jeśli – podczas gdy PiS nadal będzie starał się „targetować” i przeciągnąć na swą stronę kolejne grupy wyborców – opozycja dalej będzie skupiać się na szukaniu najdobitniejszego sposobu



znieważenia przeciwnika i odebrania mu moralnej legitymacji do rządzenia, to skutek może być tylko jeden.

Jest coś niezwykłego, by użyć modnego słowa – epickiego – w tym zafiksowaniu salonów na punkcie owej „moralnej legitymacji” i w zjadłości, z którą starają się one dowieść, że nie ma jej nikt poza nimi i osobami, którym one jej udzieliły. Wszystkie kolejne przegrane „opozycji totalnej” mają swą praprzyczynę właśnie w tym, że zamiast starać się przekonać wyborców, iż PiS rządzi źle, a ona umiałaby lepiej, stara się ich przekonać, że PiS jest brzydki, a ona grupuje ludzi z lepszej, wyższej półki.

Mniejsza już, że nie sposób tego zrobić, jeśli się samemu jest postrzeganym jako środowisko, delikatnie mówiąc, „umoczone”. Metoda propagandy, którą w książce „Michnikowszczyzna” (właśnie po raz kolejny dodrukowanej) nazwałem „moralistyką towarzyszącą”, była skuteczna w latach 90., gdy dający jej twarz Michnik uważany był przez

ogół jeśli nie za herosa bez skazy, to w każdym razie za człowieka, którego ewentualne wady błędą wobec jego ideowości i bezinteresownego oddania moralnym pryncypiom. Afera Rywina była końcem tej skuteczności – raz straconej cnoty odzyskać już nie sposób.

Ostateczny zaś kres wiarygodności obozu III RP położył brak jakichkolwiek rozliczeń z rządami Tuska i ze wszystkimi ich skandalami oraz kompromitacjami. Schetyna nie wygłosił referatu o błędach i wypaczeniach Tuska, nie odegrał niezbędnego w demokracji spektaklu „partia ta sama, ale już nie taka sama”, basujące mu „autorytety” nawet nie spróbowały, choćby najbardziej nieszczerze, uderzyć się w pierś, że zbłądziły, zabrakło im czujności, rozzuchwaliły się, przesadnie gryząc się w język etc. W związku z czym opozycja może dziś sobie demaskować „prezesa dewelopera”, odprawy czy inne „nadużycia władzy” po kilka razy dziennie, i choćby nawet przypadkiem ujawniła



FOT. TOMASZ PALCZOS/RETUNOWA

kiedyś jakąś prawdziwą, a nie wyssaną z palca aferę – dopóki za tym ujawnieniem stać będzie mecenas Giertych z posłem Brejzą, a nagłośnią ich „Gazeta Wyborcza” i „Newsweek”, dopóty nic z tego.

DŁUGOFALOWE SPUSTOSZENIA

Co zaś najważniejsze – takie przekonywanie, nawet gdyby się powiodło, w ogóle nie ma wpływu na to, jak wyborcy głosują. W optyce przeciętnego Polaka polityka jest dziedziną niemożliwą z zasady i wszyscy politycy „mają swoje za uszami”. Liczy się dla niego, że z jednych ma pożytek, a z drugich nie – i wybiera tych pierwszych, nie tych pięknych ani na niczym niegodnym (pewnie tylko „na razie”) nieprzytłaczających. Donald Tusk bez trudu wygrywał z Jarosławem Kaczyńskim wtedy, gdy w badaniach ten pierwszy najczęściej był wskazywany jako polityk mijający się z prawdą, a ten drugi jako największy patriota.

Jeśli użyć częstego porównania polityki do wojny, to w tej bitwie PiS stara się zdobywać kolejne strategiczne punkty, natomiast jego przeciwnicy marnują wszystkie siły na szturmowanie jakiejś cytadeli, której nie dość, że zdobyć nie potrafią, to jeszcze jej posiadanie nie daje niczego poza satysfakcją. Skupianie się na głoszeniu moralnej wyższości nad przeciwnikiem ma oczywiście w propagandzie swoje znaczenie, ale wyłącznie w komunikacji „do wewnątrz”, jako sposób umacniania morale własnych wojsk. Na zewnątrz demonstracyjne okazywanie przeciwnikowi pogardy nie daje nic. A demonstracyjne okazywanie pogardy wyborcom, pełniącym w kolejnych starciach funkcję arbitrów, od których decyzji żadne odwołanie do Brukseli ani innych instancji nie przysługuje, to już skrajna głupota, za którą opozycja słusznie jest i nadal będzie przez ogół Polaków karana.

Nie ma jednak powodu, by z tego zapędzenia się opozycji, michnikowszczyzny i całego obozu pomagdałenkowego w ślepy zaułek nadmiernie się cieszyć, bo powoduje to długofalowe spustoszenia, z których skutkami przyjdzie Polsce walczyć jeszcze bardzo długo – spustoszenia, które już są wielkie, a wciąż narastają.

Efektom zinstrumentalizowania moralności w walce politycznej, który zresztą dał się zauważyć już dawno, jest zdeprecjonowanie samego pojęcia. Kryterium uczciwości, nadużywane do niskich, bieżących celów, przestaje znaczyć cokolwiek także tam, gdzie powinno być rozstrzygające – a środowiska bezustannie i w sposób jawnie niesprawiedliwy oskarżane o łamanie norm przyzwoitości zaczynają czuć się zwolnione z ich przestrzegania.

Nie chodzi tu nawet o to, że beznadziejna słabość opozycji rodzi poczucie bezkarności („I co mi zrobicie? Opiszecie mnie w gazecie?” – jak to ujął pewien były premier), któremu lęk przed interwencją rozgniewanego Komendanta zapobiega tylko w pewnym stopniu i na krótką metę. Przyzwoitość zanika nie tylko dlatego, że „nie ma z kim przegrać”. Po prostu jako kryterium zachowania została ona skutecznie zdeprecjonowana.

Przejawia się to nie tylko w przyzwoleniu na kombinowanie przy zatrudnianiu osób bliskich, aby „dać im zarobić”, czy bogaceniu prywatnych przedsięwzięć pieniędzmi publicznymi. Z wielką przykrością obserwuję na przykład, jak deprawują się stronnicy PiS w mediach, kopiując

te same chamskie, brutalne metody wykluczania przeciwnika z debaty publicznej i odzierania go z godności, które kiedyś stosowane były przeciwko nim.

Weźmy na przykład propagandę, którą przed wyborami rozpętano przeciwko Konfederacji, mocząc ją w oskarżeniach o rosyjską agenturalność. Była to wszak wierna kopia oskarżeń, którymi próbowała zniszczyć PiS „totalna opozycja”. Równie głupio motywowanych: tam PiS miał być agenturą Putina, bo odrzucając dyktat Timmermansa, „skłóca nas z Europą”, tu Konfederacja, bo „skłóca nas z Ameryką”, protestując przeciwko nieuzasadnionym żydowskim roszczeniom majątkowym. W obu przypadkach z prymitywną pointą: „A wiadomo, komu to służy!”

Wbrew powszechnemu po stronie PiS przekonaniu, sądzę, że Michnik nie zawsze był hipokrytą, który głośno powtarza po Wolterze: „Nienawidzę tego, co mówisz, ale jestem gotów zginąć, byś mógł to mówić”, a w praktyce czyni wszystko, najpaskudniejszymi sposobami, by zniszczyć każdego, kto wychyli się z odmiennym zdaniem. Kiedyś być może cytował tego Woltera szczerze. Jego upadek zaczął się od histerycznego przekonania, że musi wygrać za wszelką cenę, bo inaczej przyjdzie „faszyzm” i dzieć się będą rzeczy straszne. Idee wolności słowa i tak dalej – tak, oczywiście, to słuszne, ale kiedyś. Na razie jest wojna, a na wojnie nie ma broni złej, jest tylko mniej lub bardziej skuteczna.

IDEAŁY NA BOK

Dokładnie tak samo dzieje się teraz po umownej „naszej” stronie. „Na wojnie nie zakłada się klubów dyskusyjnych” – mówią politycy PiS, żądając od „swoich” mediów i dziennikarzy (czy może już raczej „influencerów”) bezwzględного podporządkowania rozkazom i wynagradzając za takowe konkretnymi beneficjami. Wszystko w rozgrzeszającym przekonaniu, że cel uświeca środki – tamci nie mogą wygrać, więc dopóty, dopóki są groźni, trzeba ideały odłożyć na bok.

Jednak nie oszukujmy się – gdy już się raz zrobiło deal z przyzwoitością, zawsze będą groźni, jeśli nie oni, to jacyś inni. I zawsze będzie pokusa, żeby zamiast kombinować i dzielić włos na czworo, jak ci śmieszni rabini z cytowanej na wstępie anegdoty, załatwić sprawę skutecznie. „Siłą”.



Wojciech Wybranowski

Marek Falenta rzeczywiście spotkał się za rządów PiS z funkcjonariuszami CBA. Jak ustaliło „Do Rzeczy”, przekazał informacje o rzekomych aferach korupcyjnych. Tyle że jego opowieści się nie potwierdziły i jego wiarygodność oceniano nisko

FOT. STANISŁAW KOVALEWICZ

Rozgrywki Falenty

Marek Falenta, do niedawna jeden najbogatszych ludzi w Polsce, a potem skazany na 2,5 roku więzienia za udział w nielegalnym nagrywaniu polityków rządu koalicji PO-PSL w tzw. aferze podsłuchowej, wraca z hukiem na polską scenę polityczną. Najpierw zniknął. A gdy został zatrzymany w Hiszpanii przez służby, wysłał list do prezydenta (ujawniła go „Rzeczpospolita”), w którym sugeruje, że ma haki na polityków PiS i że współpracował z CBA, by odsunąć od władzy poprzedni rząd.

– Nie jest tajemnicą, że Marek Falenta panicznie boi się więzienia. Nie wiem, z czego to wynika, być może z tego, że dostawał groźby, może z innych powodów, więc teraz chwytą się brzytwy i opowiada sensacyjne historie, by nie trafić za kratki – komentuje Piotr Nisztor, dziennikarz śledczy i jeden z autorów materiałów ujawniających „aferę podsłuchową”.

List Falenty wywołał już skandal i najprawdopodobniej stanie się jednym z najważniejszych wątków nadchodzącej kampanii wyborczej przed jesiennymi wyborami do Sejmu i Senatu. Zwłaszcza że jego opowieściom towarzyszyć ma rzekomo „demaskatorska” – a w gruncie rzeczy pełna powielanych od lat przez polityków obecnej opozycji teorii spiskowych – książka poświęcona aferze podsłuchowej.

Pojawia się tylko pytanie o wiarygodność najnowszych „rewelacji” mężczyzny i związanych z tym teorii spiskowych – bo te były już badane przez służby specjalne za rządów Donalda Tuska i Ewy Kopacz. Uznano je wówczas za niewiarygodne.

ODGRZEWANA CYRYLICA

„Ta książka pokaże prowadzące do PiS oraz bliskich Kremlowi oligarchów nowe tropy i poszlaki. Z wielu z nich nikt wcześniej nie zdawał sobie sprawy, nawet polskie służby. Omówię je tu po raz pierwszy” – tak zaczyna się „sensacyjna” opowieść Grzegorza Rzeczkowskiego, dziennikarza „Polityki”. Jego książkę „Obcym alfabetem. Jak ludzie Kremla i PiS zagrali podsłuchami” wydało właśnie wydawnictwo Arbitror. To samo, które publikowało kuriozalne książki Tomasza Piątka, w których ten oskarżał byłego szefa

MON Antoniego Macierewicza i premiera Mateusza Morawieckiego o powiązania z rosyjską mafią i kremlowskimi służbami.

– Moi informatorzy, którzy są związani z polskimi służbami, są przekonani, że decyzja musiała zapaść na Kremlu, musiał ją podjąć sam Władimir Putin. To była bardzo ważna operacja, wymierzona w rząd unijnego i NATO-wskiego kraju – największa tego typu w historii demokratycznej Europy – mówił Rzeczkowski o „aferze podsłuchowej” w rozmowie z Wirtualną Polską.

Tymczasem książka Rzeczkowskiego nie poszerza dotychczasowej wiedzy o „aferze taśmowej” i jej bohaterach, niczego nie wyjaśnia i nie tłumaczy, za to powieliła spekulacje, które wcześniej publikowano już na łamach „Gazety Wyborczej”.

ABW sprawdzała, czy w „aferze taśmowej” maczały palce rosyjskie służby albo czy to prowokacja z udziałem PiS. Niczego nie potwierdzono

Wątek obcych – w domyśle rosyjskich – służb, które miały obalać rząd Donalda Tuska (dążący przeciw do resetu z Rosją, ale mniejsza o brak logiki), też nie jest nowy. Sam Tusk, komentując latem 2014 r. pierwsze ujawnione taśmy z podsłuchanymi politykami jego formacji, mówił: – Chcę mieć pewność, że będziemy realizowali polskie scenariusze. Nie wiem, jakim alfabetem jest pisany ten scenariusz.

– W pierwszym tekście w tygodniku „Wprost” ujawniającym nagrania z warszawskich restauracji napisaliśmy, że w całej historii może chodzić po prostu o obalenie rządu Tuska, że nie jest jasne, czy nie stoją za tym obce państwa, a może jakaś frakcja w służbach specjalnych, czy to może była zagrywka biznesowa – mówi nam Michał Majewski, dziennikarz śledczy i jeden z autorów pierwszych publikacji dotyczących „afery podsłuchowej”. – Tyle że nasza publikacja przecięła ciąg nielegalnych nagrań, po drugie zablokowała

możliwość szantażowania polityków i po trzecie – w naszych tekstach znalazły się interesujące historie życia politycznego.

„Wprost” opublikował pierwsze nagrania podsłuchanych przez współpracowników Marka Falenty kularowych, prowadzonych w warszawskich restauracjach rozmów polityków PO w czerwcu 2014 r. Na pierwszy ogień poszły stenogramy rozmów ówczesnego szefa MSWiA Bartłomieja Sienkiewicza, ówczesnego szefa NBP Marka Belki oraz Andrzeja Parafianowicza, wiceministra finansów, i Sławomira Nowaka, ministra transportu w rządzie Donalda Tuska. Stały się głośne, bo wskazywały na próbę nielegalnego pozyskania finansowania projektu politycznego ze środków publicznych, a także na kularowe naciski, które miały prowadzić do zablokowania kontroli skarbowej w firmie żony Sławomira Nowaka.

Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, podlegająca wówczas pod nadzór ministra Sienkiewicza, wszczęła śledztwo. Miało pokazać, czy za sprawą podsłuchów nie stały rosyjskie służby bądź czy cała afara nie jest prowokacją z udziałem polityków wówczas opozycyjnego PiS. Ślady tego śledztwa – zeznania świadków, materiały z przesłuchań – można znaleźć m.in. w jawnej części akt procesu Marka Falenty. Wynika z nich, że ludziom Sienkiewicza nie udało się potwierdzić ani udziału Rosjan w tej sprawie, ani jakiegokolwiek politycznego układu Marka Falenty i „kelnerów” z politykami PiS, które miałyby prowadzić do obalenia rządu Tuska. – Każdy, kto śledził aferę podsłuchową, wie doskonale, że Bartłomiej Sienkiewicz i osoby, które za rządów PO wyjaśniały okoliczności rejestracji taśm i wybuchu tej afery, miały narzędzia do tego, by potwierdzić tezę lub jej zaprzeczyć. Skoro nie została potwierdzona, to znaczy, że taka sytuacja nie miała miejsca, a opowieści są wyłącznie na użytek polityczny, bo za pasem mamy wybory do parlamentu – uważa Piotr Nisztor.

SŁUŻBY, ALE POPRZEDNIE

„Proszę potraktować ten list jako ostatnią szansę na porozumienie się ze mną. Nie zamierzam umierać w samotności” – napisał teraz Falenta do prezydenta

■ Andrzeja Dudy. Dodał, że został „okrutnie oszukany przez ludzi wywodzących się z Pana formacji”. „Rzeczpospolita” twierdzi, iż w liście, w którym sugeruje, że ujawnienie taśm było „ustawką” z politykami PiS mającymi obalić rząd Tuska, Falenta wymienił kilkanaście osób, w tym Jarosława Kaczyńskiego, ministrów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, szefa CBA Ernesta Bejdę oraz dziennikarzy piszących o aferze.

Sąd Okręgowy w Warszawie zawiadomił już prokuraturę o liście Falenty wskazując, że mogło dojść do przestępstwa. Teraz prokuratura ma sprawdzić, czy – jak twierdzi biznesmen – do nagrywania namawiali go były skarbnik PiS i kojarzeni z tą partią funkcjonariusze CBA.

– Rozmawiałem z panem Falentą, robiłem z nim wywiady, uważam, że otrzymał zbyt wysoką karę, ale trudno mi powiedzieć, w co gra obecnie. Jedno jest pewne – traci wiarygodność, albowiem jego obecna narracja jest całkowicie sprzeczna z naszą wiedzą i ustaleniami dotyczącymi afery podsłuchowej – mówi Cezary Gmyz, dziennikarz i publicysta, który na łamach „Do Rzeczy” opublikował wiele materiałów i zapisów rozmów „afery podsłuchowej”, ujawniając fakty kompromitujące m.in. Radosława Sikorskiego, Krzysztofa Kwiatkowskiego, Aleksandra Kwaśniewskiego czy Jana Kulczyka, a także komisarz Ewę Bieńkowską. – Historia, którą dziś opowiada Falenta, to nowa wersja, jakby napisana w „Gazecie Wyborczej” – zauważa Gmyz.

Według Marka Falenty miał on – w realizacji nagrania taśm „podsłuchowych” – współpracować z funkcjonariuszami CBA, kojarzonymi z PiS. Tymczasem już po wybuchu całej afery wśród ludzi służb panowało przekonanie, że cała sprawa to rozgrywka z udziałem ówczesnego szefa CBA Pawła Wojtunika. Dlaczego? Bo w momencie wybuchu afery Falenta był zarejestrowany jako osobowe źródło informacji (OZI), w kategorii osoba informująca (OI). Falencie nadano kryptonim Prefekt, a jego bliskiemu współpracownikowi Bogusławowi T. – BTS. Falenta uchodził wtedy za zaufanego człowieka Wojtunika.

W lutym 2015 r. telewizja Republika ujawniła, że zarówno Falenta, jak i Bogusław T., w czasach, gdy służbą kierował Wojtunik, informowali funkcjonariuszy CBA o rozmowach biznesmenów i lobbyistów prowadzonych w stołecznych restauracjach. Według Republiki ludzie Wojtunika mieli na miesiąc przed wybuchem afery

podsłuchowej znać szczegóły rozmowy przeprowadzonej przez Sławomira Nowaka z Andrzejem Parafianowiczem.

– Między Sienkiewiczem a Wojtunikiem była cicha wojna o wpływy w służbach. Kiedy wybuchła afera, w środowisku Sienkiewicza uznano, że to może być akcja Wojtunika wymierzona w niego. Bardzo mocno to sprawdzano – mówi nam jeden z naszych rozmówców, funkcjonariusz CBA w czasach Wojtunika. Przypomina też słynne nagranie z jednej z restauracji, ujawnione później przez „Do Rzeczy”, w którym Wojtunik w rozmowie z komisarz Ewą Bieńkowską bardzo krytycznie mówił o Sienkiewicz. Sugerował, że spalenie budki przed ambasadą rosyjską podczas Marszu Niepodległości było prowokacją Sienkiewicza. Zabiegał

została zarejestrowana na podsłuchach w 2013 r. w restauracji Sowa i Przyjaciele. W 2015 r. opublikowaliśmy fragmenty jej stenogramu na łamach „Do Rzeczy”. Kalisz mówił wówczas m.in. o wiedzy służb na temat korupcji w MON w okresie, gdy resortem kierował Siemoniak.

– Falenta chciał chyba zyskać życzliwość ludzi z CBA, przekonać, że jest przydatny, że dysponuje dużą wiedzą, której dotąd nie ujawnił. Sprawa była weryfikowana. Informacje, które przekazał w trakcie weryfikacji, się nie potwierdziły – twierdzi nasz informator. Dodaje, że Falenta miał też dzielić się informacjami mającymi kompromitować „pewną europejską komisarz blisko związaną z Donaldem Tuskiem”. Jednak i te informacje nie zostały potwierdzone.

Marek Falenta niedawno wysłał też inny list, który również trafił do mediów. To list do Jarosława Kaczyńskiego – dotarła do niego „Gazeta Wyborcza”. Według dziennikarzy „GW” Falenta napisał m.in., że rozmawiał o aferze podsłuchowej już w 2012 r. z ówczesnym skarbnikiem PiS Stanisławem Kostrzewskim. „To on skontaktował mnie z agentami służb CBA z Wrocławia i ABW z Katowic, którym otwarcie pokazałem, jaki materiał pozyskałem. Poprosili o kontynuację tej operacji, co też wykonałem. Wszystko jest dokładnie opisane w tajnych raportach CBA. W tajnej bazie operacyjnej CBA w okolicach Płocka uzgodniłem, że przekażę cały pozyskany materiał” – miał pisać Falenta.

W jawnych materiałach śledztwa dotyczącego „afery podsłuchowej”, do których dotarło „Do Rzeczy”, w zeznaniach Marka Falenty walczącego o uniewinnienie nie ma słowa o takim zdarzeniu. Nie opowiadają o nim też jego współpracownicy, którzy uczestniczyli w nagrywaniu taśm.

Wiadomo już, że Andrzej Duda nie zastosuje prawa łaski wobec Falenty. Były biznesmen teraz chce choć kontaktu z dziennikarzami. Nie zgadza się na to służba więzienna.

Nie ulega wątpliwości, że sprawa Falenty i jego słowa, nawet jeśli nie będą towarzyszyły im dowody w postaci nagrań, będą stanowić pożywkę polityczną w nadchodzącej kampanii wyborczej. – Watergate doprowadziła do impeachmentu Nixona. W obecnej sytuacji powinno dojść do impeachmentu całej PiS-owskiej władzy – mówił niedawno poseł Krzysztof Brejza (PO). Opozycja chciałaby powołania komisji śledczej ds. afery taśmowej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wiadomo, że prezydent nie ułaskawi Marka Falenty. Biznesmen siedzący za kratkami domaga się teraz kontaktu z dziennikarzami

o poparcie Bieńkowskiej dla siebie. Z kolei „Gazeta Wyborcza” pisała, że już po wybuchu afery podsłuchowej Wojtunik był przez jakiś czas podsłuchiwany właśnie ze względu na swoje relacje z Falentą.

W poprzednim numerze tygodnika „Do Rzeczy” w rubryce „Dwaj Panowie G” ujawniliśmy, że tuż po wybuchu afery podsłuchowej Wojtunik miał zażądać teczek pracy „Prefekta”. Została mu przywieziona w pilnym trybie, samochodem na sygnale z Wrocławia do Warszawy. A już po zapoznaniu się z materiałami, Wojtunik miał się starać uniknąć zostawienia oficjalnego potwierdzenia, że miał te dokumenty w ręku.

ŁUDZIE Z „GÓRY”

Czy Falenta, jak dziś sugeruje, miał kontakty z funkcjonariuszami CBA już za rządów PiS? Z ustaleń do „Do Rzeczy” wynika, że tak było. Nasi informatorzy mówią, że w lutym 2016 r. spotkał się w stolicy z ludźmi z tzw. góry Centralnego Biura Antykorupcyjnego.

Marek Falenta miał wówczas przekonywać, że dysponuje informacjami wskazującymi na udział w aferze korupcyjnej Aleksandra Kwaśniewskiego i Ryszarda Kalisza. Rozmowa tych dwóch polityków

Z hybrydą nabierzesz rozpędu

Małe spalanie, duża zmiana



Już od **109 zł** netto*

*Przy wynajmie na 30 dni. Po pełną ofertę skontaktuj się z wybranym oddziałem Rentis



RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500

www.rentis.pl

info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 307 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307



Nowe życie Janusza Świtaja

Janusz Świtaję przyznaje, że zdobycie wyższego wykształcenia było wielkim wyrzeczeniem. Przez pięć lat dojeżdżał na Uniwersytet Śląski w Katowicach z Jastrzębia-Zdroju. FOT. ARCHIWUM PRYWATNE JANUSZA ŚWITAJA



Agnieszka Niewińska

12 lat temu walczył o eutanazję. Teraz skończył studia, pracuje, jest na stażu i cieszy się życiem

Kilka czy kilkanaście minut – tyle przeciętnemu człowiekowi zajmuje zapisanie na komputerze jednej strony. Januszowi Świtajowi, który jako 18-latek, jadąc motocyklem, ucierpiał w wypadku i od 26 lat jest całkowicie niepełnosprawny ruchowo, godzinę, a czasem nawet dłużej. Píše za pomocą ust. W ten sposób przygotował 67-stronicową pracę magisterską na temat stresu i wypalenia zawodowego u pielęgniarek pracujących na oddziałach intensywnej terapii. Obronił się na początku czerwca i teraz może się pochwalić dyplomem magistra psychologii. A jeszcze w 2007 r. wnioskował o własną śmierć. Był pierwszą osobą w Polsce, która złożyła do sądu wniosek o eutanazję. Przyniosło mu to duży rozgłos, wywołało ogólnopolską debatę, a także kompletnie odmieniło jego życie.

„KTO BARDZIEJ KOCHA ŻYCIE?”

Kiedy zwrócił się do sądu o eutanazję, media obieżyły zdjęcia przykutego do łóżka mężczyzny oddychającego za pomocą respiratora. Zobaczyliśmy, jak leżąc, obsługuje komputer, przyciskając klawisze ołówkiem trzymanym w ustach. Przez kilkanaście lat był uwięziony w domu. Zmiany, które przez ten czas zaszły na świecie, znał z opowiadań opiekujących się nim rodziców i z telewizji. Śpiew ptaków słyszał tylko na nagraniach.

Po tym, gdy w mediach zrobiło się o nim głośno, pomocną dłoń wyciągnęła do niego Anna Dymna, założycielka fundacji Mimo Wszystko. – Od 14 lat ten mężczyzna pokazuje, że życie jest warte takiego cierpienia, od 14 lat walczy w upokorzeniu o każdy oddech. Kto bardziej kocha życie od tego człowieka? – mówiła wówczas Dymna w „Dzienniku”. – Dlaczego nie zastanawiamy się nad tym, co powinniśmy zrobić, żeby tym ludziom chciało się żyć? – pytała.

Januszowi Świtajowi zaproponowała pracę w fundacji. Okazało się także, że może on jeździć na specjalnie dostosowanym do jego potrzeb wózku, a to odmieniło jego życie. Po raz pierwszy od kilkunastu lat mógł usiąść przy wigilijnym stole, wyjść z domu. Zaczął myśleć o kontynuowaniu edukacji. Zdał maturę, potem postawił poprzeczkę wyżej i rozpoczął studia.

Na Uniwersytecie Śląski w Katowicach przez pięć lat dojeżdżał z Jastrzębia-Zdroju, gdzie mieszka. Przyznaje, że zdobycie wyższego wykształcenia było wielkim wyrzeczeniem. Studiował w trybie wieczorowym, program był tak ułożony, że zajęcia odbywały się trzy razy w tygodniu, trwały do późnych godzin wieczornych. – Czasami razem z dojazdami siedziałem na wózku nawet przez 12 godzin. Pod koniec moje ciało było już bardzo obolałe – mówi. „Do Rzeczy” Janusz Świtaj. – Studiowanie z tak znacznym stopniem niepełnosprawności nie jest łatwe. Każdy dojazd na uczelnię, przygotowanie się do egzaminów wyglądały zupełnie inaczej niż u zdrowej osoby, ale poradziłem sobie z barierami, które stawia mi moja całkowita niepełnosprawność ruchowa – opowiada.

Na zajęciach starał się być regularnie. Jeśli nie było to możliwe, bo po dwóch intensywnych dniach zajęć potrzebował odpoczynku od siedzenia na wózku, to korzystał z materiałów dostarczanych przez asystentkę oraz prowadzących zajęcia i z nagrań wideo z zajęć. – W domu mogłem sobie obejrzeć wszystko, co było przerabiane ze studentami, i w ten sposób przygotowywałem się do zajęć – opowiada.

Przez pierwsze dwa lata miał jednak problem z dostępem do wielu miejsc w budynku uczelni. – Mój pierwszy wózek zajmował dużo miejsca, nie mogłem się tym wózkiem zmieścić do windy, która była zainstalowana w nowej części budynku. Platforma zamontowana po to, by pokonać schody na półpiętro, miała udźwignąć do 270 kg, a mój wózek ważył 300 kg. W efekcie nie mogłem się dostać ani do starej, ani do nowej części budynku. Na zaliczenia i egzaminy umawiałem się z wykładowcami w sali katalogowej na parterze, gdzie bez problemu mogłem dotrzeć. Czasami zaliczenia odbywały się przez rozmowę internetową – opowiada Świtaj. – Od trzeciego roku studiów miałem zgrabniejszy, lżejszy i zajmujący mniej miejsca wózek i już nie miałem żadnych problemów z poruszaniem się po uczelni – dodaje.

Planów ma sporo. Już myśli o studiach podyplomowych. Zimą rozpoczął staż w Górnośląskim Centrum Rehabilitacji. – Jeżdżę tam raz w tygodniu i razem z psychologami przyjmuję w gabinecie pacjentów. Zdarza się nawet, że wywiad swobodny czy wstępny wywiad neurologiczny przeprowadzam samodzielnie – podkreśla. Jest aktywny społecznie, udziela się towarzysko, podróżuje. Do dziś pracuje też w fundacji Mimo Wszystko.

Jest internetowym analitykiem rynku osób niepełnosprawnych, a także fundraiserem. Odpowiada za kontakty z darczyńcami.

Przyznaje, że przed przeszło 12 laty, kiedy złożył wniosek o eutanazję, nawet nie przyszłoby mu do głowy, że jego życie może tak się odmienić. – Wtedy miałem wiele pomysłów, ale ich realizacja była niemożliwa. Dzisiaj wystarczy, że zamierzę o czymś, dołożę do tego ogromne starania i udaje mi się to zrealizować – mówi. I dodaje: – Jestem w bardzo ciekawym okresie mojego życia.

UWIEZIENI W DOMACH

– Doskonale pamiętam krzyk rozpaczny pana Janusza Świtaj sprzed kilkunastu lat. Wciąż jest sporo osób w podobnej do niego sytuacji. Nie potrafimy zająć się takimi osobami systemowo, więc jeśli nie trafią na właściwego człowieka – jak pan Janusz Świtaj na panią Annę Dymną – to często w ogóle nie widzą swojej przyszłości – mówi Tomasz Przybyszewski, sekretarz redakcji portalu Niepełnosprawni.pl, prowadzonego przez Stowarzyszenie Przyjaciół Integracji. – Chociaż przez ostatnich kilkanaście lat wiele się zmieniło, jeśli chodzi o sytuację osób z niepełnosprawnością, to w dalszym ciągu są osoby uwięzione w niedostosowanych do ich potrzeb blokach. Jeśli mieszkają poza dużymi miastami, często nie mają możliwości, by się stamtąd wydostać. Jeśli już dojeżdża tam pociąg czy PKS, to przeważnie niedostosowany do potrzeb osób poruszających się na wózku czy o kulach – wyjaśnia.

Najtrudniej mają osoby fizycznie niesamodzielne czy choćby te ze spektrum autyzmu, które choć sprawne, mają innego rodzaju problemy z funkcjonowaniem w społeczeństwie. Dla nich studiowanie czy podjęcie pracy jest największym wyzwaniem. – System asystentów, którzy wsparliby ich w codziennym funkcjonowaniu, u nas nie działa. Jeśli osoby z niepełnosprawnością otrzymują pomoc asystentów, to w ramach pojedynczych inicjatyw samorządów czy NGO. Od dość dawna trwają dyskusje nad opracowaniem takiego modelu wsparcia, problem jest złożony, wciąż czekamy, aż coś się w tej sprawie zmieni – mówi Przybyszewski.

Januszowi Świtajowi pomaga asystent. Mógł go zatrudnić dzięki środkom z OPS i dotacji z Fundacji Anny Dymnej Mimo Wszystko. – Moim marzeniem jest to, żeby asystent osoby niepełnosprawnej, niesamodzielnej – tak jak w moim przypadku – nie był wyjątkiem, tylko regułą. Chciałbym,

żeby wszyscy mogli z tego korzystać – mówi.

Tomasz Przybyszewski podkreśla, że nie stać nas na to, żeby marnować potencjał osób z niepełnosprawnością, a właściwie udzielone wsparcie może uwolnić ich kreatywność – co widać doskonale w przypadku Janusza Świtaj. Z osób pobierających świadczenia mogą stać się tymi, którzy będą pracować, dokładać do budżetu, wносить coś do społeczeństwa. – Praca dla osób z niepełnosprawnością niesie więcej korzyści niż tylko te finansowe. Daje możliwość przebywania wśród ludzi, okazję do wychodzenia z domu, pełni funkcję terapeutyczną – wylicza. Zwraca jednak uwagę, że aby tak funkcjonować, potrzebne jest zindywidualizowane wsparcie dla osoby z niepełnosprawnością. – Uwolnić ją może specjalistyczny wózek, który pozwoli na wyjście z domu. Komuś może się wydawać, że wsparcie w zakupie samochodu dostosowanego do potrzeb osoby z niepełnosprawnością to fanaberia. Tymczasem to często konieczność, jeśli ta osoba chce podjąć pracę. A osoby z niepełnosprawnością nie są u nas rozpieszczane. Świadczenia i dofinansowania są często zbyt niskie, by można za nie chociażby zakupić niezbędny sprzęt czy zatrudnić asystenta.

Janusz Świtaj pomnaża dobro, które dostał od innych. Z prośbą o radę czy wsparcie pisze do niego wiele osób. Kiedy rozmawiamy, opowiada o kobiecie, która napisała w sprawie ojca. Uległ wypadkowi, stracił chęć do życia. Leży pod respiratorem, ma trudności z mówieniem. – Skontaktuję się z tą panią, rozpoznam sytuację, postaram się pomóc – deklaruje.

NAJWIĘKSI BOHATEROWIE

Dzisiaj jest człowiekiem bardzo zajęтым. I choć zaznacza, że przy aktywnym trybie życia, który teraz prowadzi, pomoc asystenta jest nieoceniona – jako kierowca towarzyszy mu w podróżach, pomaga w wielu sprawach dnia codziennego – to bez opieki rodziców niewiele byłoby możliwe. – Mimo że na studia jeździłem z asystentem, to zawsze obecny był także mój tata – gdzieś w pobliżu uczelni, na wypadek, gdyby brakowało mi powietrza, gdyby trzeba było mnie odessać. Jeśli oddycha się za pomocą aparatury, to urządzenie czasem potrafi zaskoczyć, a asystenta nie można wszystkim obarczać. Rodzice dbają także o opiekę w kwestiach biologicznych, są przy mnie od dnia wypadku, to oni są największymi bohaterami – podkreśla.



Łukasz Zboralski

Gdzie dostaniesz mandat za pijanego pasażera z przodu, a gdzie zabiorą ci samochód i zlicytują? Warto to sprawdzić przed wakacjami

Tuż po zakończeniu roku szkolnego wielu Polaków rozpoczyna sezon urlopowy. I choć od kilku lat krajowe kurorty nad morzem i w górach przeżywają prawdziwe obłędzenie, to Polacy coraz częściej decydują się też na zagraniczne wojaże. Część robi to na własną rękę – pakuje walizki do samochodu, wybiera trasę i rusza w drogę.

Polscy kierowcy dość dobrze zdają sobie sprawę z tego, że po przekroczeniu granicy muszą się liczyć z dużo wyższymi karami za drogowe wykroczenia niż te, które grożą im w kraju. Niewielu jednak wie, jak bardzo może się narazić. I niewielu wie też, że mogą złamać przepisy, o których istnieniu nie mieli zielonego pojęcia.

Nie wystarczy pamiętać, że w Europie na drogach szybkiego ruchu wolno jechać z prędkością mniejszą niż polski limit 140 km/godz. – zwykle jest to 130 km/godz. (nie licząc niektórych odcinków niemieckich autostrad, ale należy pamiętać, że w niemieckim prawie istnieje pojęcie „prędkości zalecanej” 130 km/godz. i jeśli kierowca doprowadzi do wypadku, jadąc powyżej niej, to automatycznie staje się potem współwinny, bo uznaje się, że przecenił swoje możliwości).

CHORWACJA

Od tego lata w Chorwacji zaplanowano monstrualne podwyżki kwot mandatów. W niektórych przypadkach kwoty zwiększą się trzykrotnie. W sumie najwyższa grzywna nałożona na kierowcę łamiącego prawo na drodze będzie mogła wynieść ponad 11 tys. zł (m.in. za zbyt szybką jazdę w zaludnionych obszarach, na których obowiązuje ograniczenie do 50 km/godz.; za jazdę pod wpływem alkoholu przy stężeniu przekraczającym 1,5 promila; jazdę pod wpływem narkotyków, jazdę pod prąd na autostradzie oraz przejeżdżanie z premedytacją na czerwonym świetle). Nawet

jednak drobniejsze wykroczenia staną się bolesne dla portfela. Używanie telefonu komórkowego podczas prowadzenia samochodu kosztować będzie ok. 900 zł, a za brak zapiętych pasów bezpieczeństwa czy dziecko niezapięte w foteliku trzeba będzie zapłacić 600 zł.

Dodatkową nową sankcją dla kierowców – np. dwukrotnie złapanych na przekraczaniu prędkości w obszarze zabudowanym – będzie zatrzymywanie auta do czasu orzeczenia kary przez sąd. I to bez względu na to, czy kierowca jest właścicielem pojazdu. Za postój na płatnym parkingu zapłaci oczywiście kierowca.

CZARNOGÓRA

O ile w Czarnogórze dopuszczalny limit alkoholu u kierowcy jest minimalnie wyższy niż w Polsce – wynosi 0,3 promila – o tyle ten kraj uregulował też kwestię spożywania alkoholu przez... pasażerów. Człowiek w stanie nietrzeźwości (w Czarnogórze stan od 0,5 promila) nie może podróżować na przednim siedzeniu pasażera. Grozi za to mandat w wysokości ponad 600 zł.

Warto też wspomnieć, że wysoka grzywna, a nawet karą więzienia, zagrożone jest nie tylko prowadzenie pojazdu

po pijanemu czy pod wpływem narkotyków, lecz także sama odmowa poddania się badaniu przez policję. W dodatku za najmniejsze przekroczenie prędkości, czyli już o 1 km/godz., grozi mandat w kwocie przekraczającej 400 zł.

AUSTRIA

Gdy w Polsce coraz popularniejsze stają się wideorejestratory, w Austrii władze wciąż uważają, że nagrywać okolicę na wideo mogą tylko uprawnione do tego służby. To samo dotyczy się drogi. I na nic zdały się wnioski austriackich kierowców do tamtejszego Federalnego Sądu Administracyjnego, a nawet Trybunału Administracyjnego. Austriacki Urząd Ochrony Danych nie zezwala kierowcom na nagrywanie na drogach. Kara za to jest niebagatelna. Można zapłacić za to od 40 do ponad 100 tys. zł. Kiedy kierowca nie ma odpowiedniej kwoty na opłacenie mandatu, policja może zająć mu cenne przedmioty.

I jeszcze ważna uwaga w sprawie Wiednia dla niepełnosprawnych, którzy posiadają odpowiednią legitymację i oznaczenie samochodu – ponieważ





FOT. ANDRZEJ STOK

daty słone jak Bałtyk. Tutaj nie ma litości dla przekraczających dopuszczalne prędkości. Odbieranie prawa jazdy grozi nie tylko – tak jak w Polsce – tym, którzy jadą o 50 km/godz. za szybko w obszarze zabudowanym – Duńczycy zabierają uprawnienia każdemu, kto przekracza dopuszczalną prędkość o 60 proc. Na autostradzie prawka można pozbyć się szybciej, bo zatrzymanie prawa jazdy następuje już po przekroczeniu 160 km/godz.

Największa różnica między Polską a Danią występuje jednak w podejściu do pijanych kierowców. U nas propozycje odbierania samochodów kończą się awanturą i argumentami „wolnościowców” o tym, że to łamanie prawa do posiadania. Duńczycy mają natomiast prawo, które w przypadku kierowcy mającego co najmniej 2 promile alkoholu w organizmie pozwala policji na zarekwirowanie samochodu. Państwo może potem auto sprzedać na aukcji, a dochód z tej sprzedaży zasila budżet.

NORWEGIA

Norwegowie są równie surowi jak Duńczycy. Przekraczanie prędkości karzą już od 1 km/godz. i kary te są dotkliwe. Poważne przekroczenia limitu to nawet 4,4 tys. zł mandatu. A przekroczenie prędkości o 35 km/godz. – bez względu na to, na jakiej drodze to nastąpi – kończy się skierowaniem wniosku do sądu. Prawo jazdy można stracić na kilka tygodni, na kilka miesięcy albo dożywotnio. W dodatku policja może zaproponować mandat albo – alternatywnie – karę aresztu.

Bolesne jest też nieutrzymywanie bezpiecznej odległości od poprzedzającego pojazdu czy przejechanie na czerwonym świetle (ok. 3 tys. zł mandatu).

Niewielkim pocieszeniem może być to, że Norwegowie dopuszczają wniosko-
wanie o rozłożenie płatności mandatu na raty – nawet do 12 wpłat.

LITWA

Litwini są bardziej liberalni niż Norwegowie czy Duńczycy. Ba, nawet bardziej liberalni niż Polacy, jeśli chodzi o limit alkoholu u kierowców. Można legalnie prowadzić auto, mając maksymalnie 0,4 promila (ale kierowcy młodzi, posiadający niedługo prawo jazdy oraz kierowcy zawodowi muszą być zupełnie trzeźwi!). Za to po przekroczeniu dopuszczalnych barier Litwini zamieniają się w Skandynawów.

Od dwóch lat prowadzenie po przekroczeniu 1,5 promila jest przestępstwem, za które grozi nie tylko pozbawienie prawa jazdy na trzy lata, lecz także pozbawienie wolności na 12 miesięcy. Na Litwie w takim przypadku możliwa jest także konfiskata pojazdu.

Dodatkowa ciekawostka: na litewskich drogach funkcjonuje też „zielona strzałka”. Jednak tam znaki umieszczone są na tabliczkach na stałe, nie zapalają się na sygnalizatorach. Zachowanie kierowcy musi być takie samo jak w Polsce – na „zielonej strzałce” należy się zatrzymać tak jak przed znakiem „stop”.

CZECHY

Czeska drogówka przyznaje punkty karne kierowcom z zagranicy. I jest to o tyle istotne, że limit ten jest dużo niższy niż w Polsce. Gdy uzbiera się 12 pkt karnych, traci się prawo jazdy i ma się zakaz prowadzenia pojazdów w tym kraju przez rok. A kto chciałby ten zakaz złamać, ten ryzykuje grzywnę wynoszącą ok. 8 tys. zł.

Zakaz prowadzenia pojazdów na terenie Republiki Czeskiej ma się również wówczas, gdy przekroczy się dopuszczalną prędkość o 20 km/godz. w obszarze zabudowanym i o 30 km/godz. poza obszarem zabudowanym. Zakaz może trwać od miesiąca do pół roku.

W Czechach nie warto droczyć się z drogówką i odmawiać poddania się badaniu na zawartość alkoholu. Takie zachowanie uznawane jest za przyznanie się przez kierowcę do prowadzenia po pijanemu.

WYPOSAŻENIE DODATKOWE

I na koniec – choć wiele krajów podpisało konwencję wiedeńską i w jej myśl wyposażenie obowiązkowe samochodu powinno być takie, jakie jest w miejscu jego rejestracji, to drogówka w innych państwach potrafi upierać się przy lokalnych wymogach. A te są rozmaite. W Czechach trzeba na przykład wozić komplet zapasowych żarówek – po jednej do oświetlenia punktów zewnętrznych pojazdu, bezpieczniki – po jednym z każdego rodzaju, klucz do kół i podnośnik do auta, koło zapasowe lub w przypadku braku koła zapasowego komplet naprawczy do opon.

Oczywiście zawsze można wykłócać się z policjantem o konwencję. Tylko czy na pewno warto tracić czas i nerwy podczas urlopu?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

tamtejsza policja zmagala się z falą nadużyć ze strony rodaków parkujących w miejscach dla inwalidów, nie zawsze chce honorować polskie dokumenty.

SŁOWACJA

Na Słowacji nie ma wprawdzie zakazu nagrywania kamerkami na drogach, ale jazda z przyczepionym do szyby wideorejestratorem czy smartfonem też nie będzie dobrym pomysłem. Dlaczego? Ponieważ w tym kraju obowiązuje rozporządzenie, które zakazuje montowania na przedniej szybie – w polu widzenia kierowców – systemów nawigacji lub innych urządzeń. Jeśli słowacka policja uzna, że kierowca ma ograniczoną widoczność, wówczas może ukarać go mandatem. A tu kłopoty mogą się jeszcze piętrzyć. Nieopłacenie mandatu na miejscu oznaczać może zatrzymanie prawa jazdy na 15 dni. W tym czasie kierowca będzie musiał uiścić karę. A swój dokument odbierze w komisariacie, w którym pracują funkcjonariusze drogówki, którzy mu prawo jazdy zatrzymali.

DANIA

Duńczycy są tak surowi dla kierowców jak ich skandynawski klimat. A man-



Monika Małkowska
z Wiednia

Jak jedna kolacja przekreśliła powstanie przełomowego – być może – dzieła sztuki

Na ogół bywa odwrotnie: niejeden deal został przyklepany podczas posiłków, niejeden mistrz uległ namowom mecenasa, który umiał doń trafić przez żołądek. Lub odwrotnie.

Tymczasem obiad zjedzony 60 lat temu w ekskluzywnej nowojorskiej restauracji Four Seasons w wieżowcu Seagram – szkło, brąz, 38 pięter, no, cudo, no, ikona architektury lat 50. ubiegłego wieku zaprojektowana przez Miesa van der Rohego – zaowocował... odmową współpracy.

NIE TA PUBLIKA

Tymi nietypowymi konsumentami byli państwo Rothkowie – Mark i jego druga żona Mell. Malarz, choć już znany, lecz niekoniecznie u szczytu finansowego powodzenia, powinien z pocałowaniem ręki przyjąć ofertę wykonania wielkoformatowych malowideł dla towarzyskiego lokalu, gdzie był „cały świat”. Tymczasem artysta (zresztą z przekonania i partyjnej przynależności komunisty) posiłek spożył i ofertę odrzucił.

„Nikt, kto tu jada za te absurdalne ceny, nie spojrzysz na moje obrazy” – zauważył.

Czego się spodziewał? Że między jednym kęsem a drugim gość dozna iluminacji?

Czy któregoś ze współczesnych artystów stać by było na tak bezkompromisowe podejście do równie intratnej oferty?

No, ale to było w innym świecie, w którym termin „sukces” oznaczał co innego. A w przypadku Marka Rothko ten największy sukces przyszedł pośmiertnie...

Jednak wracając do zerwanego kontraktu z milionerami od produkcji alkoholu (na tym Seagram dorobił się majątku) – zwrot zaliczki oraz przetrzymanie gigantycznych płócien w pracowni okazały się genialnym marketingowym posunięciem. Po pierwsze, już dekadę później dzieła trafiły do kilku prestiżowych muzeów (Tate Modern w Londynie, Narodowa Galeria Sztuki w Waszyngtonie i Kawamura Art Mu-

seum w Japonii), i to za znacznie wyższe ceny. Po drugie, tym aktem nonkonformizmu Rothko ustawił szlaban między „nowatorską” w formie sztuką dekoracyjną a wyższą, uduchowioną, wręcz religijną. I odtąd tak funkcjonują jego dokonania.

Na ile było to szczere posunięcie, a na ile przyczynili się do tej decyzji marszandzi malarza – trudno ocenić. Podobno w dniu zakupu części wspo-

mnianych murali do londyńskiej Tate artysta popełnił samobójstwo...

Jest okazja, by popatrzeć na legendarne „Seagram murals”, wyeksponowane w jednej z najsłynniejszych świątyń sztuki świata: w wiedeńskim Kunsthistorisches Museum.

NIE TEN KIERUNEK

Na „zwykłym” odbiorcy wrażenie robi ten scenariusz: artysta wyklęty i zmar-

Mistrz abstrakcji



ginalizowany, niezrozumiały, a genialny, biedny, a pośmiertnie sprzedawany za miliony; do tego cierpiący na jakąś chorobę, najpewniej też alkoholik...

Z tej perspektywy Rothko jest idealnym bohaterem popkulturowej legendy. Wiadomo – w pewnym momencie śmierć miał już w pakiecie (tętniak aorty); palił obłąkańczą liczbę papierosów, nadużywał gradusów, cierpiał na depresję, niemal przestał się do ludzi odzywać.

A choć od połowy lat 50. ubiegłego wieku jego obrazy sprzedawały się całkiem dobrze, jego to nie zadowalało, bo... się sprzedawały właśnie. Kiedy w 1950 r. „Vogue” opublikował tekst o nowoczesnym aranżowaniu mieszkań, w których zamiast wielu drobnych obrazków sugerowano zawieszanie jednego dużego płótna na pustej ścianie, a artykuł zilustrowano reprodukcją obrazu Rothko, był on załamany.

Co więcej, choć amerykańska sztuka w drugiej połowie XX stulecia zaczęła święcić światowe triumfy, Nowy Jork

zdetronizował Paryż w kategorii stolicy kultury, to przecież nie za sprawą abstrakcjonistów od wielkich „pól koloru” („colorfield painting”), lecz dzięki ekspansji pop-artu, któremu wrota do Europy otworzył – w przenośni i realnie – wenecki Złoty Lew przyznany Robertowi Rauschenbergowi (1964).

Rothko nie potrafił się odnaleźć w dobie postępującej komercjalizacji sztuki, w odarciu jej z metafizyki i traktowaniu jako dekoracji pasującej do nowoczesnych wnętrz. Do końca życia prześladowało go dobieranie kompozycji pod kolor kanapy – co, paradoksalnie, pomagało znajdować nabywców jego płócien.

Tym gorzej Rothko znosił ten stan rzeczy, że do swej wizji dochodził długo, po wyboistej drodze – od figuracji przez surrealizm i niejako wynikające z nadrealizmu układy „pływających”, płaskich kształtów bez wyraźnych konturów.

Zsyntetyzowanie i ujednolicenie kolorystyczne kompozycji, a także zasada dzielenia płócien na horyzontalne „sfery” – te typowe „rothki” – były nie tylko wynikiem przemysłu. Abstrakcja w każdej formie – od ekspresyjnych drippingów Pollocka do niemal pustych pól Bernetta Newmana – opanowała Amerykę po II wojnie. Jedną z przyczyn były dochodzące do amerykańskiej żydowskiej diaspory wieści o Holokauście. Przecież większość Żydów osiadłych za wielką wodą wywodziła się z Europy; niektórzy zostawili tam rodziny; ciągle kultywowali stare tradycje.

Rothko nie był jedynym, który zwątpił w sens malowania figur czy w ogóle antropomorficznych form. Nie mógł jednak zaprzeczyć bagażowi europejskiej kultury, z którą przyjechał do Stanów.

ROZMOWA BEZ SŁÓW

Pierwszy przybył do USA Jakow Rothkowitz, aptekarz z Dyneburga (dzisiejsza Łotwa); rok potem przybyli dwaj starsi synowie, a trzy lata później, w 1913 r., do Portland dobiły matka wraz z córką i najmłodszym Marcusem. Zaraz chłopak został wrzucony na głęboką wodę, bo ojciec zmarł. Nikt z rodziny nie znał angielskiego – po obcym kraju poruszali się zaopatrzeni w zawieszane na piersiach tabliczki z informacją, że nie mówią w tym języku. Po śmierci głowy rodu dzieci musiały zarabiać na utrzymanie; ten najmłodszy roznosił gazety.

Potem już się wydawało, że mają z górki: Marcus w lokalnej szkole został zauważony jako wybitnie uzdolniony, otrzymał stypendium, które pozwoliło mu na rozpoczęcie studiów na Uniwersytecie Yale. Nauki jednak nie ukończył, bo atmosfera na uczelni wydała mu się przesiąknięta antysemityzmem. Przeprowadził się do Nowego Jorku i tu poczuł się bardziej u siebie.

Znalazł też zatrudnienie w Brooklyn Jewish Center jako nauczyciel plastyki. Niezbyt intratna posada, lecz wytrwał na niej 24 lata. Skromne środki pozwoliły mu samodzielnie zgłębiać tajniki malarstwa, a także się ożenić.

Z pewnością w okrzepnięciu jako artysta pomogły mu: wejście w środowisko nowojorskiej awangardy (m.in. Barnett Newman, Jackson Pollock, Willem de Kooning i Clyfford Still), wspólne wystawy i regularne, cotygodniowe spotkania. Panowie abstrakcyjniści w 1948 r. założyli „akademię” Subject of the Artist, a swoje credo wyłożyli w manifestie „The Artist's Reality” opublikowanym w prasie. Uważali, że idea dzieła skończonego to fikcja; że artysta całe życie pracuje nad jednym obrazem. A nade wszystko tylko sztuka łączy człowieka z absolutem.

Rothko podzielał te poglądy. Jednak ogromny wpływ na jego poszukiwania miał bezpośredni kontakt z malarstwem europejskim. Czterokrotnie, od 1950 r., przedsięwbrał wояże na Stary Kontynent, pilnie zwiedzając kościoły, kaplice i muzea z dziełami starych mistrzów, zwłaszcza włoskimi.

Objawieniem dlań stał się Giotto, uważany za ojca malarstwa nowożytnego; za tego, który „uczłowieczył” ikonę. Rothko zauważył, że w malarstwie di Bondonego najbardziej zwraca uwagę masywność form; że u niego Bóg, święci, a nawet anioły nie są bytami symbolicznymi, tak jak w sztuce poprzedników, lecz istnieją fizycznie, mają ciała i uczucia. A wymowę scen podkreśla ich koloryt. I właśnie problem przełożenia emocji na kolor najbardziej zajął uduchowionego abstrakcjonistę.

Za każdym razem, gdy widzę malarstwo Marka Rothko, wpływ na odbiór ma kontekst.

Dekadę temu zdarzyło mi się w berlińskiej Gemäldegalerie oglądać symboliczne spotkanie Giotta i Rothko. Jedną z bocznych, niedużych sal zaaranżowano jak kaplicę: z lewa i prawa – prekursor renesansu; na „ołtarzu głównym” – twórca „pól koloru”.



Fragment wiedeńskiej wystawy prac Marka Rothko FOT. MATERIAŁY PRASOWE



„Autoportret”, 1936 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ Sama nie wiem, komu bardziej uległam, który autor zdecydował o aurze tej „świątyni”. Nie miałam jednak wątpliwości, że to przestrzeń metafizyczna.

Teraz mam w świeżej pamięci pokaz obrazów Rothko w wiedeńskim Kunsthistorisches. Podobnie jak w Warszawie w 2013 r. przedstawiono kolejne etapy twórczej drogi artysty. Aż dochodzi się do pomieszczeń, gdzie już wiadomo, że Rothko znalazł swoją koncepcję.

I znów ważny kontekst. W sąsiednich salach mistrzowie, dla których ludzie peregrynują do wiedeńskiego muzeum. Z którym z nich Amerykanin mógł nawiązywać nić porozumienia? Późny Tycjan, gdy malarz ograniczył paletę do kilku barw; Vermeer, który gładką ścianę zamieniał w wibrację odcieni; Velázquez malujący sukienkę infantki, jakby to był samodzielny byt. Tak, to jego „rozmówcy”.

Tak jak oni Rothko zmagał się z samą malarską materią. Mierzył się z nią, modlił do niej i przeklinał; w nią wnikał. Na końcu zrozumiał, że czerni jest absolutem. I że też może być bogata, piękna oraz... no właśnie – dekoracyjna?

ŚWIADOMOŚĆ KARALUCHA I MNICHA

Abstrakcja okazała się najbardziej zdradliwym trendem od początków istnienia sztuki. Trzeba niesamowitego nosa i wrażliwości, żeby odróżnić geniusza od naśladowcy, arcydzieło od pustej dekoracji. Rozumiem nieufność Kurta Vonneguta, natrząsającego się w „Śniadaniu mistrzów” z tzw. color field paintings. Pisarz interpretował kompozycję (prawdopodobnie

wziął na ząb Bernetta Newmana) jako „pomarańczowy pasek, odzwierciedlający świadomość karalucha”.

Podobnie łatwe do wykpienia są (czy raczej były, bo teraz nikt się nie ośmieli) obrazy Marka Rothko. Dwa, trzy równoległe pola różnych, acz nie kontrastowych barw. Puste, nieco ciemniejsze przy obrzeżach. Niby nic takiego, a działają na podobieństwo ikon, ołtarzy. Są metafizyczne, przy tym ponadkulturowe.

„Ludzie stając twarzą w twarz przed moimi płótnami, doświadczają takich samych duchowych uniesień jak ja podczas pracy nad obrazami” – uważał autor.

Nie miał tylko entuzjastów twórczości. Ktoś powiedział, że mistrz – kiedy już znalazł swą drogę czy raczej styl – stale malował to samo. Nie ryzykował, wręcz nudził. A on w brzmieniu koloru i proporcjach malowanych pól poszukiwał drogi do kontemplacji.

Te późne dzieła zamykają ekspozycję w Kunsthistorisches Museum. Minimalistyczne, mroczne kompozycje z cyklu zwanego „Black on Grey”. Szaro-czarne płótna (malowane akrylami, co nadaje im „akwarelową” przejrzystość, za to ujmuje blasku typowego dla farb olejnych) też mają odniesienia do europejskiej klasyki.

To jakby wyczyszczona z figuracji interpretacja „Mnicha nad morzem”, najbardziej tajemniczego obrazu niemieckiego romantyka Caspara Davida Friedricha. Rothko wyczuł i odtworzył dwoistość tego przedstawienia – z jednej strony modlitewny nastrój, z drugiej – trwoga przed żywiołami.



„Portret Mary”, 1938–1939
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W ujęciu amerykańskiego twórcy umieszczony pośrodku horyzont oddziela „czarne, skłębione zasłony” od ziemskiej szarości. Dwie warstwy, dwa światy – to tu i to tam, w równych proporcjach.

Stąd tylko krok do ostatnich, gigantycznych rozmiarów dzieł przeznaczonych do kaplicy w Houston. Pustych, ostentacyjnie pustych – zarazem będących popisem malarskich umiejętności autora.

KLIMAT MIEJSCA

Pewien znajomy artysta zwierzył mi się, że gdy zasiadł w Rothko Chapel, łązy bezwiednie popłynęły mu z oczu. Tak nań wpłynął klimat miejsca. Nie mam wątpliwości, że mówił prawdę. Prosta i oparta na idealnych proporcjach architektura świątyni plus „wsysające”, wielowarstwowe malowidła oraz rozproszone, sączące się z góry światło sprawiają wrażenie idealnego połączenia duchowości i wiedzy; wiary i strachu przed nicością; poczucia połączenia z naturą i świadomości ciągłości kultury. To może wzruszać – bo za tym tęsknimy, do tego dążymy.

Kaplica w Houston stała się dla Rothko swego rodzaju szansą. Tutaj wreszcie, po 10 latach od wstępnej koncepcji, mógł zrealizować to, co w restauracji Four Seasons wydawało się niestrawne. Tutaj mógł pokajać się, wypłuć z siebie alkoholizm i strach przed śmiercią. Jak mnich Caspara Friedricha stanął przed absolutem. Na własne życzenie nie doczekał wielkiego finału.

Od dawna wchodził w ciemność, pograżał się w depresji i poczuciu niezrozumienia – co o tyle może wydawać się dziwne, że jego płótna piły się cenowo w górę. Jemu jednak nie chodziło o zarobek, tylko o dojście do sacrum. A tu nic z tego, podziwiano jego prace za walory estetyczne. Więcej treści doszukiwano się w zanurzonym w codziennym życiu poparcie. Kiedy Kurt Vonnegut dworował sobie z „poważnych” abstrakcjonistów w „Śniadaniu mistrzów” (premiera 1973), tamci byli już historią. Mark Rothko w nią się wpisał, a nawet więcej – stworzył własny mit. Oby nie przysłonił walorów jego sztuki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Mark Rothko”, Kunsthistorisches Museum, Wiedeń, otwarta jest do 30 czerwca 2019 r.

Tak płonie muzyka



Znamy prawdziwy rozmiar katastrofy po pożarze, który 11 lat temu wybuchł w magazynie Universal Music Group

The New York Times Magazine” opublikował wyniki pięcioletniego dziennikarskiego śledztwa Jody’ego Rosena. Dziennikarz dowiódł, że 1 czerwca 2008 r. spłonęło, według ukrywanych dokumentów Universal Music, ponad 120 tys. taśm matek, w tym z nagraniami największych gwiazd muzyki. Nieoficjalnie liczba utraconych oryginalnych nagrań sięga nawet 175 tys. pozycji.

Gdy 11 lat temu ogień pojawił się w magazynie Universal Music Group (UMG), największego na świecie koncernu fonograficznego, rzecznik firmy uspokajał, że pożar strawił tylko kopie nagrań. Później podano informację o zniszczeniu taśm matek, ale wyłącznie mało znanych artystów.

Prawda była inna. W hali 6197 przechowywano oryginalne nagrania studyjne pochodzące z sesji rejestrowanych od końca lat 40. dla wytwórni płytowych: Decca, Chess, Impulse, MCA, ABC, A&M, Geffen i Intersco-

pe. W poufnych raportach z 2009 r., do których dotarł Jody Rosen, UMG oszacowało straty na pół miliona utworów wartych 150 mln dol.

Ujawniony przez „New York Timesa” bilans katastrofy jest porażający. Spłonęły taśmy matki z epokowymi nagraniami jazzmanów (Louisa Armstronga, Duke’a Ellingtona, Binga Crosby’ego, Elli Fitzgeralda, Billie Holiday, Johna Coltrane’a, Counta Basiego, Dizzy’ego Gillespiego, Charlesa Mingusa, Ornette’a Colemana), bluesmanów (Muddy’ego Watersa, Howlina Wolfa, Williego Dixona, Bo Diddleya, Johna Lee Hookera, Buddy’ego Guya), rockmanów (Chuck’a Berry’ego, Joan Baez, Joni Mitchell, Eltona Johna, Erica Claptona, Aerosmith, Police, Stinga, R.E.M., Guns N’ Roses, Nirvana) czy raperów (Queen Latifah, Mary J. Blige, Snoop Dogga, Tupaca Shakura, Eminema, 50 Centa czy zespołu Roots).

A wymieniałem jedynie wykonawców najbardziej znanych.

Pożar, wbrew oświadczeniom UMG, nie był zatem drobnym nieszczęściem, ale największą katastrofą w historii branży muzycznej. Dzisiejszy przemysł fonograficzny opiera się w dużej mierze na kopiowaniu. Na wznawianych albumach nie przypadkiem widnieje napis: „nagrania zremasterowane z oryginalnych taśm matek”.

Zwolennicy dzisiejszych streamingowych portali muzycznych typu Spotify, a jest ich już ponad 100 mln, słuchają skompresowanych nagrań MP3, które zostały zgrane z płyt CD. Rozwój technologii wymusza przesyłanie piosenek o wyższej jakości dźwięku. Żeby to osiągnąć, należy nagrania źródłowe ponownie skopiować z taśm matek.

Kolejnym krokiem w rozwoju branży muzycznej jest stworzenie usług strumieniowych premium opartych

na nagraniach o wysokiej jakości dźwięku. Platforma Tidal niedawno uruchomiła subskrypcję o nazwie Tidal Masters. Amerykański raport BuzzAngle, który analizuje konsumpcję muzyki online, wykazał, że połowę ze sprzedawanej w sieci muzyki stanowią nagrania archiwalne. Boom katalogowy powinien zmusić wytwórnie do digitalizacji większej liczby nagrań. Inwestowanie w ochronę taśm matek i ich cyfryzację nie jest tanie, ale jest w zasięgu koncernów fonograficznych.

W styczniu Deutsche Bank oszacował wartość Universal Music Group na ponad 33 mld dol. Koncern ma obecnie udziały rynkowe prawie dwukrotnie większe niż największy konkurent Sony Music Entertainment. Mimo to, a może właśnie dlatego, w ubiegłym roku ogłoszono plan sprzedaży prawie 50 proc. zasobów. Wśród potencjalnych nabywców są: Apple, Amazon i chiński konglomerat Alibaba.

The Show Must Go On. ©©

Grzegorz Brzozowicz



„Zabójczy rejs” to rozrywka lekka, łatwa i przyjemna FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Łajdackie lato



Piotr Gociek

Podróbka Agathy Christie, powtórka z klasyki i propaganda LGBT – dziwny jest ten wakacyjny koktajl filmowy

Lubię w kinie wakacyjne ogłupienie: agentów specjalnej troski, niemądrych turystów, obfite blondynki biegające po plaży, słamazarnych policjantów. Lubię zwłaszcza, gdy na zewnątrz temperatury przekraczają plus 30.

GŁADKIE PRODUKTY

„Zabójczy rejs” („Murder Mystery”), czyli czerwcowy, lecz mocno już wakacyjna premiera Netflixu, łączy dwie tradycje. Pierwsza to sięgająca „Prostaczków za granicą” Marka Twaina linia opowieści o grubiańskich i niezbyt lotnych Amerykanach w podróży (szczególnie w podróży do Europy). Druga to opowieści kryminalne w starym stylu, w duchu dzieł Agathy Christie.

Audrey i Nick Spitzowie to para zwyczajnych nowojorczyków. Ona (Jennifer Aniston) jest fryzjerką, on (Adam Sandler) policjantem. Ślub wzięli 15 lat wcześniej, ale nigdy nie udało im się wyruszyć w podróż poślubną. Teraz wreszcie lecą do Europy. Nim wylądują w Hiszpanii, przypadkowe spotkanie w samolocie zmienia ich plany – zamiast do ciasnego autobusu firmy oferującej najtańsze wycieczki objazdowe trafiają na pokład luksusowego jachtu Królowa Oceanów. Wszystko za sprawą tajemniczego bogacza. Charles Cavendish (Luke Evans) udaje się na rodzinną uroczystość do swego wuja, miliardera Quince’a (Terence Stamp). Jest wściekły i zraniony (wuj odbił mu narzeczoną) i uważa, że pojawienie się w towarzystwie pary irytujących, niewychowanych jankesów to doskonały sposób, by zająć Quince’owi za skórę.

Podczas uroczystego powitania światło gaśnie, a gdy znów się zapala, miliarder jest martwy. Kto zabił? Każdy miał motyw, możliwe są rozmaite powody: zemsta, zazdrość, chciwość (w grę wchodzi nowa treść testamentu), a w dodatku zdaniem pyszałkowatego francuskiego inspektora (pyszny epizod

Dany’ego Boona) najbardziej podejrzani są tonący w długach Amerykanie. Potem ofiarą tajemniczego mordercy zaczynają padać kolejni pasażerowie.

„Zabójczy rejs” to rozrywka lekka, łatwa i przyjemna, podobnym tropem podążają twórcy komedii „Oszustki” („The Hustle”), która w miniony weekend trafiła do polskich kin. Tyle że tu nie mamy do czynienia z serią morderstw, lecz pojedynkiem oszustów.

Oszuści są płci pięknej (zgodnie z tegoroczną modą feminizowania czego się da, od „Facetów w czerni” po „Mroczną Phoenix”), a sam film Chrisa Addisona (znanego z wielu odcinków serialu „Figurantka”) to nowa wariacja na stary temat. Zaczęło się w roku 1964 od „Opowieści do poduszki” z Marlonem Brando i Davidem Nivenem w reżyserii Ralpha Levy’ego. Niemal ćwierć wieku później powstał remake Franka Oza zatytułowany „Parszywe dranie” („Dirty Rotten Scoundrels”, 1988) z równie przebojową parą Steve Martin/Michael Caine.

W „Oszustkach” ofiarą nie jest już amerykańska milionerka, w której para spryciarzy widzi idealną kandydatkę do oskubania z gotówki, lecz przystojny

bogacz, na którego parol zagieły Anne Hathaway oraz Rebel Wilson. Ta pierwsza to oszustka glamour, druga reprezentuje społeczne niziny, ale chciwość i beczelność bez wątpienia je łączą. Zestawiono je tak, by zgodnie z inną modą ostatnich lat (rozpoczęły ją sukcesy Melissy McCarthy w „Druhnach” czy „Agentce”) jedna była kobietą plus size. Wyszedł z tego produkt równie gładki jak „Zabójczy rejs”, choć bardziej zadziorny (to akurat dobrze). Szału nie ma, to bardziej szprycer niż markowy szampan, ale mogło być gorzej.

KUJONKI TEŻ POTRAFIĄ SZALEĆ

Osobnym gatunkiem wakacyjnej rozrywki są komedie edukacyjno-erotyczne, których bohaterowie desperacko próbują stracić dziewictwo, ewentualnie dostać się na niesamowitą imprezę (która mogłaby prowadzić do utraty dziewictwa) lub też wyjeżdżają na letni obóz, po którym obiecują sobie utratę dziewictwa itd. Zwykle te działania przybierają na sile w związku z ukończeniem szkoły średniej i głębokim kryzysem wieku młodzieńczego. Czyli frustracją wynikającą z tego, że inni to już zrobili, a bohaterowie jeszcze nie. Bywały w tym gatunku przedsięwzięcia udane (jak „Supersamiec”), bywały i wątpliwe (jak sequele „American Pie”). Tegoroczny przykład budzi mieszane uczucia. To „Szkoła melanżu” („Booksmart”, 2019), film Netflix, ale najpierw wysłany do kin (w Polsce na ekrany wchodzi 5 lipca). Reżyserem jest Olivia Wilde, aktorka znana głównie z serialu „Dr. House”, ale to dopiero początek niespodzianek.

W standardowych komediach imprezowo-wakacyjno-szkolno-erotycznych bohaterami zwykle byli przyszcaci, rozpierani hormonami chłopcy. „Szkoła melanżu” to opowieść o dziewczynach. Amy i Molly (Kaitlyn Dever i Beanie Feldstein) to kujonki. Szczególnie irytująca jest ta druga – szefowa szkolnego samorządu, prymuska, przyszła studentka Yale, która nawet w ostatnim dniu nauki w liceum zamiast zajmować się przygotowaniami do pożegnalnych imprez woli podliczać szkolny budżet z udręczonymi jej doskonalościami nauczycielami. Wszystko zmienia się, gdy Molly odkrywa, że uczniowie, którymi do tej pory gardziła, uważają za imprezowych półgłówków, dostali się na równie prestiżowe uczelnie. Jak to? Zatem można być i prymusem, i królem domówek? W ten ostatni wieczór przed wręczeniem świadectw Molly i Amy



postanawiają zaszaleć, odbijając sobie lata postu. Tyle tylko że Molly wdycha do przystojnego, acz pustego lekkoducha, a Amy, jako lesbijka, do chłopczykowatej Ryan, która nigdy nie rozstaje się z deskorolką. Naprzód, na imprezę! Wszystko może się zdarzyć!

„Szkoła melanżu” (swoją drogą nagrodę Zardzewiałej Stalówki powinien otrzymać ten, kto przełożył tak tytuł „Booksmart”) jest filmem nakręconym bardzo zręcznie, ze świetną obsadą i masą niezłych dialogów. Jest także grą ze stereotypami znanymi z komedii o nastolatkach i dla nastolatków. Gdyby na tym się skończyło, mielibyśmy do czynienia z idealnym produktem wakacyjnym. Niestety, dostajemy także potężną dawkę propagandy. Dziwnym trafem jeśli ktoś wśród licznych bohaterów komedii jest idiotą lub pustakiem, to zwykle mamy do czynienia z osobą hetero. Nastoletni homoseksualiści płci obojga (a także trans) są z kolei co do jednego/jednej przedstawieni jako bystrzy, eleganccy i utalentowani. A ich prawa to główny przedmiot troski pozostałych – na przykład to, że w Ugandzie homoseksualiści mają przechłapanie.

IDEOLOGICZNA WOJNA

Olivia Wilde, gorąca zwolenniczka demokratów i aborcyjnej organizacji Planned Parenthood, w roku 2015 była gwiazdą wprowadzającą na konwencję w Nowym Jorku nie kogo innego jak kandydatkę Hillary Clinton. „Szkoła melanżu” debiutuje nie tylko jako reżyser, ale przede wszystkim jako reżyser filmów słusznych i politycznie poprawnych. Nie mam nic przeciwko inicjacyjnym opowieściom o perypetiach młodych o rozmaitych pre-

★★★★★

REŻ. KYLE
NEWACHECK
„ZABÓJCZY REJS”
(„MURDER
MYSTERY”)
USA 2019

wyst. Jennifer
Aniston, Adam
Sandler, Luke Evans

ferencjach, tyle tylko że Wilde gra znaczącymi kartami. Ze szkodą dla swoich sympatycznych bohaterów, które łatwo polubić i którym od razu ma się ochotę kibicować. Za każdym razem, kiedy na pierwsze miejsce wysuwa się w „Szkole melanżu” pełniona przez bohaterki (i bohaterów) funkcja politycznego symbolu, tracą oni trochę swego człowieczeństwa i stają się plakatowi. Momentami nawet chyba nieintencjonalnie karykaturalni.

To nie wybryk, to nie dziecięca choroba postępowości, to ideologiczna wojna. Najwięksi gracze show-biznesu zaczęli ścigać się w ofertach dla agresywnych, głośnych i perfekcyjnie zorganizowanych mniejszości, którym nie zależy na równych prawach, tylko na rozbiciu tradycyjnych struktur społecznych i dokończeniu rewolucji światopoglądowej. Jedni robią to wolniej (jak Disney), bo lwia część zysków przynosi im rozrywka tradycyjna, inni szybciej (jak Netflix) wciągają tęczę na sztandar.

Cieszymy się przynajmniej tym, że w „Zabójczym rejsie” główni bohaterowie to małżeństwo hetero, albo tym, że piękne panny z „Oszustek” podrywają milionera, a nie milionerkę. Cieszymy się dawnymi wakacyjnymi komediami o napalonych chłopakach i pięknych, ale zawsze sprytniejszych od nich dziewczętach, śmiejemy się z grubych żartów o prawiczkach i rozpustnych mamuszkach, dopóki jeszcze je pamiętamy. Dopóki nowy Wielki Brat nie wytnie ich wszystkich z cyfrowych archiwów,



★★★★★

REŻ. CHRIS
ADDISON
„OSZUSTKI”
(„THE HUSTLE”)
USA 2019

wyst. Anne
Hathaway, Rebel
Wilson, Alex Sharp



★★★★★

REŻ. OLIVIA WILDE
„SZKOŁA
MELANŻU”
(„BOOKSMART”)
USA 2019

wyst. Kaitlyn Dever,
Beanie Feldstein

jako dzieł seksistowskich, obraźliwych i antypostępowych. Cieszymy się na zapas, zwłaszcza w czasach, kiedy w kinie robi się człowiekowi zimno nie tylko z powodu klimatyzacji.



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Błazen trafił na orbitę



★★★★★
REŻ. DEXTER
FLETCHER
„ROCKETMAN”
WIELKA
BRYTANIA 2019

wyst. Taron Egerton,
Jamie Bell,
Richard Madden

Autoryzowane biografie gwiazd z reguły są nudne jak flaki z olejem. „Rocketman” to film, nad którym Elton John miał całkowitą kontrolę, lecz – o dziwo – ogląda się go świetnie. Twórca „Goodbye Yellow Brick Road” jest bowiem mniejszym hipokrytą od muzyków z Queen, którzy zapragnęli przejść do historii jako bogobojni dżentelmeni, pechowo zaplątani w show-biznes. Natomiast 72-letni Elton chce być zapamiętany jako wrażliwiec, który niefortunnie dzieciństwo.

Porównania z „Bohemian Rhapsody” są nieuniknione choćby z tego powodu, że bohater „Rocketmana”, podobnie jak Freddie Mercury, był zaciekle hedonistą. Dorastali w złotej epoce pop rocka, gdy nawet śniady imigrant z wadą zgryzu

lub gruby łysiejący okularnik, jeżeli tylko miał iskrę bożą, w kilka miesięcy mógł stać się idolem milionów i milionerem.

Atutem młodego Eltona był głos, na pianinie umiał zagrać wszystko, lecz brakowało mu muzycznego kręgosłupa. Podążał za modą. Odnalazł się w estetyce glam rocka. Zasłynął z ekstrawaganckich kreacji oraz (poza)scenicznych ekscesów. Jego piętą achillesową były teksty. W czasach, gdy szanujący się wokalista z lepszym czy gorszym skutkiem chwytął za pióro, on wolał korzystać z usług zawodowca.

Mocne entrée to połowa sukcesu. Bohater pojawia się na ekranie w pomarańczowo-czerwonym stroju upadłego anioła. Zamiast na scenę wchodzi jednak do sali, gdzie odbywają się zajęcia terapeutyczne dla uzależnionych. Z dumą informu-

je zebranych, że jest narkomanem, lekomanem, alkoholikiem i bulimikiem opętany seksem. Co za kokieteria! Spowiedzi Eltona nie towarzyszą wyrzuty sumienia. Jeśli coś go męczy, to wieloletnie ukrywanie homoseksualnych skłonności.

Czarnymi charakterami filmu są menedżer John Reid (który zajmował się również interesami Queen) i rodzice gwiazdora. Egoistyczna mamusia i autystyczny tatuś traktowali go jak piątą kołę u wozu. Jedynie w babci miał sojusznika. Pozytywną postacią jest również tekściarz Bernie Taupin, sportretowany jako brat duchowy Eltona. Gdy się rozstają (Ameryka zaszumiła w głowach), osamotniony muzyk straci kontakt z ziemią. Na szczęście pod maską błazna, ćpuna i moczomordy wciąż jest pocziwym gościem, więc los da mu kolejną szansę.

Bajka o tym, jak niekochany, zakompleksiony i chorobliwie nieśmiały Reggie Dwight zamienił się w zwierzę sceniczne oraz ekshibicjonistę, urywa się nagle. Wiemy skądinąd, że zanim wiek XX dobiegnie końca, sir Elton John, przyjaciel księżnej Diany, wygra walkę z łysiną i nałogami, odnajdzie swoją drugą połówkę i pozna uroki ojcostwa. Będzie sequel? ©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „ANNA”

Luc Besson przeżywa ciężkie chwile. Jego studio filmowe EuropaCorp stoi na krawędzi bankructwa (trwają negocjacje ostatejnej szansy z chińskimi inwestorami i francuskim gigantem Pathé), ale wszystko w rękach reżysera. Kolejny kasowy hit może dać firmie drugie życie. Aby tak się stało, thriller „Anna” o pięk-

nej i niezwykle skutecznej skrytobójczyni musi odnieść sukces na miarę „Lucy”, a jeszcze lepiej „Nikity”. ©

Piotr Gociek

• „Anna”, reż. Luc Besson,
wyst. Sasha Luss, Helen Mirren,
Luke Evans, Francja 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Świadkowie Putina”, reż. Witalij Manskij, Czechy/Szwajcaria/Łotwa 2018
- „Sekretne życie zwierzątek domowych 2”, reż. Chris Renaud, USA 2019
- „Kickboksierka”, reż. Johan Timmers, Holandia 2018
- „Polaroid”, reż. Lars Klevberg, USA/Norwegia/Kanada 2019

Terror w owczej skórze

Żyjemy w czasach totalnej inwigilacji. Czego nie uchwycą kamery, nie zdradzi sieć, to z pewnością zlokalizuje dron. W takich warunkach trudno ratować planetę przed wielkimi korporacjami, które trzymają rządy, media i opinię publiczną na krótkiej smyczy.

„Kobieta z gór” – kolejna superwoman, zrodzona w wyobraźni filmowców daje jednak radę. Działa z precyzją godną Szakala, polującego na generała de Gaulle’a. Skutecznie wymyka się obławom, bo ma wtyczkę w otoczeniu premiera, ma też kuzyna, który hoduje owce na kompletnym odludziu. A co najważniejsze, kobiecie sprzyja matka natura.

Halla atakuje linie wysokiego napięcia, co paraliżuje

pracę nieekologicznej huty aluminium, lecz przy okazji pozbawia prądu zwykłych obywateli. Nic więc dziwnego, że do działań terrorystki odnoszą się oni bez entuzjazmu. Twórcy filmu nie są jednak na tyle odważni, by kwestio-



★★★★★

REŻ. BENEDIKT ERLINGSSON
„KOBIETA IDZIE NA WOJNĘ”
 („KONA FER Í STRÍÐ”)
ISLANDIA 2018

wyst. Halldóra Geirharðsdóttir,
 Jóhann Sigurðarson,
 Jörundur Ragnarsson

nować stereotypy. Wyspa gejzerów od lat buduje swoją markę na zjawiskowym krajobrazie i dziwactwach Islandczyków – ludzi „niesformatowanych”, ale sympatycznych.

Fabulę punktują występy tria smutnych muzyków i ukraińskiego chóru, co po jakimś czasie przestaje być śmieszne. Postawmy sprawę jasno: kręcąc thriller, w którym napięcie zamiast stale rosnać, wciąż spada, Benedikt Erlingsson dopuścił się aktu sabotażu. ©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „RAGE 2”

Świat pogrążony w chaosie po uderzeniu meteorytu odbudował się w pełnym pojeźdów i technologicznych fanatyków oraz złoczyńców stylu, przypominającym Mad Maxa na sterydach. W sam środek tego zamieszania wkracza nasz bohater (Walker), kontynuując walkę

z totalitarną frakcją „Władza”, znaną z pierwszej części gry. Co wyróżnia „RAGE 2” na tle konkurencji? Kolorowa grafika, dynamiczna rozgrywka oraz połączenie pierwszoosobowej strzelanki z eksploracją otwartego świata za pomocą przeróżnych wehikułów. Produkcja dobrze łączy szalony



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

styl nieustannej walki z „Dooma” z wątkami RPG z „Far Cry”. ©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** FPS
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Avalanche Studios/Cenega
- **Klasyfikacja PEGI:** 18+

POSTĘPOWI NASTĘPCY HITLERA

Czwarty film serii powstającej na podstawie kryminałów o Departamencie Q autorstwa Jussiego Adler-Olsena. Ani lepszy, ani gorszy od poprzednich – wciąż jego główną zaletą jest para aktorów w rolach głównych, szczególnie Fares



wyst. Nikolaj Lie Kaas, Fares Fares, Johanne Louise Schmidt

★★★★★

REŻ. CHRISTOFFER BOE
„KARTOTEKA 64”
 („JOURNAL 64”)
DANIA 2018,
DYSTR. KINO ŚWIAT

jako Assad. W centrum Kopenhagi znalezione zostają zmumifikowane zwłoki trójki osób, które – jak się okaże – powiązane są z działalnością zamkniętej od lat szkoły dla trudnych dziewcząt. Aby rozwiązać zagadkę, trzeba będzie odkryć prawdę o wydarzeniach z roku 1961. W skandynawskich kryminałach często czarnym charakterem musi być rasista lub religijny fundamentalista, tym razem mamy ciekawą odmianę, bo w Danii promotorami przymusowej sterylizacji byli socjaldemokraci (zarówno przed wojną, jak i w latach 50. i 60.). Żeby łatwiej było przekonać tę herezję, Adler-Olsen zadbał o to, by ich współcześni naśladowcy nienawidzili głównie imigrantów o odmiennym kolorze skóry. Liczba antyrasistowskich morałów musi się przecież zgadzać.

NIEZBYT PIĘKNA KATASTROFA

„Przyjęta” dołącza do długiej listy filmów tak kiepskich, że aż przecieramy oczy. Szok jest tym większy, że jest dziełem ekipy, po której można się było spodziewać samych dobrych rzeczy. Scenarzysta Steven Knight ma w dorobku seriale „Tabu” i „Peaky Blinders”, dla Cronenberga napisał „Wschodnie obietnice”. Jako



wyst. Matthew McConaughey, Anne Hathaway, Diane Lane

★★★★★

REŻ. STEVEN KNIGHT
„PRZYJĘTA”
 („SERENITY”)
USA 2019,
DYSTR. MONOLITH

reżyser wypada słabiej, a tym razem topi przy okazji gwiazdy: Matthew McConaugheya i Anne Hathaway. To dziwaczna mieszanka kina neo-noir, thrilleru psychologicznego i fantastyki, wydumana i fałszywa. Ogarnięty obsesją złowienia wielkiej ryby właściciel łodzi rybackiej otrzymuje od dawnej miłości propozycję: gruba gotówka w zamian za pomoc w zabiciu męża. Prawdziwa historia ukryta jest jednak za kolejnymi zwrotami akcji, które są tak nieprawdopodobne, że aż idiotyczne. Pozostaje tors McConaugheya widoczny równie często jak bezradność reżysera. © **recenzuje Piotr Gociek**

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Divide et impera

Państwowy Instytut Wydawniczy wznowił właśnie, po ponad 70 latach, monumentalną biografię Aleksandra Wielopolskiego pióra zapomnianego nieco historyka, Adama M. Skałkowskiego. Margrabia Wielopolski, ten najważniejszy polityk Polski doby powstania styczniowego, naczelnik Rządu Narodowego Cywilnego, wiceprezes rady stanu Królestwa Kongresowego, XIII ordynat pińczowski, szambelan dworu królewskiego Mikołaja I Romanowa, przez lata budził skrajne reakcje, potrafił wzbudzać nienawiść wrogich sobie stronnictw, ale i podziw. Niewątpliwie obszerna praca Adama M. Skałkowskiego przybliży jego sposób myślenia i metody działania. A choć współcześni mu Polacy w zdecydowanej większości byli mu przeciwni i dość powszechnie widziano w nim carskiego poplecznika, to przecież nie kto inny jak Józef Piłsudski powiedział: „Chciałem go kochać za wielkość, bo miał on dumę i godność swego narodu”.

Nie tak dawno, ale i nie wczoraj, bo w czasach chylącej się upadkowi komuny, Przemek Gintrowski śpiewał taki oto tekst Jerzego Czecha o „Margrabim Wielopolskim”:

*Pan margrabia wciąż kroczy po linii
Niebezpiecznie tak wysoko chodzić
Przecież kłęska go w końcu nie minie
Bo ma pecha kto tutaj się rodzi.
Twoje pogardy nikt ci nie wybaczy
Myśmy ciemni, zapalni i łzawi
A tyś dumny, tyś z nami nie raczył
W narodowym barszczu się pławić.
Po co w twarzę logiką nam chlustasz?
Nie czytaliśmy Hegla jasnie panie
Dla nas Szopen – groch i kapusta
I od czasu do czasu powstanie.*

Jakże inaczej postrzegał margrabiego Skawery Pruszyński, pisząc o nim, prawda, że niewielką, książkę biograficzną w 1944 r. i trzy lata później wydając ją w kraju, po swoim powrocie z „polskiego Londynu”. Książkę potrzebną, ponieważ



FOT. WIKIPEDIA

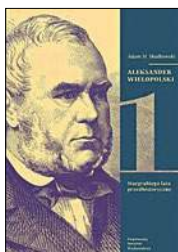
trzeba – tłumaczył wcześniej – i to bezwzględnie, porozumieć się z Rosją, gdyż „losy tej wojny, a z nimi i losy Polski, rozstrzygną się właśnie gdzieś w brzozowych lasach Karelii, na pylnych drogach wokół Smoleńska...”. A pisał tego swojego „Margrabiego...” po Katyniu przecież. Dokonując swobodnych manipulacji, przekonywał o konieczności zapłacenia przez Polskę wiadomej ceny za powrót na „zachodnie, piastowskie” ziemie. W imię porozumienia dwóch największych narodów słowiańskich – co podkreślał, gwałcąc swoje sumienie, gdyż – powiada prof. Andrzej Nowak w eseju „Pruszyński i Wielopolski albo sztuka kolaboracji” – „Wszak do niedawna był głównym rzecznikiem idei porozumienia polsko-ukraińskiego p r z e c i w Rosji. Zasadnicze znaczenie ma to, że do współdziałania potrzebna jest wola obu stron takiego porozumienia, wtedy dopiero ma sens przedrostek »współ-«. To był wspólny błąd – Pruszyńskiego i Wielopolskiego”.

Bywał Wielopolski nierozumiany, ale nie bez powodów. Tak jak niekoniecznie musimy przejmować się opinią Bismarcka, który dziwił się: „Bo myśmy nie życzyli powodzenia, a utrudniali dzieło Wielopolskiego, to łatwo zrozumieć, lecz że go Polacy nie poparli, to się nigdy nie da wytłumaczyć”.

„Warto tu zasygnalizować – pisze we wstępie do »Aleksandra Wielo-

polskiego« inny Nowak, dr Mariusz Nowak – jaki obraz postaci margrabiego i jego działań kreślił Adam M. Skałkowski na potrzeby czytelnika. Nie przyjmował z góry tezy o apostazji margrabiego (A. Giller) ani na wstępie nie podważał zasadności jego programu polsko-rosyjskiej ugody (S. Tarnowski). Jednocześnie nie głosił apologii Wielopolskiego, jak to czynił H. Lisicki. Skałkowski potępiał radykalizm mas. Uważał, że odbudowa niepodległości w ówczesnej sytuacji międzynarodowej była mrzonką. W margrabim widział polityka, który mimo wielu słabości i błędów miał spójny program, przywracający częściowy samorząd administracyjny i prawny Królestwa (system Wielopolskiego). Jednakże kontestacja tej wizji przez ogół i wyczekująca postawa sfery ziemiańskiej ograniczały pole ugody realizowanej przez margrabiego Aleksandra. Zwrócił także uwagę na źródła lojalizmu Wielopolskiego, który brał się z legitymizacji władzy Romanowów na terenie Królestwa Polskiego przez postanowienia kongresu wiedeńskiego”.

Na początku lat 60. XIX w. polska opinia publiczna – przypomina prof. Andrzej Nowak – była skupiona po przeciwnej stronie: Towarzystwa Rolniczego i jego prezesa, hrabiego Andrzeja Zamoyskiego. Z tego Pruszyński uczynił Polakom zasadniczy zarzut, że nie stanęli przy margrabim, kiedy ten sformułował w roku 1861 program ugody. Twierdził, że gdyby Wielopolski mógł powiedzieć carowi, że ma za sobą całe społeczeństwo polskie, byłby w stanie wytargować dużo więcej ustępstw. W istocie Wielopolski został wybrany przez cara jako narzędzie polityki wobec Królestwa właśnie dlatego, że nikt z nim nie stał: dlatego był narzędziem, którego można użyć w ramach zawsze aktualnej polityki imperialnej: divide et impera. Dzieli i rządź. ©©



★★★★★

ADAM M.
SKAŁKOWSKI
„ALEKSANDER
WIELOPOLSKI”
T. 1–2
PAŃSTWOWY
INSTYTUT
WYDAWNICZY
2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Śmierć Janosika

Józefa Koryckiego prywatna wojna z komunizmem – głosi podtytuł tej książki. I była to wojna prawdziwa. Korycki z bronią w ręku napadał na wójtów, którym odbierał pieniądze gromadzone „na komunistyczne podatki”, i nigdy nie krył swojej niezgody na sowiecką okupację Polski. A gdy w stanie wojennym władze PRL zarządziły ostatnie polowanie na buntownika zwanego Janosikiem Podlaskim, wysłano w bój siły wystarczające do stoczenia małej wojny (pół tysiąca funkcjonariuszy, wojskowe posiłki, śmigłowce, transportery opancerzone). Wszystko po to, by schwycić jednego człowieka, który większość zasądzonych wyroków odsiedział, a wielkiej fizycznej krzywdy nikomu nie zrobił (opowieści o tym, jakoby był winny morderstwa, zostały sfabrykowane).

Korycki miał zginąć przy aresztowaniu. Cudem ocalał. Ciężko ranny trafił do więzienia przy Rakowieckiej. Nigdy nie doczekał procesu. Komunistom marzył się pluton egzekucyjny, ale dowody były wątpliwe. Przed sądem dostałby kilka kolejnych lat odsiadki (za rabunki), po czym musiałby ze względu na stan zdrowia zostać zwolniony (był częściowo sparaliżowany, lekarze nigdy nie usunęli pocisku z jego czaszki). Pozostawiono go w stanie zawieszania: aresztowany,

ale nie skazany, szykanowany za to przez strażników i część personelu medycznego. Umarł w więzieniu.

Marek M. Kamiński, autor książki, poznał Koryckiego właśnie przy Rakowieckiej. Sam zatrzymany był za zaangażowanie w podziemny ruch wydawniczy. Po latach do dokonanych przez siebie zapisków (słów samego Koryckiego) dołożył zebrane przez Ernesta Szuma wywiady z ludźmi, którzy Koryckiego znali, między innymi z jego partnerką, oraz świetny historyczny research. Tak powstała książka niezwykła. Z jednej strony biografia „ideowego bandyty”, który to, co ukradł, zwykł rozdawać ludności Podlasia, a z drugiej ponure wspomnienie PRL. Trzeźwiące dla tych, którzy uważają, że był to tylko „najwesełszy barak w obozie”, coś pomiędzy filmami Barei a dyskusyjnymi kółkami internowanych działaczy opozycji demokratycznej. Otóż nie! Tam, gdzie nie sięgał wzrok informatorów

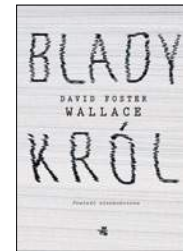


★★★★★
MAREK M. KAMIŃSKI, ERNEST SZUM
„JANOSIK PODLASKI”
OFICyna
NAUKOWA 2019

Radia Wolna Europa, tam, gdzie nie było przedstawicieli episkopatu patrzących komunistom na ręce, tam ustrój natychmiast pokazywał swą ponurą, bandycką twarz. Przy Rakowieckiej grypsujący zatwardziali przestępcy ocalili w sobie więcej człowieczeństwa niż przedstawiciele aparatu władzy „postępowej” podobno Polski Ludowej. ©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Powieść opublikowana pośmiertnie, nieukończona, a mimo to warta uwagi, bo mało kto w ostatnich dekadach umiał pisać jak Wallace. Kolaż 50 rozdziałów układa się w prowokacyjną medytację nad współczesną Ameryką.



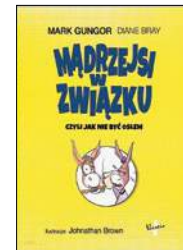
DAVID FOSTER WALLACE
„BLADY KRÓL”
W.A.B.

Wspomnienia byłego premiera Jana Olszewskiego (zmarłego w lutym br.), opracowane na podstawie gromadzonych przez lata nagrań przez znaną historyk. Arcyciekawa, wciągająca lektura, bezcenne świadectwo historii. (więcej – s. 58)



JUSTYNA BŁĄŻEJOWSKA
„TA HISTORIA WCIĄŻ TRWA”
ZYSK I S-KA

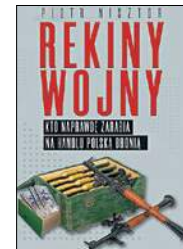
Ożywczy powiew na rynku poradników. Nie „ja”, nie „samorealizacja”, ale „my”, „małżeństwo”, „szacunek” są tu kluczowymi pojęciami. Równie gorąco polecam „Traktuj ją jak cenny skarb” tegoż autora, wydaną równolegle



MARK GUNGOR, DIANE BRAY
„MĄDRZEJSI W ZWIĄZKU”
VOCATIO

Rzecz o sekretach handlu polską bronią. Nie jest to optymistyczna historia: afery, powiązania z czasów komunizmu, dziwne koneksje polityczne, oligarchowie, terroryści, lobbysci. Ciekawe i przerażające. ©

poleca Piotr Gociek



PIOTR NISZTOR
„REKINY WOJNY”
FRONDA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Blanka Lipińska „Kolejne 365 dni” (Agora)** – ciąg dalszy bestsellera erotyczno-kryminalnego produkcji polskiej, wkrótce niestety także film.
- Remigiusz Mróz „Listy zza grobu” (Filia)** – pierwszy tom nowej serii poczytnego autora. Główny bohater – patomorfolog Seweryn Zaorski.
- Adam Ostrowski „Brzydki, zły i szczerzy” (Wielka Literatura)** – O.S.T.R., ikona polskiego rapu, opowiada o swym życiu i karierze. Wciągające.
- Blanka Lipińska „365 dni” (Edipresse)** – sukces sequela (patrz: miejsce pierwsze zestawienia) przywrócił do zestawienia powieść sprzed roku.
- Michelle Obama „Becoming. Moja historia” (Agora)** – autobiografia byłej pierwszej damy, żony prezydenta USA Baracka Obamy.

(Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik od 20 maja do 9 czerwca 2019 r.)



Miłość w czasach powstania

FOT. ADAM BURAKOWSKI/REPORTER

Michał Kowalonek, były wokalista zespołu Myslovitz, a obecnie grupy Snowman, do pracy nad solową płytą przygotowywał się trochę niczym historyk. Wertował dokumenty źródłowe, interesowały go m.in. dzienniki i podania z czasów powstania wielkopolskiego. Szukał w nich miłosnych wyznań, świadectw uczuć w dramatycznym czasie. Wykorzystywał również wiersze. Część

historii opowiedział sam. Tak powstała płyta „O miłości w czasach powstania”.

Tytułowa miłość w czasach powstania to również relacje rodzinne. Z „Listu od syna”: „Odkąd pamiętam / Byłeś mi wszystkim / W zasięgu wzroku / W zasięgu moich rąk [...] Piszę ten list, piszę tych parę słów / Może zobaczyć nam uda się znów / Proszę o odpis, jeśli czytasz ten list / Odpisz proszę –

ściskam Cię mocno – Twój syn”. Są i utwory, w których zdecydowanie więcej od miłości jest niepokoju: „Za dzień, za moment, za chwilę / Coś się stanie, coś w grzyby się zwali / Może ziemia się żarem rozpali / Może słońce rozpali się w pyłe” (tekst Romana Wilkanowicza, poety i powstańca).

Kowalonek podjął temat zrywu z przełomu lat 1918 i 1919 z kilku powodów:

stuletniej rocznicy tych wydarzeń, sentymentu lokalnego, ale przede wszystkim konkursu ogłoszonego przez miasto Poznań. Jak jednak artysta wyznawał niedawno w Polskim Radiu – kiedy już rozpoczął prace nad płytą, podjął decyzję, że ją dokończy niezależnie od tego, czy miasto przyzna mu grant, czy też nie.

Goszcząc w radiowej Czwórcie, Michał Kowalonek wyznał także, że już po nagraniu płyty dowiedział się, iż „niechcący” wyszedł mu album o własnych przodkach. – Podzieliłem się z rodzicami informacją o płycie, a oni wyciągnęli stare zdjęcia i zaczęli opowiadać o moich pradziadkach, którzy brali czynny udział w powstaniu. Okazało się, że w życiu nie ma przypadków, a ja nieświadomie nagrałem płytę o swoich pradziadkach – mówił Kowalonek. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Odważna porażka?

Madonna nieraz zaskakiwała intuicją, dzięki której adoptowała undergroundowe trendy do muzyki pop. „Madame X” jest tanecznym albumem, ale ma niewiele wspólnego ze współczesnym popem.

To w dużej mierze jest album polityczny. Jednak Madonna po raz pierwszy nie zajmuje się Stanami Zjednoczonymi, tylko problemami globalnymi. Prawdopodobnie na zmianę perspektywy wpłynęły jej przenosiny, w 2017 r., do Lizbony. Pewnie też dlatego piosenki są w równej mierze śpiewane po angielsku, co po hiszpańsku.

Muzycznie jest to również podróż multi-kulti, ale jej celem nie jest wzbogacanie utworów o folkowe ozdoby. Każde

nagranie przepełniają eksperymenty, na które nie odważyłaby się żadna z dzisiejszych gwiazd popu. Madonna z przywróconym do łask producentem Mirwaisem mieszają nieprzystające do siebie rytmy, brzmienia, instrumenty, a nawet muzyczne cytaty, choćby z „Dziadka do orzechów” Czajkowskiego. W utworach wszystko jest możliwe, co nie znaczy, że album jest spójny. Z jednej strony mamy piękną, emocjonalną balladę „Crave”, wspaniale bujające „Crazy” czy dziewczęco naiwne „Come Alive”, a z drugiej rozpadający się w dźwiękowych szwach „Dark Ballet” czy bełkotliwy protest song „Killers Who Are Partyng”.

Płyta otrzymała na świecie skrajne oceny. Jednak braku odwagi Madonnie nie można zarzucić. ©©



★★★★★
MADONNA
„MADAME X”
INTERSCOPE



★★★★★
BRUCE
SPRINGSTEEN
„WESTERN STARS”
COLUMBIA

Nigdy wcześniej Boss nie nagrał płyty z tak bogatymi aranżacjami orkiestrowymi. Jest to nawiązanie do kalifornijskiego popu z końca lat 60. Czasów, kiedy zniknęły ideały hipisów. Czarujący album z nutą nostalgii dla wiernych fanów Springsteena.



★★★★★
ZAMILSKA
„UNTUNED RECORDS”
UNTUNED RECORDS

Jedną z ciekawszych postaci nie tylko polskiej sceny elektronicznej. Jej muzykę można usłyszeć w filmach, grach komputerowych i na pokazach mody. Na trzecim albumie oprócz mrocznych barw i wibrującego basu po raz pierwszy pojawiają się słowa. ©©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

O wyższości „La” nad „Uchem”

Ktoś mnie ostatnio spytał, czy wiem, co się dzieje z „Uchem prezesa”. Nie mam pojęcia. Nie wiem, czy to jeszcze robią. Ale ponieważ sporo czasu już upłynęło, to chyba nadszedł odpowiedni moment, żeby się do czegoś przyczynić.

Otóż nie oglądałem ani jednego odcinka „Ucha prezesa”. Mimo że cenię jego twórców, nie byłem w stanie zmusić się do obejrzenia serii. Acz inni zmusili mnie do obejrzenia kilku fragmentów, które – faktycznie i bez wątplenia – były zabawne. A ja zyskałem wiedzę, o co w tym serialu chodzi, dzięki czemu mogłem z czystym sumieniem potakiwać, gdy znajomi zachowywali się „Uchem”.

Dlaczego nie oglądałem i się nie ekscytowałem? Dlatego że jestem strasznie zmęczony humorem – tak to nazwijmy – dosłowności. Czyli takim, który jest satyrą na tu i teraz, na tego i tamtego. Takim, który nabija się z Kaczyńskiego, wyśmiewa Błaszczaka, kpi ze Schetyny, parodiuje Petru, robi bekę z Tuska. To może wynikać po części z tego, że sam się czymś takim zajmowałem parę lat. A także z tego, że prześmiewczych tekstów, rymowanek, rubryk i szłołów chichoczących z polityków oraz polityki jest tak wiele jak gatunków sera we Francji. To jest ten rodzaj humoru, którego – szczerze mówiąc – nie považam jakoś szczególnie. Z jednym wyjątkiem – dobry mem daje radę. Mem to sztuka naszych socialmediowych czasów.

Lubię humor niedosłowny, który w Polsce nie występuje zbyt obficie. Ale ostatnio natrafiłem na prawdziwą perełkę w tej kategorii. Z ogromnym opóźnieniem, bo jestem z definicji zapóźniony w konsumowaniu kultury, natrafiłem na „La la Poland”.

Trudno, muszę pochwalić telewizję Kurskiego, choć czynić tego nie wypada, a paski w „Wiadomościach” są straszne. Ale to właśnie w TVP udało się coś, z czym od lat nie mogły się uporać żadne lepsze, bardziej światowe i trendy stacje telewizyjne. Tak jak nigdy nikomu w Polsce nie udało się zrobić dobrego „late show”, tak nikt nawet nie zbliżył się jakością do brytyjskich seriali satyrycznych. I nagle coś takiego wypaliło w TVP.

„La la Poland” jest świetne! Może to jeszcze nie „Monty Python”, ale na pewno bliżutko „Little Britain”. Zupełnie nie znam ludzi, którzy to tworzą, piszą i w tym występują, więc nie kadzę po znajomości. Ale jest to świeże, przeżabawne, nowoczesne i profesjonalnie zrobione. Śmieszy mnie, ale śmieszy też mojego dziewięcioletniego syna. I chociaż skecze są abstrakcyjne, choć nie padają tam żadne aluzje do politycznych konstelacji i konkretnych polityków, to zarazem niesamowicie przenikliwie. I mówiące o Polsce, o nas, więcej niż wszystkie kabarety przedrzeżniające Kaczyńskiego i Tuska razem wzięte. A nawet więcej niż wywiady Zagajewskiego i Jandy. Chociaż to prawie niemożliwe. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Zero krupierskie

Ponieważ zawiodły ostatecznie wszelkie próby pokonania dobrej zmiany w otwartym boju, a wizja przeżycia (albo i nie) kolejnej kadencji w opozycji staje się coraz bardziej przerażająca, trwa poszukiwanie sposobu (Schetyna twierdzi, że gdzieś jest, tylko trzeba go znaleźć), który jednym ruchem odwróci bieg zdarzeń, niszcząc „Kaczora” i jego ferajnę.

Przypomina to sytuację spłukanego gracza w kasynie, który ostatni swój szton stawia na jeden numer. Szansa jedna do 36, ale może... Jaki to jednak numer, który jeszcze można PiS wywinąć? Mści się zasada opozycji totalnej przyjęta po wyborach 2015 r., która praktycznie uniemożliwia merytoryczną krytykę. Nie ma możliwości podgryzania, rozmiękczenia ani przekonywania przeciwnika. Albo wszystko, albo nic. I niestety wynika, że nic.

Zawiodły ulica i zagranica. KOD nie spełnił pokładanych w nim nadziei, Unia nie chce umierać za Schetynę (ani nawet za Tuska), spełzła na niczym próba roszczeniowego podrywania całych zorganizowanych grup zawodowych. Niezawodny ZNP załatwił mniej niż Solidarność, za to skompromitował się w oczach rodziców uczniów, używając oreża (matury, promocje), którego żadną miarą nie wolno mu było użyć.

Jednym z silniejszych rodzajów broni miała być dekompozycja obozu dobrej zmiany, czyli uderzenie w Kościół postrzegany (nie do

końca trafnie) jako matecznik PiS. Co zaczął „Kler”, to miał wykończyć Sekielski. Szok był, ale krótki i skuteczny. Wierni potrafią odróżnić wiarę w Boga i Kościół jako całość od błędów pojedynczych jego funkcjonariuszy. Podobnie z pedofilią duchownych – szybko dotarła refleksja, że pedofilia z udziałem kapłanów to zaledwie 1 proc. odnotowanych przypadków, a postawiony problem jak bumerang uderzył w elity, które mają niejedno za uszami. A poza tym jak uderzać w molestowanie w nieletnich, kiedy prawie zawsze jest to wczesne stadium pederastii, której w świecie poprawności żadną miarą atakować nie wolno.

Jednak wszystkie te porażki nie zniechęciły „totalsów”. Inna sprawa, że nie mają wyjścia. Mogliby rzucić ręcznik na ring (ale potężni sponsorzy na to nie pozwolą). Toteż muszą zachowywać się jak oszołomiony bokser, młóćący cepami na ślepo, w nadziei, że choćby przypadkiem trafi. Ostatnia szansa to gość z gwiazdzbioru Vega i film, który wstrząśnie opinią. Jak? – Widzowie potrafią rozróżnić fabułę od dokumentu. „Ucho prezesa” jedynie ociepiło wizerunek dyktatora z Nowogrodzkiej. Czy Grabowski zniszczy to, co wzmocnił Górski. Nadzieja umiera ostatnia.

Szansa trafienia w zwycięski numer jest taka sama jak obstawienie wszystkich pozostałych pól i liczenie, że nie padnie zero krupierskie i znowu wygra bank! Czyli Polacy. ©©



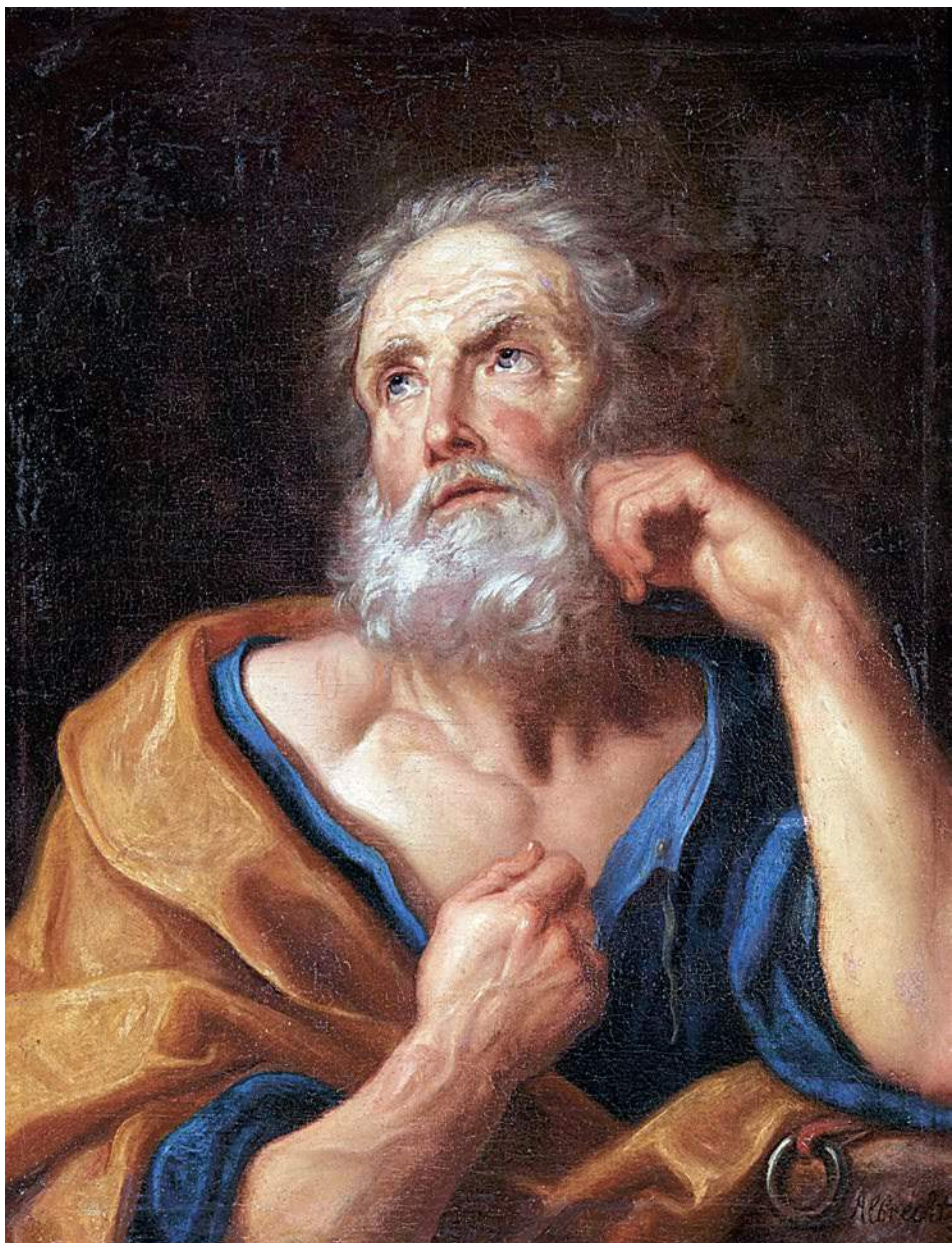
ks. Przemysław Artemiuk

Książka „Grób Rybaka. Śledztwo w sprawie największej tajemnicy watykańskich podziemi” jest obroną samego Kościoła

Paweł Lisicki po raz kolejny zawstydza teologów. W książce „Grób Rybaka. Śledztwo w sprawie największej tajemnicy watykańskich podziemi” nie tylko otrzymujemy znakomicie napisany reportaż z przebiegu dziennikarskiego śledztwa w sprawie relikwii św. Piotra. Tutaj mamy do czynienia z czymś znacznie większym. Redaktor naczelny „Do Rzeczy” dokonuje niebywałej wprost apologii. Czy tylko św. Piotra, jego grobu, relikwii, obecności apostoła w Rzymie? Zdecydowanie nie. Ta praca jest obroną samego Kościoła. Autorowi chodzi przede wszystkim o ukazanie jego wiarygodności historycznej. A kwestia grobu św. Piotra skupia w sobie, jak w soczewce, wątpliwości zarówno liberalnych badaczy, jak i ostrożnych katolików, którzy zamiast bronić świętych relikwii, wołają poddać się sceptycznej retoryce. Lisicki postanawia zatem zmierzyć się z tym tematem, bo ma świadomość, że grób galilejskiego Rybaka to sprawa fundamentalna dla Kościoła. Potrzebujemy bowiem dzisiaj, wyjaśnia redaktor „Do Rzeczy”, jak nigdy wcześniej, mocnej opoki, skały, na którą wskazał sam Jezus. Swoją program Lisicki definiuje następująco: „Wielu w ogóle nie słyszało o największym odkryciu archeologicznym XX wieku, o największym w ogóle odkryciu archeologicznym w dziejach Kościoła. Tym bardziej trzeba o nim opowiedzieć. Pokazując wszystkie okoliczności, nie tylko cofamy się w przeszłość i docieramy do źródeł, ale też namacalnie niemal widzimy, jak bardzo sama Opatrzność chciała, aby do tego odkrycia doszło” (s.13).

DZIENNIKARSKIE ŚLEDZTWO

Jaki sposób narracji proponuje Lisicki? „Grób Rybaka” to książka wielowarstwowa, złożona. Redaktor „Do Rzeczy”, mając cały czas przed oczami główny cel pracy, w swoim uzasadnieniu zatacza



FOT. WIKIPEDIA

Apologia Kefasa

coraz szersze kręgi i włącza nowe wątki. Zawsze jednak odnosi je do tytułowej kwestii. Okazuje się bowiem, że śledztwo w sprawie grobu św. Piotra staje się pretekstem do stworzenia aktualnej apologii Kościoła. W pracy mamy więc do czynienia z klasycznym śledztwem dziennikarskim, w którym autor krok po kroku odkrywa tajemnice watykańskich podziemi. Pojawia się także znakomita narracja historyczna, dzięki której zyskujemy niezbędną wiedzę o całej starożytnej sztuce funeralnej. Lisicki po raz kolejny udowadnia, że wnikliwe czytanie starożytnych źródeł staje się kluczem do zrozumienia dzisiejszych problemów interpretacyjnych. Czyni to zresztą po mistrzowsku. W pracy uderza także umiejętność prowadzenia wykładu. Rozdział piąty „Opoka”, poświęcony osobie św. Piotra, to w rzeczywistości fragment klasycznego traktatu z eklezjologii katolickiej o prymacie Piotrowym, ale opowiedzianego w sposób świeży, aktualny i interesujący. Z perspektywy apologijnej najciekawszymi momentami pracy pozostają polemiki. Lisicki doskonale rozbija argumenty przeciwników. Ukazuje ich braki, naiwność, ideologiczne zaślepienie i brak dobrej woli. W wielu miejscach książki mamy do czynienia z apologią najwyższej próby. Rozdział ósmy „Spory i polemiki” jest tego najlepszym przykładem. Redaktor „Do Rzeczy” wykazuje się przy tym niezwykłą wprost kompetencją. Czytając jednym tchem tę pracę, jako teolog fundamentalny i badacz współczesnych apologii pytam: Jak on to robi? Pomimo ogromu materiału i wielości pojawiających się wątków nigdy nie traci z oczu podstawowej tezy. Niebywała konsekwencja i dyscyplina towarzyszą każdej napisanej stronie. Przy „Grobie Rybaka” nie możemy zapomnieć o jeszcze jednej kwestii. Lisicki pokazuje, jak ważne są narracja i język opowieści. Także tutaj nie możemy mieć wątpliwości. Książka wciąż, porywa i nie daje wytchnienia, ponieważ jest napisana pięknym językiem.

„Grób Rybaka” to praca wyjątkowo aktualna. W rozdziale wprowadzającym, kluczowym dla całej książki, redaktor kreśli „pole bitwy”. Wywołany do obrony Kefasa (spór bowiem wziął się z negacji obecności apostoła w Rzymie) przyznaje, że interesuje go „Piotr jako Skała, na której sam Boski Zbawiciel wznosił swój Kościół. Nie tylko w sensie symbolicznym, metaforycznym, prze-

nośnym, literackim, ale konkretnym, cielesnym, zmysłowym, dosłownym – mnie interesują te zwłoki, ich resztki, te kości, te części materii nie jako coś przygodnego i przypadkowego, ale jako podłoże, na którym wykiełkowała świętość” (s. 19). Dlatego też jedzie do Rzymu, zanurza się w podziemny świat, aby dotknąć relikwii św. Piotra. Od początku, wbrew głosom sceptyków, towarzyszy mu pewność: „Jedno na pewno mogę zrobić i to, wierzę, dobrze: zdać rację ze swojej pewności, że byłem obok grobu Piotra i że kości, które ledwo, ledwo widziałem, należały do niego, Rybaka z Galilei, później opoki, na której Jezus wznosił swój Kościół, fundamentu i założyciela Kościoła rzymskiego, którego i ja po dwóch tysiącach lat je-

co roku, podziwiając stojący nad nim wspaniały baldachim z brązu wykonany przez Berniniego?” (s. 29).

W jaki sposób odpowiedzieć na głosy krytyków? Aby mieć pewność własnej argumentacji, wyjaśnia Lisicki, „należy zgromadzić poszlaki i w oparciu o nie dopiero wydać sąd. Każdy element musi tu do siebie pasować”. Dlatego praca redaktora „Do Rzeczy” przypomina układanie puzzli. Uzasadnienie ma przynajmniej kilka ważnych wymiarów. Lisicki rozpoczyna od antycznej historii i badań archeologicznych. W tym celu przenosi czytelnika do starożytnego Rzymu. Pyta o specyfikę antycznej metropolii, pojawienie się w niej i obecność chrześcijan. Bada wszystkie możliwe przekazy, które potwierdzają obecność

Lisicki doskonale rozbija argumenty przeciwników. Ukazuje ich braki, naiwność, ideologiczne zaślepienie i brak dobrej woli

stem niegodnym i miernym członkiem. Tego samego Kościoła, który splótł się i związał na zawsze z naszą polską przeszłością, do tego stopnia, że nie umiem sobie wyobrazić formy polskości bez tej »rzymskości« i »łacińskości«. Tak więc dotarłem do źródła i centrum” (s. 20).

PUZZLE DOWODÓW

Następnie to osobiste doświadczenie zestawia z głosami krytyków. Szczegółowo relacjonuje zdania tych, którzy przekonują, że „nie można udokumentować w sposób pewny odnalezienia grobu św. Piotra”. Można jedynie przedstawić hipotezy. Wobec głosów krytyki Lisicki formułuje własny program badań. Opinie sceptyków stanowią punkt wyjścia. Redaktor „Do Rzeczy” chce znaleźć odpowiedź na następujące kwestie: po pierwsze, „czy istnieją dowody na to, że Piotr przebywał w Rzymie w okresie między ukrzyżowaniem Jezusa w roku 30 lub 33 a śmiercią samego Apostoła w roku 64 lub 67. Po drugie, czy istnieją dowody na to, że Kefas zginął śmiercią męczeńską w Wiecznym Mieście? I wreszcie pytanie trzecie, nie mniej ważne: jakie argumenty przemawiają za tym, że został pochowany nie gdziekolwiek bądź, ale na Watykanie, dokładnie cztery metry pod ołtarzem, który miliony pielgrzymów i turystów odwiedza

w Świętym Mieście Piotra. Szczególnie istotne zdają się teksty Nowego Testamentu, który w zawołowany sposób wskazują na pobyt Kefasa w Rzymie. Nie mniejszą wagę posiadają świadectwa najwcześniejszej tradycji (św. Justyn). Nieobce redaktorowi „Do Rzeczy” są także przekazy pogańskie. Dokonując ich interpretacji, na przykład „Satyryk” Petroniusza, w porównaniu z Antonio Soccim, zachowuje dystans i uznaje ich hipotetyczność. Powołując się na włoską historyk Martę Sordi, wskazuje na wyraźną zmianę nastawienia władz rzymskich wobec chrześcijan po roku 62. Lisicki, badając antyczne przekazy (szczególnie Tacyta), swoją narrację doprowadza do momentu przesładowań chrześcijan w czasach Nerona. Rozdział ten puentuje stwierdzeniem: „W przeciwieństwie do późniejszych wrogów Kościoła Neron mógł mieć nadzieję, że zabijając pierwszego świadka zmartwychwstania, pierwszego gwaranta prawdy o powstaniu z martwych Jezusa, pozbędzie się raz na zawsze tej wiary. Pomylił się. Opoka, na której Jezus wznosił swój Kościół, okazała się trwalsza niż nienawiść i złość największych nawet ziemskich potęg” (s. 143).

Weryfikacja historycznych przekazów dotyczących męczeństwa Piotra to drugi wymiar uzasadnienia. Tutaj Lisicki

■ przywołuje badania prof. Margherity Guarducci. Jej ustalenia w kwestii grobu św. Piotra są kluczowe. Przy okazji włoska badaczka zajmuje się męczeństwem Kefasa. Ustala dokładną datę jego śmierci (13 października 64 r. po Chr.) i daje jej uzasadnienie. Lisicki prezentuje tę prawdopodobną spekulację. W tej części pracy przedstawia fakty, które nie podlegają wątpliwości ani zanegowaniu. Weryfikuje zatem przekazy apokryficzne i przywołuje najwcześniejszą tradycję kościelną. Jego konkluzja jest następująca: „Piotr zginął śmiercią męczeńską na krzyżu w Rzymie za czasów Nerona i było to najprawdopodobniej w okresie pierwszych prześladowań, wkrótce po pożarze w stolicy Imperium, a zatem późną jesienią 64 po Chr. Następnie został pochowany w Watykanie. Tyle wynika z lektury źródła” (s. 161–162).

ISTOTA POSZUKIWAŃ

Śledztwo w sprawie grobu św. Piotra to najobszerniejsza część pracy. Lisicki nie lekceważy żadnej wątpliwości, stara się możliwie najdokładniej odtworzyć zarówno dzieje watykańskiej nekropolii, jak i samą historię grobu św. Piotra. Krok po kroku odsłania kolejne warstwy historii, ponieważ wie, jak wiele znaczy to miejsce. Pozwala zatem, aby przemówiła archeologia. Nie jest jednak jedynie słuchaczem, który na wiarę przyjmuje ustalenia i głosy sceptyków. Korzystając z prac badaczy, potrafi w gąszczu opinii i specjalistycznych uwag odnaleźć istotę poszukiwań.

Historia grobu Piotra okazuje się pełna tajemnic. Jego odkrycie, tak uroczyście ogłoszone przez Piusa XII całemu światu 23 grudnia 1950 r., to pyrrusowe zwycięstwo. Grób bowiem okazał się pusty i nikt z badaczy nie znajdował wy tłumaczenia. Nie tylko nie było w nim kości Piotra, lecz także żadnych oznak pamięci o nim. W tym miejscu w narracji Lisickiego pojawia się, już wcześniej przywoływana, prof. Guarducci. Dzięki jej uporowi, odwadze, a przede wszystkim naukowemu kompetencjom udało się rozwiązać tę niebagatelną zagadkę. Lisicki szczegółowo opisuje jej badania, których początkiem było odczytanie napisu z muru G nekropolii. Interpretacja graffiti: Petr eni – greckie Petros eni, czyli „Piotr jest tu wewnątrz” – okazała się kluczem do odnalezienia relikwii św. Piotra. Włoska badaczka udowodniła, że imię Piotra zapisane na murze wskazuje na bliskość jego pochówku. Odnalezienie

kości świętego nie było jednak wcale taką prostą sprawą. Trochę zadziały tutaj intuicja i szczęście. Okazało się bowiem, że kości świętego już wcześniej zostały odnalezione przez ks. Kaasa podczas pierwszych prac archeologicznych (1942–1949). Chociaż ani on, ani archeolodzy z nim współpracujący nie zdawali sobie z tego sprawy. Dopiero wysiłek prof. Margherity Guarducci doprowadził 25 września 1953 r. do odnalezienia kości, a następnie ich identyfikacji przez antropologa. Ustalenia trwały od października 1962 r. do czerwca 1963 i dały następujący wynik: wszystkie kości należały do jednej osoby, mężczyzny, który zmarł między 60. a 70. rokiem życia i odznaczał się krępką budową ciała. Słyszając ustalenia badań antropologicznych, prof. Margherita Guarducci zestawiała je z rozszyfrowanymi napisami. W tym momencie nie miała już żadnych pytań. Była przekonana, że odnalazła kości św. Piotra. Dla pewności zweryfikowała inne możliwe hipotezy. Całość badań opublikowała w lutym 1965 r. Trzy lata później, 26 czerwca 1968 r., papież Paweł VI ogłosił, że relikwie św. Piotra zostały odnalezione. Dzień później wróciły na swoje miejsce, czyli do marmurowego schowka w murze G. To wydarzenie, o czym mogą przekonać się czytelnicy w kolejnych rozdziałach książki, nie zamyka sprawy grobu. Ma ona swoją dalszą historię.

Nie sposób zrozumieć sensu watykańskich poszukiwań bez odkrycia znaczenia osoby św. Piotra. Wie o tym Lisicki. Dlatego jeden z rozdziałów „Grob Rybaka” zawiera „Mały traktat o prymacie Piotrowym”. W nim znajdziemy analizę klasycznych tekstów dotyczących Piotra, nazywanych w teologii prymacjalnymi (od słowa prymat). Sens tego biblijnego uzasadnienia jest następujący: „Kościół”, stwierdza redaktor „Do Rzeczy”, „bez Piotra nie może istnieć. [...] Zapomnieć o Piotrze oznaczałoby zdradzić swoją wiarę i zaprzeć się Chrystusa. Pamięć o nim była obowiązkiem chrześcijanina” (s. 313).

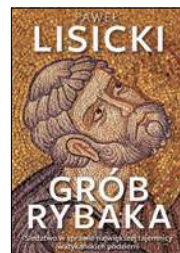
OPOKA I MOC

Dlaczego jednak dzisiaj ta historia powraca? Dlaczego Lisicki zdecydował się na napisanie tak potężnej apologii

św. Piotra? Odpowiedź znajdujemy w ostatniej części pracy. Historia grobu św. Piotra „jest [...] niewygodna, bo sugeruje nadprzyrodzony charakter czynów Księcia Apostołów. Przetrawienie pamięci o tym grobie mimo dziejowych zawieruch wskazuje, że wspólnota chrześcijańska widziała w Apostole Opokę wybraną przez zmartwychwstałego Jezusa. Żeby ocalić ten grób, od początku musiano wierzyć, że Piotr miał moc cudotwórczą, że był prawdziwym świadkiem Zmartwychwstałego. W jaki sposób bowiem można wyjaśnić ów kult zwłok Piotra, jeśli pominie się to, co nadprzyrodzone? Czy był geniuszem filozofii? Czy był wielkim wodzem? Czy był bohaterem w ludzkim tego słowa znaczeniu? Człowiek, który wyparł się trzykrotnie swego Mistrza? Który zbiegł potajemnie z więzienia? Ukrywał się przed władzami? Z naturalnego punktu widzenia Piotr nie zasługiwał na cześć. Żeby ją zrozumieć, żeby pojąć, w jaki sposób rzucone w ziemię zwłoki stały się ziarnem, które by wydać plon, musiało obumrzeć, trzeba widzieć w Piotrze gwaranta wiary w zmartwychwstanie, człowieka, który był przyjacielem Boga i okazywał to swoimi czynami. Tak tylko można pojąć, że jego umęczone ciało stało się źródłem życia duchowego wspólnoty rzymskiej, a potem całego Kościoła przez

wieki. Wyzwolenie się z płaskiego racjonalizmu jest warunkiem koniecznym rozumienia historii. Z racjonalistycznymi kłapkami na oczach będzie się nieustannie przycinać, usuwać, wyrzucać, zniekształcać” (s. 371).

Na przełomie II i III w., za czasów papieża Zefiryna (199–217), rzymski prezbiter Gajus polemizował z montanistą Proklosem. Do dziś jego słowa pozostają najwcześniejszym świadectwem kultu grobu św. Piotra. Wie o tym dobrze Paweł Lisicki. W swojej pracy pokazuje jednak zdecydowanie więcej. Nie tylko tropaia, czyli znaki zwycięstwa apostołów, jak pisał Gajus, lecz także wielowymiarową i bogatą apologię najwyższej próby, której nie można pominąć.



PAWEŁ LISICKI
„GRÓB RYBAKA.
ŚLEDZTWO
W SPRAWIE
NAJWIĘKSZEJ
Tajemnicy
WATYKAŃSKICH
PODZIEMI”
FRONDA 2019

W równym stopniu co przebicie się populizmu – „trądu”, jak nazwał go Emmanuel Macron – pojawienie się „demokracji nieliberalnych” stanowi oznakę, że system parlamentarny i przedstawicielski uległ wyczerpaniu. Zyskuje na tym inna forma demokracji, naraz dowartościowująca suwerenność i szanująca wolę narodu.

Wyrażenie „demokracja nieliberalna” jest, oczywiście, wieloznaczne. Bez wątpienia może ona prowadzić w pewnych przypadkach do rządów czysto autorytarnych w najbardziej płaskim rozumieniu słowa. Może też jednak oznaczać wielką odnowę demokracji. Co należy jednak przez to sformułowanie właściwie rozumieć?

Pojęcie „nieliberalności” pojawiło się w latach 90. Popularność zdobyło dopiero za sprawą Fareeda Zakarii, który opublikował swój głośny artykuł w „Foreign Affairs”, a potem dzięki książce tego samego autora, która wzniciła wiele dyskusji.

Zakaria definiuje demokrację nieliberalną jako doktrynę, która rozdziela klasyczny proces demokratyczny i zasady państwa prawa. Chodziłoby tu o taki kształt demokracji, w którym suwerenność narodowa i wybory nadal grają istotną rolę, lecz niektóre zasady liberalne (normy konstytucyjne, wolności indywidualne, podział władz etc.) zostają uchylone, gdy wymaga tego sytuacja. Przekłada się to na odrzucenie indywidualizmu, „frazeologii praw” i Kantowskiej wizji „wiecznego pokoju”, a więc ważnych zdobyczy oświecenia. „W ten sposób znajdujemy się bliżej woli powszechnej Rousseau niż Monteskiuszowskiego podziału władz” – zauważa Jacques Rupnik. Amerykański neokonserwatysta, Daniel Pipes, aby objąć jednym terminem populistów i zwolenników nieliberalnych demokracji, używa sformułowania „cywilizacji”.

W swoim artykule Zakaria stwierdza, może z pewną przesadą, że demokracja nieliberalna umacnia się dzisiaj „od Peru po Autonomię Palestyńską, od Sierra Leone po Słowację, od Pakistanu po Filipiny”. To, co jest natomiast pewne, to to, że w Europie, wśród krajów Grupy Wyszehradzkiej, na Węgrzech, w Polsce, w Czechach, w Słowacji, ale także w Chorwacji, na Słowenii, w Rumunii, w Austrii, a teraz również we Włoszech, w ciągu ostatnich paru lat – na podstawie kompletnej utraty wiarygodności przez partie instytucjonalne i zatarcia się podziału na lewicę i prawicę – doszły

Jak liberalizm uprowadził demokrację



Alain de Benoist

Liberalna demokracja jest dzisiaj w odwrocie. Świadczą o tym nie tylko niedawno wydane książki (głównie autorów anglosaskich), lecz także rozwój zjawiska, któremu nadano znaczącą nazwę: demokracja nieliberalna

FOT. MARKUS ULANDER/EAST NEWS



do władzy ugrupowania zorientowane na demokrację nieliberalną. „Możemy mówić o demokracjach nieliberalnych od Bałtyku po Adriatyk” – stwierdza Jacques Rupnik.

W STRONĘ ORBANIZACJI EUROPY

Politolog Sylvain Kahn, autor niedawno wydanej „Histoire de la construction de l'Europe depuis 1945”, nie waha się mówić o „orbanizacji” Europy. To rzeczywiście Viktor Orbán, węgierski premier, wybrany po raz pierwszy w 2010 r. i od tamtej pory wybierany ciągle na nowo przez większość Węgrów, jako pierwszy wprost odwołał się do tego pojęcia w przemówieniu wygłoszonym w 2014 r. na letnim uniwersytecie Fideszu: „Naród węgierski to nie zbieranina jednostek – mówił – lecz wspólnota, którą mamy obowiązek organizować, wzmacniać i rozwijać. W tym znaczeniu nowe państwo, które budujemy, nie jest państwem liberalnym, lecz nieliberalnym”. Dodał, że należy „zrozumieć ustroje, które nie są zachodnie, nie są liberalne, a mimo to przynoszą pewnym narodom sukces”.

Proponując Węgrom i narodom europejskim wspólne stawienie czoła temu, co zagraża ich wartościom, Orbán stwierdza, że liberalna demokracja „nie była zdolna zobowiązać rządów do obrony – w pierwszym rzędzie – interesów narodowych i bogactwa publicznego, nie potrafiła ustrzec przed zadłużeniem”. Otóż, dodaje, demokracja nie musi być koniecznie liberalna: „Można być demokratą, nie będąc przy tym liberałem”.

W wystąpieniu przed węgierskim parlamentem z września 2017 r. Orbán oznajmił, że przyjęcie przez kraje Europy Środkowej „zachodniego liberalizmu oznaczałoby duchowe samobójstwo”.

Miesiąc później, 23 października, w czasie obchodów święta narodowego raz jeszcze uderzył w „globalne siły, które chciałyby przerobić europejskie narody w zestandaryzowaną masę”, atakując też „imperium finansowe, które narzuciło nam fale migracji, miliony imigrantów i inwazje, aby z Europy uczynić ziemię metysów”.

Te poglądy przysporzyły Orbánowi krytyki ze strony Brukseli, George’a Sorosa i wszelkiej maści liberałów. Oto jego odpowiedź: „Nie godzimy się na to, aby zostać kolonią! Nie zgodziliśmy się na dyktat wiedeński w 1848 r., potem stawiliśmy opór moskiewskiemu w 1956 i w 1990 r. Nie pozwolimy, aby ktokolwiek narzucał nam, jak mamy dzisiaj postępować”.

Przyczyny rosnącej siły idei nieliberalnych rzucają się w oczy i pokrywają się pod wieloma względami z przyczynami, które wyjaśniają sukces partii populistycznych. Główny powód ich rosnącej popularności bierze się stąd, że liberalne demokracje przerodziły się w odcięte od narodu oligarchie finansowe, obciążone takimi wadami, jak: nieskuteczność, niemoc, korupcja, przekształcanie się partii w zwykłe maszyny do wygrywania wyborów, władztwo ekspertów, prowadzenie polityki krótkofalowo, bez dłuższej, strategicznej perspektywy itd. Do tego dochodzi najpoważniejszy zarzut: w liberalnych demokracjach narody nie rozporządzają środkami do obrony własnych interesów. Co z tego, że naród jest suwerenem, skoro wybrany przez niego rząd nie posiada niepodległości niezbędnej do tego, aby samemu wyznaczać dla kraju kierunki ekonomiczne, finansowe, militarne, jeżeli jego pole manewru skurczyło się do tego stopnia, iż nie może prowadzić własnej polityki zagranicznej? Czy można dalej narzucać zasady prawne, które zamiast wspierać spójność narodów, prowadzą do ich rozbitcia?

Mamy w pamięci słowa Nicolasa Sarkozy’ego, wypowiedziane tonem wykluczającym złudzenia, z 3 marca 2018 r., podczas

Zdefiniowana przez liberalizm demokracja nie jest już ustrojem uświęcającym suwerenność narodu, lecz gwarantem praw człowieka

forum w Abu Zabi, zdaniem którego „współczesne demokracje zabijają leader-ship”: „Jak snuć wizję na 10, 15, 20 lat, i jednocześnie liczyć się z rytmem wyborczym, z czteroletnim cyklem wyborczym, jak na przykład w Stanach? Wielcy światowi przywódcy pochodzą z krajów, które nie są wielkimi demokracjami”.

W zbitce „demokracja nieliberalna” zawarte jest w zasadzie wszystko, co to wyrażenie chce przekazać – to teoria demokracji wrogo nastawiona wobec liberalizmu. Stanowi ona więc historyczne zerwanie z epoką, w której czasie w krajach zachodnich sformułowano „demokracja liberalna” traktowano jak pleonazm. Aby to zrozumieć – podkreśla Fareed Zakaria – należy przestać utożsa-

miać liberalizm z demokracją: „liberalizm konstytucyjny jest w warstwie teoretycznej czymś różnym od demokracji”. Politolog Philippe C. Schmitter, były wykładowca na uczelniach w Stanford i Chicago, również kładzie na to nacisk: „Liberalizm, jako koncepcja wolności politycznej albo jako doktryna ekonomiczna, wyłonił się równoległe z nowoczesną demokracją, lecz nie był niezmiennie albo bez dwuznaczności związany z jej praktyką”.

PRAWA CZŁOWIEKA, NIE OBYWATELA

Zredefiniowana przez liberalizm demokracja nie jest już ustrojem uświęcającym suwerenność narodu, lecz gwarantem przestrzegania praw człowieka. Prawa człowieka zyskują taką przewagę nad suwerennością, że ta ostatnia dopuszczalna jest tylko do takiego stopnia, w którym nie wchodzi w zwarcie z tymi pierwszymi. Mnożąc prawa, państwo rozcieńcza politykę. Jak stwierdził Marcel Gauchet, „ciągle powoływanie się na prawa człowieka paraliżuje demokrację”.

Państwo prawa, o którym trzeba wspomnieć, że jest przede wszystkim państwem prawa prywatnego, opiera się na imperatywie posłuszeństwa wobec prawa i zakłada jego prymat nad władzą polityczną. Mając za podstawę metafizykę praw człowieka – i widząc w niej jedyną gwarancję ludzkiej godności – uświęca władzę prawa jako władzę ogólnych norm, którym wszyscy mają się podporządkować, poczynawszy od rządzących.

Państwo prawa idzie w parze z liberalnym indywidualizmem i jego czysto „negatywną” koncepcją wolności, która nie dotyczy wspólnoty, ale wyłącznie jednostki. To tłumaczy, dlaczego liberalizm jest wrogo nastawiony do pojęcia suwerenności – oprócz suwerenności jednostki, rzecz jasna. Każda postać suwerenności, która wykracza poza wymiar indywidualny, stanowi dla niego zamach na wolność jednostki, krytykuje więc suwerenność polityczną i suwerenność narodu z tego właśnie względu – źródłem prawomocności może być tylko jednostka. Gdy jednostka staje się suwerenem absolutnym, państwo nie cieszy się już żadną prawomocnością.

Liberalizm nie uznaje żadnych decyzji demokratycznych, które mogłyby uderzać w liberalne zasady albo podważać ideologię praw człowieka, dlatego nigdy nie przyznawał, że wola narodu musi być bezwzględnie szanowana. Nie darząc zaufaniem ludu, nieufnie podchodzi do

powszechnego prawa wyborczego i pilnie tego, aby go nie rozszerzać, szczególnie we Francji, gdzie liberałowie znajdują się zresztą pod wpływem tradycji racjonalistycznych, gardzących opinią publiczną. Dawniej liberalizm dążył do tego, aby z prawa wyborczego korzystali tylko zamożni albo „kompetentni”, co wyjaśnia, dlaczego tak długo popierał głosowanie z cenzurem.

Liberalizm trzyma się zresztą zasady przedstawicielstwa. Wszystkie liberalne demokracje są zarazem demokracjami przedstawicielskimi i parlamentarnymi, co oznacza, że suwerenność narodowa została zastąpiona suwerennością parlamentarną. Władza – w optyce liberalnej – ma niekoniecznie za zadanie rządzić, lecz raczej reprezentować społeczeństwo.

W każdym rządzie przedstawicielskim występuje jaskrawa skłonność antydemokratyczna, co zauważył już Rousseau. Udział polityczny ludu jest tu ograniczony do samych konsultacji wyborczych, co oznacza, że demos nie zrzesza już podmiotów, lecz wyborców, nie zrzesza już ludzi, którzy działają, lecz ludzi, którzy wybierają. Zakłada się tutaj, że naród nie powinien samemu zabierać głosu, że nie powinien wypowiadać się bezpośrednio na temat bieżących kwestii albo w sprawie decyzji, które dotyczą jego przyszłości. Decyzje i wybór powinny należeć wyłącznie do reprezentantów, których wybrał sobie naród, to znaczy wyłącznie do elit – które, generalnie rzecz biorąc, nie przestają zdradzać tych, od których otrzymały władzę – do których zaliczają się przeważnie eksperci, notorycznie mylący środki z celami. Już w 1789 r. Sieyès definiował ustrój przedstawicielski jako ten, który pozwala zinterpretować wolę ludu lepiej, niż zrobiłby to sam lud. Po wyborach uitarło się mówić: „Naród przemówił” – co oznacza po prostu, że teraz nadszedł czas, aby wrócić do milczenia.

Pod pretekstem tworzenia „przeciwwładzy” liberalizm usiłuje na różne sposoby stawiać przeszkody woli narodu. We Francji temu właśnie służy obdarzanie coraz szerszymi uprawnieniami Rady Konstytucyjnej [odpowiednik naszego Trybunału Konstytucyjnego – przyp. K.T.D.], zajmującej się sprawdzaniem, czy decyzje polityczne są zgodne z konstytucją. Do tego dochodzą ograniczenia wynikające z traktatów europejskich, z władzy sędziów, z decyzji Europejskiego Trybunału Praw Człowieka etc. Istnieje więc wiele sposobów, na które woli narodu przeciw-

stawia się czystą legalność i prymat praw człowieka.

Dla ideologii praw człowieka istnieją tylko dwie kategorie: ludzkość i jednostka. Otóż polityka artykułuje się dopiero w sferze pomiędzy tymi dwoma pojęciami, w przestrzeni, w której zawierają się narody, kultury, państwa i terytoria. Polityczność zakłada granice, bez których podział na obywateli i na obcych traci sens. „Ludzkość” nie jest pojęciem politycznym, bo nie można być „obywatelem świata”, ponieważ świat polityczny nie stanowi uniwersum, lecz pluriversum: polityczność zakłada istnienie wielości sił. Ludzkość nie może stać się jednością polityczną, gdyż nie posiada na tej planecie wspólnego wroga, chyba że w znaczeniu metaforycznym. Dlatego liberalizm prowadzi wojny tylko przeciw tym, których przedstawia jako „wrogów ludzkości”, jednocześnie sprawiając, że wojna staje się przez to straszliwsza niż kiedykolwiek. Schmitt przywołuje słowa Proudhona: „Kto mówi »ludzkość«, ten chce oszukać”. Wynika z tego – jak pisze Michael Sandel – że „uniwersalne zasady nie są w stanie zbudować wspólnej tożsamości politycznej”.

Teraz lepiej rozumiemy, dlaczego liberalizm jest ze swej natury impolityczny. Przyczyna tkwi już w jego koncepcji człowieka: nie postrzega go jako istoty politycznej i społecznej, której dewizą mogłoby być *inter homines esse*, lecz jako istotę ekonomiczną (*homo oeconomicus*), odrębną od swoich bliźnich i zmierzającą zawsze do jednego celu: maksymalizacji własnego zysku.

Liberalizm jest też impolityczny w tym aspekcie, że uważa, iż rządy nie powinny zajmować stanowiska wobec problemu, jaki rodzaj życia jest dobry. I ta jego cecha skutkuje wyjałowieniem polityki, jeżeli zgodzimy się, rzecz jasna, z Arystotelesem, że „celem polityki jest pozwolić człowiekowi na rozwinięcie jego zdolności i cnót”, bo polityka nie jest „ekonomią prowadzoną innymi środkami”.

LATA DECYZJI

A zatem liberalizm nie może wymagać od obywateli, aby poświęcili swoje życie w obronie wspólnoty przed niebezpieczeństwami, które zagrażają jej istnieniu. Jest tak, ponieważ z jego punktu widzenia nie ma „programu, nie ma ideału, normy ani celu, który mógłby nadać prawo rozpo-

rządzania czyimś życiem”. Nie ma mowy o ofierze tam, gdzie zostaje uświęcony samolubny egoizm.

W oczach Schmitta liberalizm oznacza „totalną depolityzację”. Oczywiście, liberałowie też uprawiają politykę (a liberalne demokracje, jeśli chcą, to potrafią być autorytarne), lecz nie odwołują się do tego w swoich zasadach. Carl Schmitt jednak podkreśla, i to jest tu najważniejsze, że społeczeństwo zdepolityzowane czeka los „sługi wobec obcego, aktywnego politycznego narodu”. Ta konkluzja pozwala nam wrócić do sprawy, którą postawiliśmy na początku.

Jednym z powodów, dla których pojawiły się nieliberalne demokracje, jest to, że weszliśmy, jak mówił Spengler, w „lata decyzji”. To nie przez przypadek nieliberalne demokracje pojawiają się w chwili, gdy w Unii doszło do podziału wokół kwestii migracyjnej. W dobie masowej imigracji odkrywamy na nowo, że każda ludzka wspólnota „mierzy się w sposób nieuchronny z problemem swojej codziennej antropologicznej spójności” (Jean-Claude Michéa), czyli z kwestiami dotyczącymi warunków własnej społecznej reprodukcji. Kryzys gospodarczy i finansowy, ekonomiczna globalizacja, wreszcie kryzys migracyjny, który po tamtych nastąpił, zrodziły poczucie nagłej konieczności, szczególnie w tych krajach, w których wyobraźnia historyczna została naznaczona wspomnieniem inwazji otomańskich i które nie chcą, aby narzucano im model „wielokulturowości”, gdyż postrzegają go jako kompletną katastrofę.

To, że demokracje nieliberalne rosną w siłę, to sygnał, że to poczucie się upowszechniło, poczucie, że wolność, tożsamość i sposób życia obywateli stanęły przed egzystencjalnym zagrożeniem. Tym bardziej że w perspektywie demokracji nieliberalnej nie da się wyobrazić sobie innej demokracji niż narodowa.

Liberalne demokracje po prostu nie są zdolne do tego, aby sprostać ani nagłym wyzwaniom, ani skali współczesnych zagrożeń. Wybiła godzina demokracji nieliberalnych.

Liberalne demokracje po prostu nie są zdolne do tego, aby sprostać ani nagłym wyzwaniom, ani skali współczesnych zagrożeń. Wybiła godzina demokracji nieliberalnych.

przetłumaczył Krzysztof Tyska-Drozdowski

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



„ARCANA” NR 147

Alain de Benoist jest francuskim pisarzem, politologiem i dziennikarzem. Założył Groupement de recherche et d'études pour la civilisation européenne (GRECE), ruch metapolityczny, który zaliczany jest do francuskiego nurtu Nowej Prawicy.

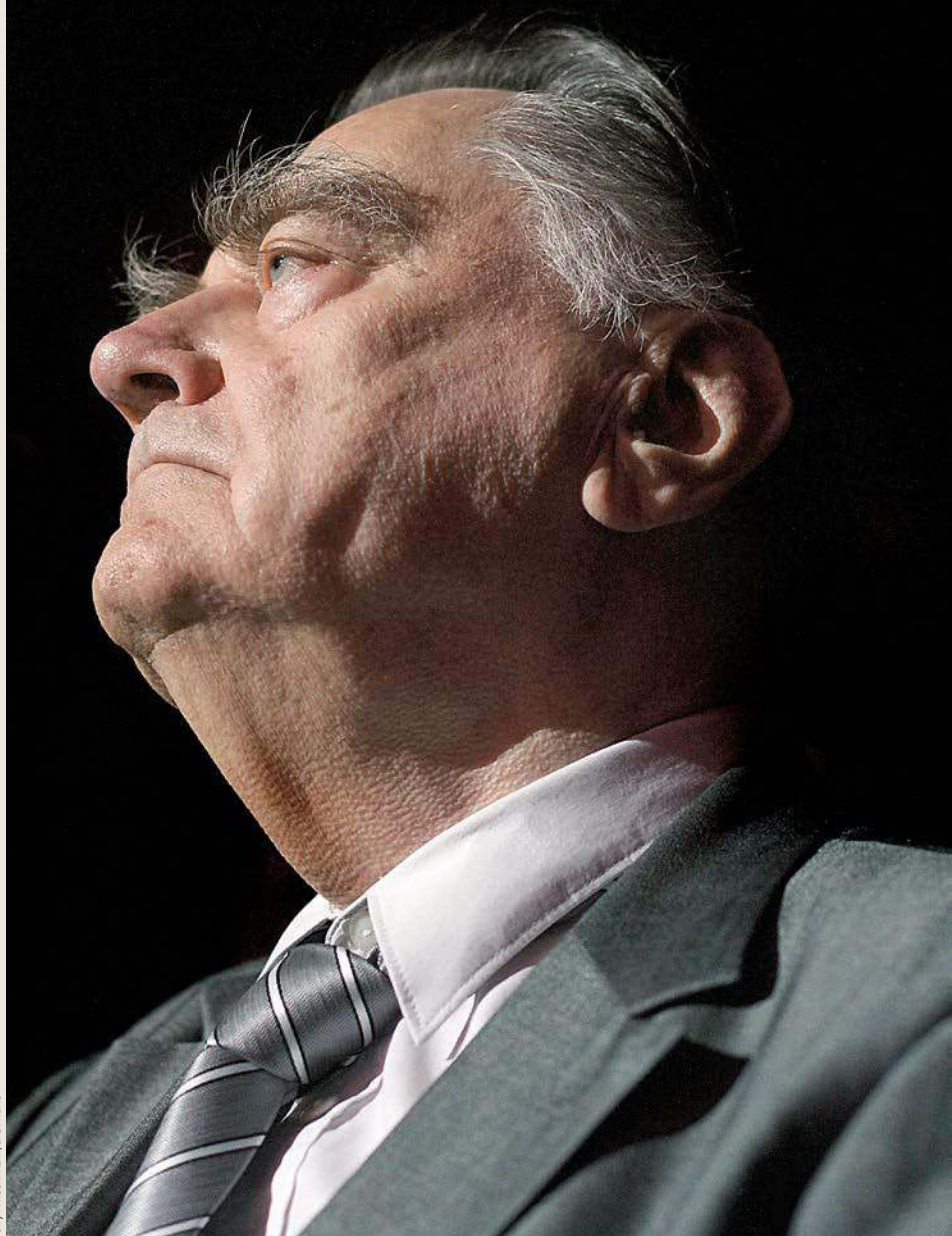
Fragmety książki „Ta historia wciąż trwa. Wspomnienia Jana Olszewskiego”, opracowanej przez dr Justynę Błazejowską

Odwołam się jeszcze do doświadczenia z zamordowaniem ks. Popiełuszki. Wywołało ogromne wrażenie w kraju, prawda...? Świadczy o tym sam pogrzeb. W 1989 r. [po zbrodni dokonanej przez bezpiekę na ks. Stefanie Niedzielaku i ks. Stanisławie Suchowolcu] mocodawcy liczyli na znacznie silniejszą reakcję niż ta, która nastąpiła. Nie chcę tutaj sformułować czegoś, co dyskwalifikowałoby „naszą” stronę okrągłego stołu, ale... Krótko mówiąc, władza wiedziała, że przedstawiciele Solidarności nie wycofają się [z projektowanego porozumienia]. Rozumowała na zasadzie: zostali już wystarczająco wciągnięci, prezentują takie nastawienie i mają taki nastrój, że rzeczywiście są przygotowani do zawarcia kontraktu i przejdą do porządku nad tym, co zrobimy, nawet nad zabójstwem ks. Niedzielaka. A to spowoduje osłabienie ich pozycji w negocjacjach. Władza dążyła do sytuacji, w której zwykli związkowcy zaczną oceniać swoich przywódców jako obciążonych hipoteką. Co więcej, chodziło o to, aby przywódcy byli tego świadomi. [...]

Kiszcza nie był dla Sowietów jedynym człowiekiem zaufania

Czemu miała służyć śmierć ks. Sylwestra Zycha...? Działał przeciwko Polsce Ludowej, a kiedy przebywał w więzieniu, był przedmiotem interwencji ze strony władz Kościoła. Po zwolnieniu wciąż działał. Ludzie z bezpieki wychodzili z następującego założenia: robiąc to, co zrobiliśmy, udowadniamy obrońcom i protektorom księdza, że protekcja nie do końca okazała się skuteczna. My potrafimy rozwiązać problem mimo wszystko, nawet mimo daleko idącego zaangażowania czynników kościelnych. Pełniłem w latach 80. funkcję doradcy Sekretariatu Episkopatu Polski i pamiętam starania, aby uratować ks. Zycha, które odbywały się w mojej obecności i z moim udziałem. Pod naciskiem Kościoła udało się doprowadzić do uwolnienia skazanego. Bezpieka chciała po prostu pokazać, że „swoje zrobimy jednak”. Dokładnie, jeszcze latem 1989 r. „oni” rozmawiali tak: „Nasza pozycja nie ulegnie zmianie, w dalszym ciągu będziemy w rzeczywistości gospodarzami całej

Bezpieka chciała pokazać, że „swoje zrobimy”



FOT. JAN KUCHARZ/WEST NEWS

sprawy. Można zawierać porozumienia, jedna trzecia posłów znacznie reprezentować »Solidarność«. Przy czym dwie albo trzy piąte z nich to ludzie, którzy podpisali albo podpiszą deklarację współpracy. No... i ułoży się to jakoś". Średnio-wyższa kadra aparatu (nie mówię tutaj o szeregowych funkcjonariuszach) ciągle znajdowała się na etapie bardzo dobrego przekonania o własnych możliwościach. Miała niezły nastrój, dopóki istniał Związek Sowiecki.

Trudno snuć przypuszczenia, czy zabójstwo ks. Zycha to robota wschodnich „przyjaciół”. Jak by to powiedzieć... Niewątpliwie w obozie władzy toczyły się gry. Nie sądzę, żeby akurat Kiszczak podejmował decyzję w tym przypadku. Realizatorzy zbrodni sądzili, że mogą pozwolić sobie na zrobienie czegoś, czego może szef bezpieczeństwa w Polsce nie uważałby dla siebie za odpowiednie, co by mu nie szło w danym momencie na rękę. Nie był dla Sowietów jedyną osobą zaufania. Moskwa nie rozumowała tak, że „poza nim nic nie robimy, bo wszystko powinno przechodzić przez niego”, a przeciwnie: „Mamy własne możliwości, swoich ludzi także gdzieś niżej. Kiszczak jako formalnie sterujący aparatem musi wiedzieć, że istnieje granica posiadanej przezeń władzy i możemy zrobić pewne rzeczy bez niego albo nawet przeciw niemu”.

Kto wydał polecenie zamordowania ks. Jerzego...?

Sprawa ks. Jerzego Popiełuszki... W sposób oczywisty wygląda na to, że grupę morderców śledziła ekipa wojskowa, starannie notująca wykonywane przez tamtych ruchy. Pojawia się pytanie, czy to Kiszczak wydał polecenie [zamordowania kapłana Solidarności]. Moim zdaniem – przedstawiam osobisty pogląd – ono przyszło z zewnątrz. Było wiadomo skądinąd (stanowiło to tajemnicę poliszynela w MSW), że Grzegorz Piotrowski utrzymywał bardzo bliskie relacje z sowieckim doradcą w tym Departamencie [IV], uważany za człowieka zaufania. Wraz z kolegami wręcz chlubił się dobrymi stosunkami z przedstawicielami Moskwy. Do niemal codziennych gości w jego gabinecie należał główny szef sowieckiej misji. Prawdopodobnie docierało do Kiszczaka, że może coś planują razem, i uznał, że trzeba sprawy pilnować. Dostawał bez wątpienia odpowiednie meldunki. Jednocześnie nie jest tak, że miał możliwość albo chciał to udaremnić. Tak, dobrze pani zrozumiała...

Kiszczak wywodził się z wojska, przyszedł do bezpieki [cywilnej] z zewnątrz, z innego pionu. Został różne układy, przypuszczalnie wszystkie nici trzymał poprzez swoich ludzi Mirosław Milewski. Zaufania wzajemnego nie mogło być i nigdy nie było, musiała toczyć się gra. Obserwowałem, jak wyglądało to w przeszłości, już wcześniej dochodziło do tego rodzaju sytuacji. Mówiłem pani o „bezpieczniackim październiku” w 1956 r., prawda...? Zaczęło się właśnie wtedy, kiedy nastąpiło rozejście się postaw. Ludzie związani z dawnym kierownictwem bezpieki w pewnym sensie zbuntowali się przeciwko swoim radzieckim mocodawcom i trzymali się odtąd osobno. Moczarowcy, którzy nastali, działali w tym samym aparacie i w tym samym miejscu, ale istniały dwie różne frakcje, nastawione na to, żeby – na ile to możliwe – wzajemnie się wykopać. Wszystkie albo prawie wszystkie chwytły były dopuszczalne. Powstała bardzo specyficzna sytuacja zarówno ludzi, jak i służb, zbudowanych według sowieckiego modelu.

W lipcu 1989 r. zginęła Aniela Piesiewiczowa, matka Krzysztofa Piesiewicza. Oczywiście nigdy nie można wykluczyć zbiegów okoliczności. Wszystko wskazuje jednak na to, że zostało to zrobione umyślnie i przez ludzi stamtąd. Chociaż, widzi pani... To trudno powiedzieć, ponieważ Krzysztof Piesiewicz, no... w moim przekonaniu nie był osobą aż tak ważną dla bezpieki, aby z jednej strony chcieć wymusić coś na nim czy z drugiej zemścić się. Owszem, występował jako oskarżyciel posiłkowy w procesie zabójców ks. Jerzego Popiełuszki, tylko że odbywało się to w granicach uznanych przez „tamtych” za dopuszczalne. Piesiewicz rozpatrywał to głównie na płaszczyźnie prawnej, bardzo zresztą zręcznie, dobrze, ale w ramach scenariusza. Na to znajdowało się tam miejsce, proszę bardzo. Scenariusz przekroczyłoby powiedzenie, że może tu być coś więcej, niż tutaj mówimy, wprowadzenie do procesu istoty sprawy. [...]

Przez ostatnich 25 lat „oni” wciąż byli i działali

Początek kryzysu w aparacie polskiej bezpieki datuje się na 1953, 1954 r., a wiązał się z ucieczką Józefa Świątły. Wtedy wszystko zaczęło się kotłować.



**JUSTYNA
BŁAŻEJOWSKA**
**„TA HISTORIA
WCIĄŻ TRWA.
WSPOMNIENIA
JANA
OLSZEWSKIEGO”**
**WYDAWNICTWO
ZYSK I S-KA 2019**

Od 1956 r. ciągle toczyła się walka dwóch frakcji, tak ładnie sklasyfikowanych przez Jerzego Jedlickiego jako „żydy” i „chamy”. To znaczy, między grupą dawnych „bezpieczniaków” a grupą moczarowską. Moczarowcy wygrali, objęli absolutne panowanie aż do 1970 r. Później byli eliminowani, na zasadzie, że teraz wchodzi [gen.] Franciszek Szlachcic. Strukturę opanowali skutecznie ludzie z innego rozdzielnika, połączeni więzami lojalności w pierwszej kolejności z Moskwą. Cały czas trwały jednak wewnętrzne rozgrywki, każdy miał swoich protegowanych. Kiszczak, wywodzący się z wojska, wszedł w to, w 1981 r.

przejął kierownictwo resortu. Przyszło mu rozgrywać następną partię z ludźmi, którzy umocnili się wcześniej w epoce Gierka. Oczywiście był jeszcze trzeci partner – KGB. Gomułka w okresie sekretarzowania bardzo starannie pilnował, aby w sferę polskiej bezpieki nie pchali się radzieccy towarzysze. Po 1970 r. zmieniło się to, wrócili. Wyraziło się to w tym, że znowu prawie we wszystkich departamentach znaleźli się doradcy, przepraszam, nie doradcy, ale przedstawiciele sowieckiej misji, która formalnie wróciła do MSW i działała sobie w miarę swobodnie.

W modelu zastosowanym tutaj w 1945 r. mieścił się jeden schemat. Otóż aparat służb specjalnych, także wojskowych, był w pełni narzucony z zewnątrz, był to sowiecki aparat (przy czym do bezpieki cywilnej Sowietci dopuścili więcej tubylców niż do wojskowej). W miarę upływu lat zadawał się, instalował swoich ludzi, wprowadzał własne obyczaje i zasady. Tak czy inaczej funkcjonował, gdzieś na marginesach, również przez ostatnie 25 lat, prawda...? Teraz może kończy się to ze względów biologicznych, ale „oni” wciąż byli i działali przeciw. Pewnych wydarzeń nie da się wytłumaczyć inaczej. Zabójstwo komendanta głównego policji stałoby się normalnie na świecie wyzwaniem dla każdego aparatu ścigania. Niech pani prześledzi, jak wyjaśnianie śmierci Marka Papyła wyglądało w Polsce. W tym momencie obserwujemy jeszcze ostatnie refleksje sprawy, kiedy przyznaje się jednemu z oskarżonych ćwierć miliona złotych odszkodowania za niesłuszny areszt.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Ohydny czyn Mikołajczyka

Zawsze powtarzam, że najgorszym premie-rem w dziejach Polski był Stanisław Mikołajczyk. To, że w jego rękach znalazł się ster rządów w trakcie II wojny światowej, należy uznać za ponury żart historii. Ileż zła ten człowiek wyrządził Polsce! Nie sposób tego wymienić w tak krótkim artykule. Można by na ten temat napisać całe tomy.

Mikołajczyk był nie tylko fatalnym politykiem, lecz także człowiekiem wybitnie niemoralnym. Nie chodzi tu już nawet o obrzydliwe intrygi, które snuł w Londynie przeciwko Naczelnemu Wodzowi gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu. Nie chodzi o jego podjudzanie AK do ujawnienia się przed bolszewikami w ramach samobójczej akcji „Burza”.

Chodzi o rolę, jaką Mikołajczyk odegrał w odebraniu polskiego obywatelstwa gen. Władysławowi Andersowi przez władze komunistycznej Polski. O kulisach tej haniebnej afery napisał prof. Krzysztof Tarka w ciekawym tomie artykułów „Studia z dziejów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie”.

Rzecz działa się w 1946 r. A więc, gdy Mikołajczyk już oficjalnie przeskokczył z obozu niepodległościowego do obozu kapitulacji przed Sowietami.

Uznał Jaltę i odebranie Polsce połowy terytorium. Wyjechał do okupowanej Polski i wszedł tam – jako wicepremier – do marionetkowego „rządu” Edwarda Osóbki-Morawskiego.

26 września 1946 r. na posiedzeniu tego „rządu” komuniści zaproponowali, żeby specjalną uchwałą pozbawić obywatelstwa kilkudziesięciu oficerów Wojska Polskiego na Zachodzie. Między innymi generałów Stanisława Kopańskiego i Stanisława Maczka. Gdy odczytano listę, o głos poprosił Mikołajczyk. Czy chciał wziąć w obronę oficerów? Swoich, jakkolwiek by patrzeć, niedawnych podwładnych? Skądże znowu! Mikołajczyk zauważył, że na liście zabrakło Andersa.

„Tak się złoży – powiedział Mikołajczyk – że główny winowajca nie będzie objęty uchwałą, a inni dobrzy żołnierze poniosą konsekwencje”.

Mikołajczyk nienawidził Andersa za jego nieugiętą postawę wobec bolszewizmu. A także za krytykę, jakiej generał nie szczędził swego czasu jego ugodowej, służalczej polityce.

Teraz ten mściwy człowiek miał swój moment zemsty. Swoje pięć minut... Jego komunistyczni koledzy z rządowych ław oczywiście przychyliili się do wniosku. Andersa obywatelstwa pozbawiono.

Doprawdy, obrzydliwa historia. ©©



★★★★★

PIOTR CHMIELOWIEC, KRZYSZTOF A. TOCHMAN (RED.) „STUDIA Z DZIEJÓW POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH NA ZACHODZIE (1939-1947)” IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Błąd towarzysza Edwarda

Właściwie nie wiadomo, dlaczego ekipa Edwarda Gierka wybrała właśnie 24 czerwca 1976 r. na dzień ogłoszenia podwyżki cen. Wprawdzie finanse PRL były w opłakanym stanie, ale najwyraźniej towarzysz Edward nie nauczył się zbyt wiele na przykładzie swojego poprzednika. Władysław Gomułka ogłosił drastyczną podwyżkę przed świętami Bożego Narodzenia i zakończyło się to masakrą na Wybrzeżu, natomiast Gierek wybrał okres tuż przed rozpoczęciem wakacji.

Od dłuższego czasu wszyscy w kraju zdawali sobie sprawę z tego, że sukcesy gospodarcze z pierwszej połowy lat 70. należą już do przeszłości. Światowy kryzys paliwowy powodował gwałtowną podwyżkę cen ropy, do tego doszły nieurodzaje i chybione inwestycje, na które wydawano zachodnie kredyty.

Natomiast rosła konsumpcja, pojawiały się towary wcześniej nieznanne, z coca-colą na czele. Marzeniami Polaków stały się mały Fiat i wakacje za granicą. Sklepy były nieźle zaopatrzone, zniknęły też niemal zupełnie kolejki (poza tradycyjną po karpia). Propaganda sukcesu ukazywała to wszystko jako triumf genialnej myśli towarzysza Edwarda i jego współpracowników. Wprawdzie od kilkunastu miesięcy sytuacja zmieniała się na niekorzyść, ale społeczeństwo nie było przygotowane na nagły spadek poziomu życia,

a szczególnie na ograniczenia w dostępie do produktów żywnościowych. Zresztą nie tylko żywności, planowano podniesienie cen (średnio o blisko 70 proc.) na kilka tysięcy produktów: od szynki i cebulek kwiatowych do podków dla koni.

Tego dnia wieczorem premier Piotr Jaroszewicz w przemówieniu sejmowym (transmitowanym przez telewizję) zapowiedział drastyczną podwyżkę. Jej uśrednienie nie oddaje szoku społeczeństwa, które nagle się dowiedziało, że cukier ma kosztować 26 zł za kilogram (poprzednio 10,50 zł).

Dodatkową wściekłość wywołała zapowiedziana struktura rekompensat mających złagodzić skutki podwyżek. Ustalono bowiem jednolity system procentowy, dzięki czemu najwyższe rekompensaty mieli otrzymać ci, którzy zarabiali najwięcej.

Następnego dnia zastrajkowało kilkadziesiąt zakładów pracy na terenie kraju, a do najgwałtowniejszych zająć doszło w Ursusie i Radomiu. Wystraszone władze wycofały się częściowo z podwyżek (to właśnie wtedy wprowadzono bony na cukier), nie zrezygnowano jednak z przykładowego ukarania „warchołów”. W całej Polsce zwolniono z pracy tysiące osób, a kilkudziesięciu robotników (najczęściej zupełnie przypadkowych uczestników wydarzeń) postawiono przed sądami.

Był to początek końca epoki „propagandy sukcesu”, a w konsekwencji socjalizmu nad Wisłą. ©©

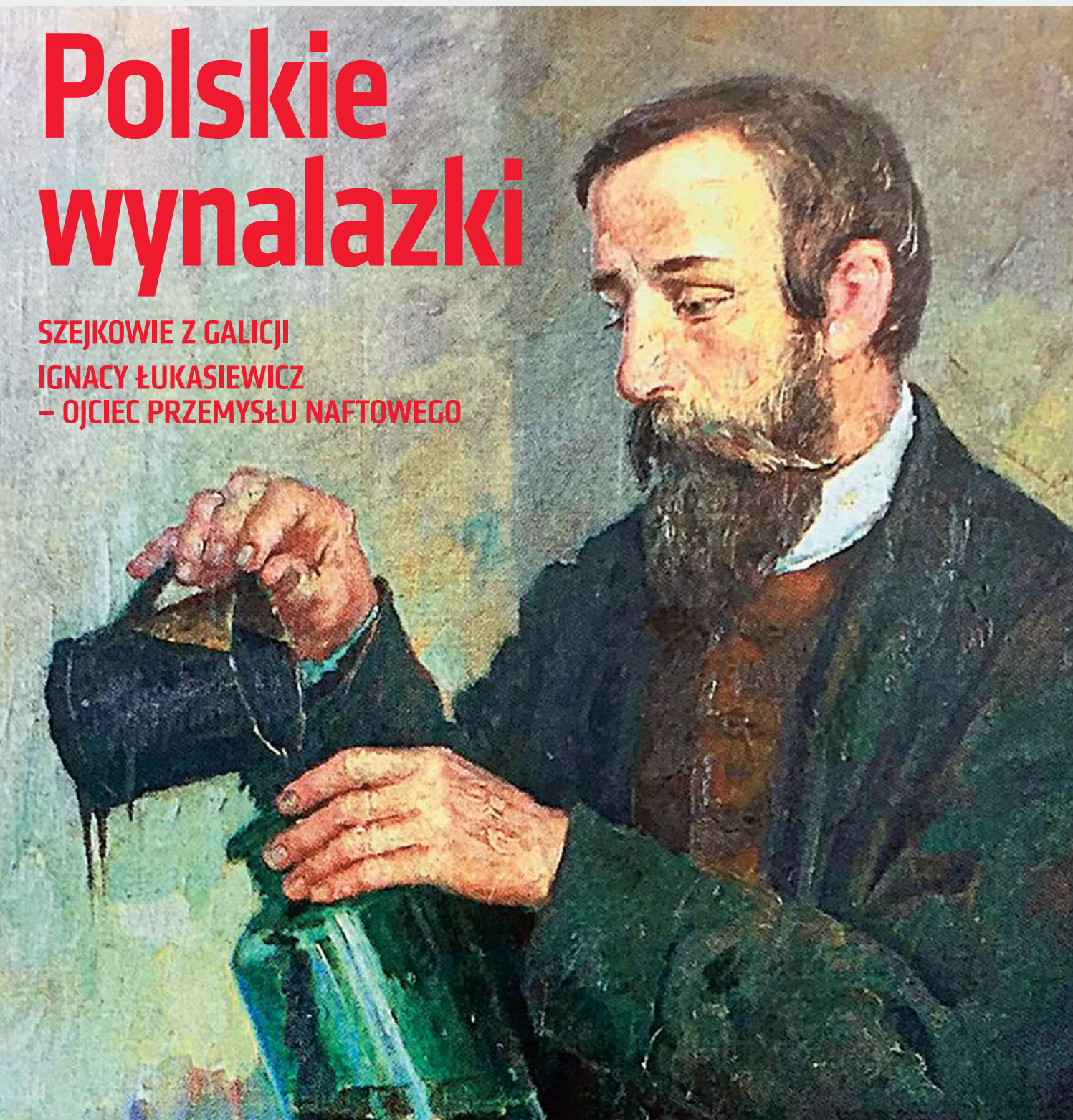
*Jak przyspieszyliśmy
rozwój przemysłu naftowego w Europie*

Polskie wynalazki

SZEJKOWIE Z GALICJI

IGNACY ŁUKASIEWICZ

– OJciec PRZEMYSŁU NAFTOWEGO



Partnerzy wydania:





Szejkowie z Galicji

KRÓTKA HISTORIA CZARNEGO ZŁOTA

3000 lat p.n.e. – ropy naftowej, która kipiła na powierzchni, używali w czasach starożytnych zarówno Sumerowie, jak i inne ludy Mezopotamii, Egipcjanie, a także mieszkańcy wielu obszarów Azji i Europy. Przodkowie dzisiejszych Irakijczyków – Babilończycy – stosowali ropę jako smar do uszczelniania swoich okrętów, a także jako element zaprawy murarskiej. Elementy starożytnego asfaltu wykorzystano również do budowy słynnej

drogi procesyjnej w Babilonie – jednym z najważniejszych miast starożytnej Mezopotamii – ciągnącej się od bramy Isztar. Egipcjanie używali ropy m.in. podczas procesu mumifikacji swoich władców i dostojników. Ślady wykorzystywania czarnego złota do celów budowlanych widoczne są również w konstrukcji piramid. Materiał przypominający asfalt był też prawdopodobnie wykorzystywany do budowy murów Jerycha. Ślady ropy zawierać miała słynna arka

Noego. Długo trzeba było jednak czekać, zanim zrozumiano i w pełni wykorzystano potencjał drzemiący w zagadkowej czarnej mazi.



FOT. WIKIPEDIA

XV w. – wzmianki o oleju skalnym w Polsce w zapiskach Jana Długosza.

1530 r. – olej skalny zalewa kopalnię złota założoną przez Seweryna Bonara, podskarbiego króla Zygmunta Starego, we wsi Ropa pod górą Chełm w Beskidzie Niskim. Wydarzenie to komentowano powiedzeniem: „Ten, co w Ropie złota szukał, smołą się opłukał”.

1810 r. – w galicyjskim Drohobyczu wydano pierwszy Dekret Zjednoczonej Izby Nadwornej, nadający upraw-

Na długo zanim pierwsi Arabowie zaczęli za petrodolary zamieniać wielbłądy na sportowe samochody, gorączka czarnego złota ogarnęła polskie ziemie pod zaborami. To właśnie dzięki Polakom możliwy był tak szybki rozwój globalnej branży naftowej

Chociaż narodziny przemysłu naftowego datuje się na drugą połowę XIX w., to historia wykorzystywania ropy sięga już starożytnych cywilizacji. Wykorzystywano ją do balsamowania ciał, oświetlenia, w celach leczniczych czy w armii (to dzięki ropy na przeciwników mogły spadać płonące strzały).

Na ziemiach Polski olej skalny – jak wówczas mówiono na ropę naftową – zwany też skałolejem, w wielu miejscach znany był od wieków. To czarna, tłusta maź, która spływała potokami i wypełniała rowy oraz kałuże. Mieszkańcy m.in. Podkarpacia zbierali ją za pomocą wierzbowych gałęzi i wykorzystywali do produkcji leków dla owiec, smarowali do wozów czy impregnatów do drewna. Czarną mazią, nazywaną także „kapiączką”, nasączano także pochodnie oraz kaganki i je podpalano.

POLSCY PIONIERZY

Rozwój pierwszej światowej potęgi przemysłu naftowego stał się jednak możliwy dopiero dzięki takim Polakom jak Łukasiewicz, Wolski, Odrzywolski i Szczepanowski. Ogromny ślad na historii przemysłu naftowego odcisnął również Witold Zglenicki – zainspirowany wynalaz-

kami Łukasiewicza inżynier z Polski, który w 1896 r. opracował pierwszą na świecie platformę wiertniczą. Na początku XX w. Polak, nazywany „ojcem bakijskiej nafty”, a także „polskim Noblem”, rozpoczął epokę podmorskiego wydobycia ropy naftowej w Baku nad Morzem Kaspijskim. Niestety, genialny polski inżynier wizjoner zmarł w 1904 r., zanim ukończono prace nad wydobywaniem ropy z morskiego dna. Pierwsza pełnomorska platforma wiertnicza Neft Daşları powstała więc dopiero w 1949 r. w Azerbejdżanie (zbudowane na palach osiedle nafciarzy pojawiło się nawet w jednej ze scen filmu o Jamesie Bondzie „Świat to za mało”). Amerykanie swoją platformę w Zatoce Meksykańskiej zbudowali zaś dopiero w roku 1954.

Ignacy Łukasiewicz powinien być powszechnie uznawany za pierwszego „króla nafty” (Amerykanie i nie tylko wolą jednak o nim nie pamiętać). Nie tylko opracował bowiem wydajną metodę destylacji ropy, lecz także jako pierwszy na świecie użył swojej wiedzy, aby wykorzystać właściwości nafty na skalę przemysłową – do spalania w zaprojektowanych przez siebie lampach, a później także w wielu innych produktach, takich jak oleje ciężkie czy asfalt.

Jak czytamy w „Historii polskiego przemysłu naftowego” pod redakcją prof. Ryszarda Wolwicz, pierwszą polską kopalnię ropy Łukasiewicz ze współnikami założył w Bóbrce niedaleko Krosna w roku 1854. Początkowo w „kopankach”, czyli po prostu w miejscach, gdzie obserwowano obfite wycieki ropy, kopano rowy, które nasączały się olejem skalnym. Potem zaczęto budować pierwsze „szyby naftowe” – były one jednak jedynie odpowiednio umoc-

KRÓTKA HISTORIA CZARNEGO ZŁOTA

nienia górnicze na olej skalny i smołę ziemną.

1852 r. – we wsi Siary pod Gorlicami powstaje „Stanisław” – pierwszy wykopany ręcznie szyb naftowy na świecie. Ma 22 metry głębokości. Daje początek wydobyciu ropy na skalę przemysłową w kopalni założonej przez Stanisława księcia Jabłonowskiego.

1852 r. – Ignacy Łukasiewicz wraz z Janem Zehem dokonują we Lwowie pierwszej w historii destylacji ropy

naftowej, otrzymując czystą naftę.

30 marca 1853 r. – w oknie wystawowym lwowskiej apteki Pod Złotą Gwiazdą zapłonęła pierwsza lampa naftowa zaprojektowana przez Ignacego Łukasiewicza i wykonana przez lwowskiego blacharza Andrzeja Bratkowskiego.

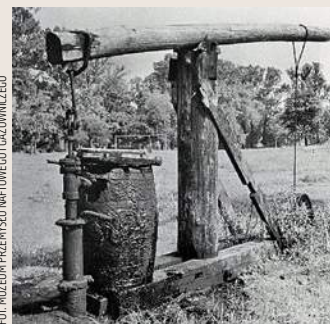
31 lipca 1853 r. – w lwowskim szpitalu na Łyczakowie dr Józef Zaorski ratuje życie Władysławowi Choleckiemu, przeprowadzając pierwszą operację przy świetle lampy naftowej

konstrukcji Łukasiewicza. Zabieg wycięcia wyrostka zakończył się pełnym sukcesem, o czym poinformowały wszystkie gazety w Galicji, napędzając klientów Łukasiewiczowi.

2 grudnia 1853 r. – Jan Zeh wraz z Ignacym Łukasiewiczem zgłaszają w Wiedniu swój wynalazek i otrzymują patent.

1854 r. – Ignacy Łukasiewicz buduje w Bóbrce koło Krosna pierwszą na świecie kopalnię ropy naftowej. Obecnie znajduje się tam Muzeum Przemysłu

Naftowego i Gazowniczego im. Ignacego Łukasiewicza. Na jego terenie po dziś dzień nadal działają szyby naftowe.



FOT. MUSEUM PRZEMYSŁU NAFTOWEGO I GAZOWNICZEGO

FOT. ARCHIWUM FUNDACJI JEDERKA

■ nionymi studniami, których głębokość dochodziła niekiedy nawet do 60 metrów. Przypominały tradycyjne studnie z wodą. Nad otworem znajdował się jednak wysoki, drewniany trójnóg, u którego szczytu zawieszano krążek z liną zakończoną hakiem na drewniane wiadro. Wiadrem tym wyciągano ropę pomieszaną z wodą. Na takim kubie zwożono też na dno „kopanki” górników.

Łukasiewicz szybko zmodernizował jednak sposób wydobywania ropy. W latach 60. XIX w. inż. Henryk Walter wprowadził w kopalni Bóbrka wiertnicę ręczną, składającą się m.in. z drewnianego trójnoga oraz wahacza, do którego na jednym końcu zamocowane były specjalne rękojeści, za pomocą których robotnicy podnosili i opuszczali wahacz, na którego drugim końcu umieszczone były świder, udarowy, obciążnik oraz tzw. nożyce wolnospadowe Fabiana. Dzięki zastosowaniu nowej techniki rolę łopaty i kilofów przejął świder – ważące 150–200 kg stalowe dęto o średnicy ok. 30 centymetrów i długości ok. 1,5 metrów – co znacząco ułatwiło pracę w kopalni.

Następną innowację wdrożono w kopalni Bóbrka w 1872 r. Zaproszony na Podkarpacie przez Łukasiewicza Albert Fauck – inżynier urodzony w Słupsku jako poddany króla pruskiego – zastąpił ręczne wiercenie udarowe wierceniem maszynowym o napędzie parowym, co jeszcze bardziej zredukowało wysiłek ludzki i umożliwiało wiercenia do głębokości ok. 250 metrów i w konsekwencji istotnie przyspieszyło rozwój kopalnictwa naftowego na terenie Galicji.

Założone przez Łukasiewicza kopalnie i rafinerie przynosiły duże zyski.

W całym regionie szybko nastąpił więc burzliwy rozwój przemysłu naftowego. W pierwszej kolejności gorączka czarnego złota objęła Podkarpacie – region od dawna obfitujący w cenny surowiec. Potężne źródło ropy w tym rejonie, na pograniczu Siar i Sękowej, na polecenie potomka polskich hetmanów księcia Stanisława Jabłonowskiego odnaleziono już w 1852 r. Miało ono jednak służyć do produkcji asfaltu i smarów.

W 1859 r. hrabina Jadwiga Straszewska wybudowała w Lipinkach rafinerię naftową, która jako pierwsza w Galicji produkowała parafinę, eksportowaną do Belgii, Holandii, Niemiec, Szwecji, Francji oraz Wielkiej Brytanii. Do rozwoju przemysłu naftowego przyczynił się również Stanisław Antoni Szczepanowski. Ekonomista i chemik z dyplomami uczelni paryskiej i londyńskiej w 1879 r. założył własną kopalnię ropy w Słobodzie Rungurskiej w pobliżu Kołomyi i dzięki bogatym źródłom surowca szybko przekształcił ją w największą kopalnię w całej Galicji. Rok później otworzył więc pierwszą w regionie fabrykę maszyn górniczych, a w roku 1881 stworzył Pierwsze Towarzystwo Eksploatacji Nafty i Wosku Ziarnego w Słobodzie. Dwa lata później otworzył zaś rafinerię w Peczeniżynie – najnowocześniejszy i największy wówczas zakład petrochemiczny. Interesy szły świetnie. Polski chemik i przedsiębiorca uruchomił więc w roku 1886 rurociąg naftowy biegnący z kopalni w Słobodzie Rungurskiej do rafinerii w Peczeniżynie.

POLSKA KALIFORNIA

Jak zauważył Leon Rymar w książce „Galicyski przemysł naftowy”, głośnie sukcesy polskiego chemika sprawiły, że

„wybuchła wprost epidemia nafciarska”. Wystarczyło rzucić hasło „ropa”, aby bankierzy z radością wypisywali umowy kredytowe. W krajobrazie Borysławia, oddalonego o kilkanaście kilometrów Drohobycza czy pobliskich Tustanowic zaczęła więc dominować las drewnianych wież wiertniczych.

„Drohobycz, Borysław, Tustanowice i przecinająca tę dolinę Tyśmienica to galicyjskie Klondike, miejsce oszałamiających karier europejskich selfmademánów, pomazańców i wybrańców losu, doświadczających szczęścia i nieszczęścia »ziemi obiecanej« w pierwszym na świecie zagłębiu naftowym, którego ojcem był Ignacy Łukasiewicz” – pisał o „Kresowym Trójmieście” prof. Stanisław Nicieja, nawiązując do słynnej gorączki złota nad kanadyjską rzeką Klondike.

Drugie zagłębie naftowe powstało w okolicach Sanoka, Krosna, Jasła, Gorlic i Limanowej. W obu pracy szukali uciekający przed nędzą podkarpaccy i ukraińscy chłopcy, którzy dochodzili do wniosku, że nie ma co płynąć do Ameryki, skoro Amerykę buduje się w Borysławiu. Dla wielu naftowa przygoda w „polskiej Kalifornii” kończyła się tragicznie – zwłaszcza w początkowym etapie wydobywania ropy naftowej niosło bowiem za sobą wiele niebezpieczeństw: od zatrucia gazem ziemnym do ryzyka śmierci w wybuchu lub pożarze.

W regionie zaroilo się też od zaślepionych chęcią szybkiego wzbogacenia „hien naftowych”. Inwestorów, którzy niczym kalifornijscy nafciarze w „Aż poleje się krew” w wojnie o majątek nie brali żadnych jeńców. Szczepanowski w bolesny sposób poznał lepiej ten rodzaj „przedsiębiorców”.

KRÓTKA HISTORIA CZARNEGO ZŁOTA

■ 1856 r. – w Ulaszowicach koło Jasła powstaje pierwszy zakład destylacji ropy naftowej.

1859 r. – hrabina Jadwiga Straszewska buduje w Lipinkach rafinerię naftową, która jako pierwsza w Galicji produkuje parafinę, eksportowaną do Anglii, Belgii, Holandii, Niemiec, Szwecji i Francji.

1859 r. – Edwin Drake, były konduktor kolejowy, zbudował pierwszy szyb naftowy na farmie w Pensylwanii w Stanach Zjednoczonych i na głę-

bokości 21 metrów dowiercił się do ropy. Wojna secesyjna sprawiła, że popyt na produkty naftowe był ogromny, Amerykę opanowała więc „gorączka nafty”. W latach 60. XIX w. ropę naftową zaczęto eksploatować w rosyjskim Baku, a także w Kanadzie i Rumunii.

1862–1866 – inżynier Henryk Walter wprowadza w kopalni Bóbrka należącej do Ignacego Łukasiewicza technikę i urządzenia do ręcznego wiercenia udarowego z zastosowaniem

nożyc wolnospadowych Fabiana.

1872 r. – sprowadzony do kopalni Bóbrka przez Łukasiewicza Albert Fauck zastąpił ręczne wiercenie udarowe wierceniem maszynowym o napędzie parowym, znacznie eliminującym wysiłek ludzki i umożliwiającym wiercenia do głębokości 240 metrów.

1886 r. – opatentowanie przez Karla Benza „pojazdu z napędem spalinowym”. W tym samym roku – nie-

zależnie od Benza – swój „zmotoryzowany powóz” konstruuje Gottlieb Daimler. Rozwój motoryzacji doprowadza do wzrostu popytu na ropę naftową.

1896 r.

• polski wynalazca i inżynier Wacław Wolski jako pierwszy opracowuje wykorzystanie sprężonego gazu do wydobywania ropy.

• 46-letni polski inżynier Witold Zglenicki uzyskuje patent na pierwszą na świecie platformę wiertniczą

Jego „wspólnicy” podstępnie wyrugowali go bowiem z udziałów w kopalni w Słobodzie i rafinerii w Peczenizynie. Szczepanowski – nazywany wtedy „królem polskiej nafty” – nie poddał się jednak i drugi rurociąg zbudował z rozbudowanej wraz z nowymi współnikami kopalni w Schodnicy pod Boryslawem do samego Borysławia.

O skali jego sukcesu świadczyć mogą wspomnienia Władysława Długosza. „Zanim Szczepanowski odkrył Słobodę Run-gurską, mierzyło się ropę u nas na garncu, od czasu Słobody liczyliśmy produkcję na baryłki, od czasu zaś, gdy Szczepanowski odkrył Schodnicę, liczy się już tylko na wagony” – zauważył kolejny wybitny polski naftowiec, który w roku 1890 zainwestował wszystkie swoje oszczędności we własną kopalnię i zbankrutował. Po tej bolesnej nauce zatrudnił się więc w firmie Williama Mac Garveya – zakochanego w pięknej Polce Kanadyjczyka, którego w te rejony zwaabiła naftowa gorączka. Długosz we współpracy z Janem Rączkowskim – genialnym samoukiem, a jednocześnie analfabetą – stał się odkrywcą Zagłębia Borysławskiego (dokopując się do olbrzymich złóż ropy na głębokości kilkuset metrów). Każdego dnia z nowego szybu wytryskiwało aż 40 ton czarnego złota. Długosz szybko został więc niewiarygodnie bogatym człowiekiem, szefem największych kopalni w regionie, a także dyrektorem Karpackiego Towarzystwa Naftowego. A ponieważ wśród robotników nie brakowało skłonnej do rabunków i żadnej nieuczciwego zarobku hołoty, na kartach historii zapisał się też waleczny bernardyn nafciarza, znany z tego, że „za cmoknięciem łapał za gardło napadającego”.

W rozwoju nowej gałęzi przemysłu Szczepanowskiemu pomagało dwóch wybitnie zdolnych Polaków: Wacław Wolski oraz przemysłowiec Kazimierz Odrzywolski.

Wolski był pierwszym inżynierem na świecie, który skroplił gazy naftowe. Przeszedł też do historii jako wynalazca „hydraulicznego tarana wiertniczego”, który na przełomie XIX i XX w. był jednym z najlepszych urządzeń hydraulicznych do wiercenia szybokoudarowego. Taran hydrauliczny – do dziś stosowany w przemyśle naftowym – umożliwiał bowiem wiercenie otworów do głębokości aż 1000 metrów, czyli ponad dwa razy głębiej, niż wynosiła głębokość typowego szybu pod koniec XIX w.

Z kolei Kazimierz Odrzywolski – który doświadczenie w branży jako prosty wiertacz w kopalniach ropy naftowej zdobył jeszcze w latach 80. w Argentynie – zbudował fabrykę maszyn wiertniczych, które stały się popularnym towarem eksportowym zarówno w Rosji, jak i w Rumunii oraz na Węgrzech. Jednocześnie Odrzywolski na tyle szybko dorobił się na kopalni w Schodnicy, że założył kilka nowych zarówno na Podkarpaciu, jak i w Rumunii.

KARPACKA ZATOKA PERSKA

Pod koniec XIX w. inż. Fauck wiercił kolejne szyby m.in. w rejonie Nowego Sącza, Gorlic, Krosna czy Borysławia. Urządzeniem „Rapid” wywiercił w Krośniku otwór o głębokości 636 metrów. Na początku XX w. odwiercił zaś skonstruowanym przez siebie urządzeniem o nazwie „Ekspres” kilkanaście otworów o głębokości od 700 do nawet 1000 metrów. Fauck był też współzałożycielem wielu spółek naftowych.

Kolejne sukcesy odnosili również Długosz i Rączkowski. W 1904 r. odkryli na terenie wspomnianych Tustanowic największe złożo płynnego złota w całej Galicji – tzw. Oil City miało wydajność 2,5 tys. ton na dobę. Jeszcze na początku XX w. odnotowywano w Galicji tak wielkie wydobywanie ropy naftowej (2 mln 75 tys. ton), że region ten był uznawany za trzeciego na świecie – po Rosji i Stanach Zjednoczonych – producenta czarnego złota.

Jednocześnie kopalnie z polskich rąk zaczął przejmować obcy kapitał. W zlokalizowanym wzdłuż Karpat przemyśle naftowym dużą rolę odgrywali Austriacy, Niemcy, a także Brytyjczycy.

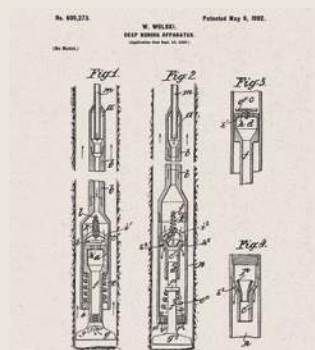
Rosnące wydobywanie i trudności ze sprzedażą produktu doprowadziły jednak do tego, że w 1908 r. wartość czarnego złota spadła tak koszmarnie nisko, iż surowiec stał się ponoć tańszy nawet niż woda używana w procesie wydobywania. Fakt ten, a także rabunkowa eksploatacja złóż, w połączeniu ze stosunkowo wysokimi kosztami wydobycia, sprawiły, że naftowe eldorado w Galicji skończyło się w pierwszej dekadzie XX w. Wielkie szkody wyrządziła też I wojna światowa – Rosjanie, wycofując się z tych terenów, podpalali szyby naftowe – a następnie wojna polsko-bolszewicka.

Jednocześnie I wojna światowa ukazała, jak ważnym surowcem jest ropa naftowa. I chociaż Polska – nawet po odzyskaniu niepodległości i przejęciu wielu złóż – nie stała się Kuwejtem, to wiele odkryć polskich wynalazców było przełomowych dla branży i przyczyniło się do rozwoju nie tylko europejskiego, lecz także światowego przemysłu naftowego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

KRÓTKA HISTORIA CZARNEGO ZŁOTA

i w 1896 r. rozpoczyna w Baku epokę podmorskiego wydobycia ropy naftowej.



1902 r. – Wacław Wolski konstruuje tzw. wiertniczy taran hydrauliczny, metodę wykorzystującą wodę do poruszania świda, nazywaną „polską kanadyjką”, umożliwiającą wykonywanie głębokich na 100 metrów odwiertów.

1908 r. – złoża ropy odkryte na Bliskim Wschodzie.

1909 r. – produkcja ropy w ówczesnej Galicji osiągnęła 2,075 mln ton, plasując się na trzecim miejscu w świecie, po Rosji i Stanach Zjednoczonych.

1914–1918 – I wojna światowa ukazuje, jak ważny jest dostęp do ropy naftowej w prowadzeniu działań wojennych. Dostęp do złóż staje się priorytetem dla światowych mocarstw.

1956 r. – kryzys sueski. Po decyzji o nacjonalizacji Kanału Sueskiego Wielka Brytania, Francja i Izrael dokonują zbrojnej agresji na Egipt.

1960 r. – rozpoczęcie budowy pierwszej nitki polskiego odcinka rurociągu naftowego „Przyjaźń” – największego na

świecie systemu rurociągów, łączącego Syberię i Europę Środkową.

17 kwietnia 1972 r. – rozpoczęcie budowy rafinerii naftowej w Gdańsku, obecnie Grupa LOTOS SA. Budowa gdańskiej rafinerii, wraz z Naftoportem, była pierwszą inwestycją w okresie PRL, realizowaną według zachodnich licencji oraz najnowszych technologii oraz kierowaną przez zachodnią firmę: włoskie Snamprogetti.



Rockefeller znad Wisły

FOT. MUZEUM PRZEMYSŁU NAFTOWEGO I GAZOWNICZEGO

KRÓTKA HISTORIA CZARNEGO ZŁOTA

■ **1973 r.** – wybuch pierwszy światowy kryzys naftowy – obejmuje swym zasięgiem wszystkie kraje wysoko uprzemysłowione i uzależnione od ropy.

12 grudnia 1975 r. – gdańska rafineria, jedna z najnowocześniejszych w Europie, uzyskuje pierwsze produkty: benzynę, naftę i oleje napędowe.

1990 r. – wojna w Zatoce Perskiej. Wycofujące się oddziały irackie podpalają ponad 700 szybów naftowych.



1998 r. – początek rewolucji związanej z amerykańską produkcją ropy ze złóż łupkowych. Taki surowiec okazuje się tańszy, czystszy i łatwiejszy do obróbki niż ropa o wysokiej zawartości siarki z Arabii Saudyjskiej, Iranu czy Wenezueli. W XXI w. wydobycie ropy z łupków bije kolejne rekordy.

2015 r. – załamanie cen ropy naftowej na światowych rynkach.

2017 r. – polscy inżynierowie i chemicy

FOT. LOTOS

Ignacy Łukasiewicz to nie tylko wynalazca lampy naftowej. To wybitny pionier branży, który pierwszy na świecie wydestylował z ropy naftowej naftę i zastosował ją do oświetlenia. To jego wynalazki rozpoczęły w Europie technologiczną rewolucję i zmieniły bieg światowej historii

Pochodził ze zubożałej szlachty herbu Łada. Na świat przyszedł we wsi Zduszniki nad Wisłą 8 marca 1822 r. W rodzinie powstańca kościuszkowskiego tak bardzo brakowało pieniędzy, że zdolny Jan Boży Józef Ignacy Łukasiewicz musiał porzucić naukę w gimnazjum i zarabiać na utrzymanie. Zaczął więc pracę jako pomocnik aptekarza: najpierw w Łańcucie, a następnie w Rzeszowie. Tam młody polski patriota zaciągnął się do tajnej organizacji patriotycznej. W lutym 1846 r. służby austriackie na niemal dwa lata aresztowały 24-letniego wówczas Łukasiewicza i jego współpracowników, oskarżając ich o nielegalną działalność przeciw austriackiemu zaborcy.

Po wyjściu z więzienia „u karmelitów” zaczął pracę w największej we Lwowie aptece Pod Żółtą Gwiazdą Piotra Mikolascha. Przerwał ją w latach 1850–1852, aby wyruszyć na studia do Krakowa i Wiednia, gdzie uzyskał tytuł magistra farmacji.

Po powrocie do apteki Mikolascha objął stanowisko prowizora i na zapleczu rozpoczął wraz z Janem Zehem – rów-

nież magistrem farmacji – prace nad oczyszczeniem ropy naftowej. Polecenie oczyszczenia dziwnej substancji Piotr Mikolasch, znany z umiławania do najróżniejszych nowinek (w jego aptece wyprodukowano np. pierwszą w Galicji wodę sodową), wydał swym pracownikom po tym, jak żydowski kupcy sprzedali mu kilka beczulek „borysławskiego rafinatu”, sugerując, że z żółtego płynu można tanio i łatwo wydestylować alkohol. Podczas gdy chłopcy przygotowywali z ropy smar do wozów, na ściankach kotłów, w których to robili, osiadał bowiem przezroczysty płyn, który przypominał spirytus – przekonywał handlarz właściciela apteki.

W założeniu badania farmaceutów miały więc doprowadzić do wydestylowania mocnego alkoholu, a także do stworzenia zupełnie nowych lekarstw. W 1852 r. po wielu tygodniach prób Jan Zeh wraz z o pięć lat młodszym Łukasiewiczem metodą frakcjonowanej destylacji w temperaturze 200–250 st. C otrzymali na tyle oczyszczoną naftę, że miała ona jasnobrazową barwę i była niemal kompletnie pozbawiona zapachu. Nie był to spirytus. Zrezygnowano z użycia nowej łatwopalnej substancji do celów farmaceutycznych, ale zdecydowano się wykorzystywać ją do oświetlania pomieszczeń oraz ulic. Wcześniej w tym celu używano bowiem lamp spalających wyjątkowo drogie, importowane oleje mineralne.

Samo wydestylowanie nafty z ropy nie było odkryciem Łukasiewicza ani Zeha. Dokonał tego wcześniej mieszkający w Paryżu polski chemik Filip Neriusz Walter. Łukasiewicz, pracując nad naftą

do lamp, udoskonalił jednak odkrycie Waltera i doprowadził do tego, że nafta nie była zanieczyszczona nawet niewielkimi frakcjami ropy, dzięki czemu spalała się spokojnie, regularnie i bezpiecznie.

Kłopot polegał jednak na tym, że w lampach olejnych nie można było bezpiecznie wykorzystywać nafty, gdyż stosowane w nich zbiorniki przy spalaniu nafty czasem wybuchały. Łukasiewicz zaprojektował więc pierwszą na świecie lampę naftową – ze zbiornikiem zrobionym z bardzo grubej blachy – którą wykonał dla niego lwowski blacharz Adam Bratkowski.

W marcu 1853 r. oświetliła ona wnętrze apteki Pod Żółtą Gwiazdą. Wynalazcy sprzedali swoje lampy wraz z oczyszczoną naftą wielu osobom prywatnym, a także instytucjom publicznym, w tym szpitalom.

31 lipca 1853 r. lampy naftowe zastosowano podczas pilnej nocnej operacji w szpitalu powszechnym na lwowskim Łyczakowie. Dzień, w którym dr Zagórski usunął wyrostek robaczkowy Władysławowi Galeckiemu, niespodziewanie przeszedł tym samym do historii. Właśnie tę datę przyjmuje się bowiem za symboliczną datę narodzin polskiego – czy wręcz światowego – przemysłu naftowego.

Pod koniec 1853 r. zarówno Zeh, jak i Łukasiewicz otrzymali w Wiedniu austriackie patenty na „ropę naftową tak chemicznie oczyszczoną, że nadaje się do bezpośredniego użycia do celów technicznych”. Drogi obu genialnych wynalazców szybko się rozeszły. Zeh otworzył własną fabrykę nafty do lamp we Lwowie, skąd cenny surowiec dostarczał

KRÓTKA HISTORIA CZARNEGO ZŁOTA

udoskonalili innowacyjną metodę oczyszczenia oleju UCO – frakcji parafinowej (UcoPure). To jeden z kilku projektów realizowanych przez Grupę LOTOS, która nie ukrywa chęci zajęcia wiodącej pozycji w dziedzinie badań nad biopaliwami. Innym ważnym projektem jest HESTOR, którego celem jest opracowanie technologii magazynowania energii w postaci wodoru i wykorzystania go w procesach rafineryjnych.



FOT. LOTOS

■ zarówno do Wiednia, jak i do Prus. Jego karierę w biznesie naftowym zatrzymała jednak osobista tragedia: po tym, jak do przydomowej fabryki dostarczono uszkodzoną beczkę z ropą, ktoś rzucił niedopałek i w potwornym pożarze zginęły 21-letnia żona Zeha i jej młodsza siostra. Farmaceuta porzucił więc biznes naftowy i założył własną aptekę.

OJCIEC PRZEMYSŁU NAFTOWEGO

„Olej skalny [jak wówczas nazywano ropę – przyp. red.] to przysze bogactwo kraju, to dobrobyt i pomyślność dla jego mieszkańców, to źródło zarobków dla biednego ludu i nowa gałąź przemysłu, która obfite zrodzi owoce” – mówił w 1854 r. sam Łukasiewicz, cytowany przez autora jego biografii Jana Dębskiego.

Wiść o niezwykłym odkryciu Polaków szybko obieęła monarchię habsburską, a następnie szerokim echem odbiła się na całym świecie. Dzięki Polakowi ropa została na świecie uznana za wartościowy surowiec energetyczny. Nowoczesne, naftowe lampy uliczne szybko zaczęły oświetlać ulice Lwowa i Wiednia. Szacuje się jednak, że pierwsza na świecie uliczna lampa naftowa zapłonęła w Gorlicach, do których Łukasiewicz się przeprowadził, aby być bliżej terenów roponośnych. Wraz z właścicielami ziem bogatych w surowiec zaczął zakładać pierwsze spółki naftowe i kopalnie ropy w okolicach Gorlic, Jasła oraz Krosna.

W 1854 r. Łukasiewicz razem z ziemianinem Tytusem Trzecieckim oraz Karolem Klobassą-Zrenckim założył pierwszą na świecie kopalnię czarnego złota w Bóbrce niedaleko Krosna. Zrobił to przed szalonym amerykańskim płk. Edwinem Drakiem, który pierwszy szyb naftowy w Titusville uruchomił w Pensylwanii w kwietniu 1859 r.

Początkowo w Bóbrce surowiec wydobywano prymitywną metodą – stosowaną też powszechnie przez okolicznych mieszkańców – polegającą na kopaniu rowów w miejscach obfitych wycieków oleju skalnego. Każdego dnia z takiego rowu można było wydobyć nawet kilkadziesiąt litrów „oleju”. Przed



wynalazkiem Łukasiewicza przez wiele dziesięcioleci ropę zbierano do wiader i palono nią w kagankach, a także wykorzystywano w celach leczniczych.

W pierwszym etapie poszukiwań ropy w Bóbrce było jej tak mało, że wspólnicy stanęli na krawędzi bankructwa. Na szczęście tuż przed finansowym upadkiem udało się im natrafić na duże złoża ropy. Ojciec przemysłu naftowego jako wieloletni dyrektor kopalni nieustannie doskonalił technikę wiercenia otworów. Szybko pojawiły się szyby kopane, w których ściany umacniano drewnem. W 1862 r. w kopalni ruszyła wiertnica ręczna, a następnie wiertnice napędzane maszynami parowymi (choć w tej dziedzinie Polaka wyprzedzili Amerykanie, którzy pierwsze szyby naftowe przy użyciu napędu parowego zaczęli wiercić już w 1859 r.). W sumie podczas dwóch dekad od założenia kopalni w Bóbrce powstało w niej kilkadziesiąt szybów.

Jednocześnie Łukasiewicz doskonale wiedział, że myśląc o rozwoju branży naftowej, nie może poprzestać jedynie na wydobywaniu czarnego złota. Podobnie jak John Rockefeller w Stanach Zjednoczonych, tak i Ignacy Łukasiewicz w Galicji zbił fortunę na

ropie, ponieważ odpowiednio wcześniej wpadł na pomysł, że aby odnieść sukces w tej branży, trzeba zapewnić sobie nie tylko dostęp do bogatych złóż, lecz także kontrolę nad wszystkimi etapami wytwarzania i dystrybucji produktów ropopochodnych. Dzięki wycięciu z rynku praktycznie wszystkich konkurentów z branży rafinerijnej Rockefeller mógł dyktować ceny i w ciągu całego życia zgromadził majątek szacowany na 660 mld dol. I chociaż część fortuny przeznaczył na cele charytatywne, to większość odziedziczył jego syn.

Łukasiewicz pod koniec lat 50. XIX w. miał już do dyspozycji taką ilość ropy, że w 1856 r. założył w Ulaszowicach pierwszą na ziemiach polskich destylarnię ropy naftowej, a trzy lata później stworzył kolejną w Kłęczanach koło Nowego Sącza. Jednocześnie wciąż się dokształcał, aby móc doskonalić metody przetwórstwa czarnego złota. Za swoje produkty – nie tylko oczyszczoną ropę, lecz także za

smarowidła do wozów, oleje do maszyn, a także asfalt – był wielokrotnie nagradzany, m.in. na wystawach w Wiedniu czy we Lwowie. W swoich fabrykach produkował także kamfinę (używany do lamp czysty olejek terpentynowy zmieszany z alkoholem) oraz gudrinę (rodzaj parafiny) – miał bowiem patent również na produkcję świec parafinowych. Wyroby z destylarni Łukasiewicza wysyłano m.in. do Lwowa, Krakowa czy Wiednia.

Po koszmarnym w skutkach pożarze w przetwórnicy ropy w Ulaszowicach Łukasiewicz zbudował ogromną rafinerię w Chorkówce niedaleko Krosna. Gdy zaś w latach 60. i 70. XIX w. w Galicji wybuchł boom naftowy, ojciec przemysłu naftowego był inicjatorem powstania wielu nowych kopalni nafty w Beskidzie Dukielskim, a także w okolicach Gorlic (Ropianka, Wilsznia, Smereczne, Ropa, Wójtowa).

PATRIOTA I FILANTROP

Łukasiewicz był altruistą, działaczem niepodległościowym i społecznikiem, któremu na dużych pieniądzach na swe prywatne potrzeby specjalnie nie zależało. Po zбициu olbrzymiego majątku

(bogaczem został, zanim ukończył 40 lat) wspierał materialnie powstańców styczniowych, finansował też wiele projektów budowy dróg, mostów, szkół i szpitali. Z własnej kieszeni płacił również za walkę z biedą i alkoholizmem. Założył także tzw. Kasę Bracką, czyli system ubezpieczeń pracowników kopalni Bóbrka (Łukasiewicz zapewniał swoim pracownikom opiekę medyczną, a po 20 latach pracy nawet emeryturę), a także zabiegał o utworzenie w okolicy kopalni szkoły górniczej.

Genialny Polak chętnie i bezpłatnie udzielał też porad osobom zainteresowanym rozwojem przemysłu naftowego. Od polskiego wynalazcy uczył się m.in. austriacki potentat naftowy Gustav Wagemann. Z jego wiedzy skorzystali też ponoć nawet wysłannicy Rockefellera, a niewykluczone, że osobiście sam przyszedł „król nafty” John Davison Rockefeller.

Polski Rockefeller sfinansował również powstanie prowadzonej przez żonę Honoratę Szkoły Koronarskiej dla dziewcząt w Chorkówce, niedaleko Bóbrki. Wraz z Karolem Klobassą-Zrenckim

ufundował również kaplicę w Chorkówce oraz kościół w Zręcinie z okazałą 56-metrową wieżą (oba fundatorzy zapłacili za drewno, cegłę i kamień potrzebny do budowy).

Działalność charytatywna naftarza z Polski zyskała taki rozgłos w Europie, że ówczesny papież Pius IX odznaczył go za nią Orderem św. Grzegorza i w 1873 r. nadał Łukasiewiczowi tytuł Szambelana Papieskiego.

GORĄCZKA ŻŁOTA

Z inicjatywy polskiego przedsiębiorcy powstało również Krajowe Towarzystwo Naftowe – oczywiście Łukasiewicz był też jednym z jego prezesów.

Pod koniec lat 70. XIX w. został posłem do galicyjskiego Sejmu Krajowego. Genialny przedsiębiorca opracował również projekt przepisów i ulg podatkowych, mających doprowadzić do szybkiego rozwoju przemysłu naftowego w Galicji.

Nowe prawo działało doskonale, a region opanowała gorączka czarnego złota.

W latach 80. XIX w. Łukasiewicz poważnie zachorował na zapalenie

płuc. Zmarł 7 stycznia 1882 r. w Chorkówce. Słynny polski wynalazca został pochowany na cmentarzu parafialnym w Zręcinie.

Jego misja popularyzowania przemysłu naftowego zakończyła się jednak wielkim sukcesem. Rok po śmierci Łukasiewicza polskie ziemie pod zaborami były trzecią – po Stanach Zjednoczonych i Rosji – potęgą naftową świata.

Pierwsza na świecie kopalnia ropy w Bóbrce działa jednak do dziś i jest częścią świetnego Muzeum Przemysłu Naftowego i Gazowniczego im. Ignacego Łukasiewicza, które przyciąga turystów z całego świata. Znajdują się tam wciąż czynne „kopanki”, czyli pochodzące z XIX w. studnie z ropą („Franek” z 1860 r. oraz „Janina” z roku 1878). Nadal można w nich zobaczyć, jak zapełniają się bulgoczącą ropą naftową, a także poczuć, jak pachnie czarne złoto.

W grudniu 2018 r. kopalnia w Bóbrce – jako świadectwo polskiej sztuki inżynierskiej – rozporządzeniem prezydenta została uznana za pomnik historii.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone





Galicyski high-tech

Wacław Wolski jako pierwszy na świecie skroplił gazy naftowe. Polak ponad sto lat temu zrewolucjonizował przemysł naftowy. Skonstruowany przez niego taran hydrauliczny był tak dobry, że w branży stosowany jest do dziś

Wacław Wolski urodził się w 1865 r. w Brzeżanach. Jego ojciec Ludwik – szanowany i uznany prawnik – został wybrany na posła do parlamentu austriackiego i wraz z rodziną przeniósł się do Wiednia, gdzie Wacław ukończył gimnazjum i politechnikę.

Na przyszłość inżyniera mocno wpływa wuj Stanisław Szczepanowski, uważa-

ny za drugiego po Łukasiewiczu pioniera polskiego przemysłu naftowego, a także autor publikacji ekonomicznej z końca XIX w. „Nędza Galicji w cyfrach i program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego”.

Zarażony ideami wuja Wacław, po ukończeniu ze znakomitymi wynikami Wydziału Budowy Maszyn Politechniki

Wiedeńskiej i odbyciu służby w marynarce, zatrudnia się u Szczepanowskiego. Angażuje się w projektowanie linii kolejowej, łączącej Kołomyję z nowoczesną rafinerią wybudowaną przez wuja w pobliskim Peczenizynie.

Następnie podejmuje pracę w należącej do Szczepkowskiego kopalni ropy naftowej w Schodnicy – ówczesnie najwydajniejszej w Galicji – gdzie zgodnie z nowoczesnymi metodami zarządzania zdobywa doświadczenie, przechodząc przez wszystkie stopnie wtajemniczenia zawodowego: od robotnika przez wiertacza do kierownika.

W 1896 r. przeprowadza pionierskie prace nad wykorzystaniem sprężonego gazu do wymuszenia wypływu ropy z trudniejszych odwiertów. Przemysłowe próby tego sposobu wydobywania prowadzono w kopalni w Borysławiu w obwodzie lwowskim, gdzie odkrycie ogromnych pokładów ropy dało początek galicyjskiej gorączce czarnego złota. Przed wynalazkiem Wolskiego zgromadzony pod ziemią gaz naftowy podczas wykonywania odwiertów ulatniał się do atmosfery, a zalegająca w nieckach i soczewkach ropa pozostawała nienaruszona. Dzięki nowej metodzie surowiec można było uzyskać także ze starych, częściowo wyeksploatowanych szybów, zwiększając wydajność wydobywania.

GENIALNY KONSTRUKTOR

Po zdobyciu doświadczenia u wuja Wacław Wolski razem z przedsiębiorcą naftowym Kazimierzem Odrzywolskim założyli własną spółkę wiertniczą, która zachowała związki z firmą Szczepanowskiego i wykonywała na jego zlecenie odwierty m.in. w Schodnicy. W tym czasie Wolski nie tylko zaczął odnosić sukcesy jako nafciarz, lecz także potwierdził swoje innowatorskie talenty, wprowadzając do metod wydobywania liczne udoskonalenia, a jako zdolny konstruktor tworzył własne narzędzia wiertnicze. Jako pierwszy inżynier na świecie mógł też pochwalic się udanymi próbami laboratoryjnymi skraplania gazów.

Kolejnym ważnym wynalazkiem polskiego inżyniera była konstrukcja tzw. świdra ekscentrycznego. Pomysł Wolskiego wykorzystany w tym urządzeniu opierał się na założeniu, że wiercony otwór ma średnicę większą niż zewnętrzna średnica wprowadzanych do otworu rur zabezpieczających, choć przez rury przedostawało się tylko dłuto

FOT. WIKIPEDIA

o mniejszej od rur średnicy. Nowa konstrukcja świda umożliwiała zwiększenie głębokości odwiertu z ok. 400 metrów do ponad 1000 metrów. Rozwiązanie to błyskawicznie rozprzestrzeniło się na cały świat, a jego koncepcja wykorzystywana jest w różnych urządzeniach wierzących do dziś.

Genialny konstruktor jest autorem wielu narzędzi i udoskonań, które wpłynęły na procesy technologiczne w przemyśle, jednak za najważniejsze dla dziejów przemysłu naftowego osiągnięcie Wolskiego uważa się opracowanie przez niego innowacyjnej metody wiercenia, wykorzystującej mechanizm nazywany taranem hydraulicznym. Jego działanie polega na wykorzystaniu energii kinetycznej słotczony pod dużym ciśnieniem wody (która uprzednio służyła wyłącznie do usuwania osadów) do poruszania świda. Polski wynalazek stanowił prawdziwy przełom dla ówczesnej branży naftowej i bił na głowę dostępne wówczas na świecie technologie, pozwalając wiercić o wiele szybciej i sprawniej.

POLSKA KANADYJKA

Metoda nazwana została „polską kanadyjką”. Z narzędziem tym związana jest bowiem także historia pewnego spotkania. Otóż w dniu, w którym Wacław Wolski pojawił się w Wiedniu z zamiarem zgłoszenia patentu na taran hydrauliczny, w drzwiach urzędu natknął się na Williama Henry’ego Mac Garveya, Kanadyjczyka szkockiego pochodzenia (ożenionego z Polką), który jako właściciel wiodącego przedsiębiorstwa naftowego w Galicji (zatrudniał wtedy ponad 2 tys. pracowników) przybył do stolicy imperium w takim samym celu z niemal identycznym rozwiązaniem.

Kanadyjczyk miał już w tym czasie na swoim koncie nie tylko gigantyczny biznesowy sukces, lecz także wysoko cenione zasługi dla rozwoju branży wydobywczej – jego pojawienie się w Galicji pod koniec XIX w. uznawane jest za jeden z impulsów, który miał istotny wpływ na przejście tamtejszego nafciarstwa od fazy pionierskiej do skali wielkoprzemysłowej. Przywieziony bowiem przez niego z Kanady nowy udarowy sposób wiercenia (żerdziowo-łańcuchowy nazywany wtedy powszechnie kanadyjskim) szybko przyjął się w branży i stał się najczęściej stosowanym systemem wiercenia w Galicji. Okazało się, że naftowy król

Galicji prawie równocześnie z Wacławem Wolskim wpadł na pomysł rewolucyjnego ulepszenia systemu wydobywania, przez co ostatecznie wynalazcy opatentowali rozwiązanie wspólnie.

Wiść o nowym urządzeniu obiegła świat i stała się źródłem sławy polskiego inżyniera. Wynalazek Wolskiego pozwolił mu między innymi wygrać w 1902 r. wyścig w szybkości wiercenia, który także odbił się szerokim echem w całej branży. Jego rywalami w konkurencji były dwie niemieckie czołowe firmy wiertnicze w Europie. Polski inżynier w ciągu 53 dni dowiercił się do pokładu węgla na głębokości ok. 800 metrów – najpierw w jednym, następnie w kolejnym szybie w Westfalii – i pobił Niemców na głowę, osiągając średnio 146 centymetrów na godzinę, o 50 proc. więcej niż jego konkurencji.

Po tym wydarzeniu, obawiając się przejścia przez Wolskiego europejskiego rynku naftowego, obie pokonane w zawodach firmy, korzystając ze wsparcia niemieckiego banku, odkupiły od wynalazcy patenty kontynentalne na taran za zawrotną wówczas sumę 600 tys. marek. Przedstawiciele firm zapewniali przy tym Wolskiego, że będą doskonalić wymyślony przez niego system oraz że korzystając z niego, zapewnią jednocześnie rozwiązaniu odpowiednią reklamę, by inżynier mógł uzyskać wysoką cenę za patenty brytyjskie i amerykańskie. Obietnice te okazały się tylko wybiegiem mającym przekonać Wolskiego do transakcji, bo sprytni przedsiębiorcy umówili się, że stosować będą stare metody wierceń, a zakupione patenty zostaną schowane głęboko w szafach pancernych, przez co nigdzie w Europie (poza Galicją, na której terenie polski inżynier zastrzegł sobie prawo do używania tarana) nie mogły być wykorzystywane.

Taran hydrauliczny wszedł do użycia między innymi w Borystawiu, gdzie w 1907 r. Wacław Wolski dokonał rekordowego odwiertu w szybie o nazwie „Wilno”, którego zasobność obwieszczała wysoka na 500 metrów fontanna ropy. W pierwszym tygodniu od uruchomienia szybu wydobywano z niego nawet 900 ton ropy dziennie.

Rekordowe wyniki wierceń Wolskiego zmuszają innych przedsiębiorców do podniesienia wydajności produkcji. I podczas gdy wydobywanie ropy w 1900 r. nie przekraczało 300 tys. ton rocznie,

w 1907 r. wynosiło już ok. 1,1 mln ton, a w 1909 r. sięgnęło szczytowej wartości ponad 2 mln ton. Galicyjska gospodarka nie była jednak rozwinięta w stopniu umożliwiającym wykorzystanie takich ilości surowca. Nadpodaż doprowadziła do gwałtownego spadku cen ropy i w rezultacie załamania rynku naftowego.

Wynalazek polskiego inżyniera bezsprzecznie przyczynił się do przełomu w zakresie usprawnienia procesu wydobywania, jednocześnie przysporzył wynalazcy wielu krytyków, obciążających go winą za kryzys nadprodukcji. Po tym, jak za sprawą niemieckich potentatów naftowych wykorzystanie tarana zostało zablokowane w Europie, ponowne prace nad metodą hydrauliczną wierceń podjęto dopiero wiele lat później. Wynalazek, który wyprzedził swoją epokę, jest stosowany w przemyśle naftowym do dziś.

CZŁOWIEK RENESANSU

Wolski był nie tylko świetnym konstruktorem, aktywnym naukowcem i organizatorem, lecz także społecznikiem, który angażował się w działalność charytatywną. Ogromne pieniądze zdobyte dzięki ropie pozwalały udzielać wsparcia ubogim, szpitalom, organizacjom społecznym. Jako oddany patriota walczył w obronie Lwowa podczas wojny polsko-bolszewickiej, za co otrzymał Krzyż Walecznych.

W pierwszych latach niepodległości Wolski był jednym z zamożniejszych ludzi w regionie. Jednocześnie pełnił m.in. funkcję wiceprezesa Krajowego Towarzystwa Naftowego we Lwowie i prezesa Krajowego Związku Producentów Ropy. I występował na licznych branżowych konferencjach międzynarodowych.

Zmarł nagle w 1922 r. Trzy lata wcześniej jego najstarszy syn Ludwik został zamordowany przez Ukraińców za napisanie satyrycznego wiersza. Jak na ironię, ojcem chrzestnym Ludwika był znany poeta Władysław Bełza, autor „Katechizmu polskiego dziecka”, którego wyliczanki zaczynającej się od słów: „– Kto ty jesteś? – Polak mały” przez następny wiek uczyły się miliony dzieci. W trakcie mszy poświęconej pamięci Ludwika słynny inżynier przeżył się i w wyniku komplikacji chorobowych zmarł. Żaden z jego potomków nie kontynuował działalności w branży naftowej.



Tworzymy przestrzeń dla innowacji.

Wspieramy rozwój
paliw alternatywnych w Polsce.



REKLAMOWA CENZURA W WIELKIEJ BRYTANII

Brytyjski Urząd ds. Norm Reklam wydał zakaz używania w kampaniach „szkodliwych stereotypów dotyczących płci”. Nie będzie można pokazywać w reklamach np. kobiety, która nie potrafi zaparkować samochodu, albo taty nieradzącego sobie w sytuacjach z dziećmi. Szef urzędu tłumaczył, że pokazywanie niektórych sytuacji może „ograniczać potencjał ludzi”. Jako nieszkodliwe (na razie) uznano inne stereotypowe sytuacje. Wciąż więc będzie można pokazywać, że to kobieta sprząta dom, a mężczyzna wykonuje ciężkie prace.

MODA NA CZARNOBYL

Po ogromnym sukcesie miniseriału „Czarnobyl” mocno zwiększył się ruch turystyczny w miejscu, w którym



EDIT: BARDOO WAEEM/APPIEST NEWS

MINISTER JAK KOT

Shaukat Yousafzai, regionalny minister z północno-zachodniego Pakistanu, zrobił furorę w sieci. Transmitował swoją konferencję na Facebooku i nie zauważył, że włączył „koci filtr” – dodatek, który automatycznie nakłada na twarz rysunkowe kocie uszy i wąsy. Partia Tehreek-e-Insaf usunęła wideo z sieci i zapowiedziała, że „zostały podjęte wszelkie niezbędne działania, w celu uniknięcia takich incydentów w przyszłości”.

doszło do katastrofy elektrowni jądrowej. Firmy turystyczne organizują wycieczki „śladami filmowych bohaterów”. Okolice przeżywa najazd „instagramerów”, liczących na wiek-

szą popularność w sieci. Niestety, w miejscu, w którym rozegrała się ludzka tragedia, wielu z nich pozuje w mocno kontrowersyjny sposób, m.in. przedstawiając nagość.

JAK JADŁA NETANJAHU

Sarah Netanjahu, żona izraelskiego premiera, poszła na ugodę z prokuraturą i przyznała się do sprzeniewierzenia publicznych pieniędzy. Zlecała personelowi rezydencji premiera w Jerozolimie zamawianie posiłków w wykwintnych restauracjach, choć w rezydencji zatrudniano kucharkę. Żona „Bibiego” musi teraz oddać państwu równowartość ok. 50 tys. zł. Zapłaci też grzywnę ok. 10 tys. zł.

NAUKOWA GWIAZDA POP

Pani w Wielkiej Brytanii, która jest fanką piosenkarki Mariah Carey, zamówiła w cukierni tort z wizerunkiem ulubionej gwiazdy. Otrzymała ciasto z wizerunkiem... Marii Curie-Skłodowskiej. Brytyjka pokazała tort na Twitterze. Jej wiadomość skomentowała sama Carey. „To mogłabym być ja, gdybym nie zawałiła poprawki z matematyki” – napisała piosenkarka. © © **Łukasz Zboralski**



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Zabańkowani

Nie mamy już z kim przegrać, druga kadencja jest w kieszeni” – taki nastrój panuje w znacznej części PiS. Jarosław Kaczyński zawsze z podobną euforią walczył, wiedząc, jak może być groźna, ale nawet on nie jest w stanie przezwyciężyć narkotycznego efektu świetnych sondaży i odporności własnej partii na wszelkie problemy. A jeśli do tego jeszcze dodać zachwyconych wyborców na spotkaniach w terenie, to w ogóle nie ma o czym mówić.

Druga strona tymczasem zatopiła się całkowicie w seria-

lu „Koniec PiS”, odcinek 1435. Falenta i jego rewelacje już na pewno dokonają tego, czego nie dokonały informacje o Srebrnej, Misiewiczzu czy książki o premierze. A gdyby jakimś trafem – co mało prawdopodobne, ale jednak – Falenta nie wystarczył, to wiadomo, co rozłoży Kaczyńskiego i jego partię na łopatki przed wyborami: film Vegi i druga część filmu Sekielskiego. Ha! To będą ciosy w spłot słoneczny, gejmczendżery. Po tym PiS leży na łopatkach i błaga o litość, a jesienią Schetyna zostaje premierem, zaś Koalicja Europejska (czy jak tam się to będzie nazy-

wać) bierze większość konstytucyjną i stawia PiS-owców przed sądem.

Jedni i drudzy żyją w swoich bańkach, a te niestety coraz szczelniej się zasklepiają. Komicznie to nawet wygląda. Problem w tym, że poza tymi bańkami infantylnego triumfalizmu są problemy realne, nudnie codzienne i bardzo mało emocjonujące dla żołnierzy obu armii. I nie, nie należą do nich ani Fort Trump, ani emerytury sędziów Sądu Najwyższego, tylko na przykład niebotyczne podwyżki opłat za wywóz śmieci. © ©

Putin zajmuje wyczekującą pozycję co do Zełenskiego, ponieważ wciąż nie ma świadomości, jakie będą ruchy nowego prezydenta w podstawowych sprawach – stwierdził Dmitrij Pieskow. Rzecznik Kremla przyznał, że nie jest jasne, czy „stosunek Ukrainy do Rosji pozostanie nieprzyjazny”. – Generalnie z naszej strony podejście jest pozytywne. Oczekiwania są optymistyczne, ale pewności, co się wydarzy w Kijowie, na razie nie ma nikt – komentował Pieskow. Agencja Interfax cytowała tę wypowiedź w zeszłym tygodniu. Coraz częściej jednak rosyjskie media rządowe ostro krytykują Zełenskiego. Jego wizerunek w oczach Kremla i jego akolitów kształtował się podobnie jak swojego czasu wizerunek Donalda Trumpa. Rosjanie z nadzieją wyczekiwali zwycięstwa kontrowersyjnego kandydata republikanów, licząc, że jego izolacjonistyczne zapędy doprowadzą do resetu. Gdy okazało się, że Trump nie zamierza układać się z Putinem, stał się dla prokremlowskich komentatorów w najlepszym przypadku „politykiem nieprzewidywalnym”, porównywalnym nawet z Kim Dzong Unem.

UKRAIŃSKI KUKIZ

Rosyjskojęzyczny prezydent Ukrainy, „prosty chłopak”, niepodzielający patetycznej retoryki swojego poprzednika, a do tego kompletnie niedoświadczony na polityce, dawał Moskwie nadzieję na ustępstwa ze strony Kijowa. Nic z tego. Co prawda, Zełenski zaproponował referendum w sprawie zakończenia wojny na wschodzie. Wyjaśnił jednak później, że nie miała to być inicjatywa ustawodawcza, a jedynie sondaż mający na celu „zapoznanie się z opinią społeczeństwa”. Ponadto Zełenski zapowiedział również referendum w sprawie wstąpienia do NATO. Z jednej strony mamy więc do czynienia z „ukraińskim Pawłem Kukizem”, który chętnie odwołuje się do opinii obywateli i popiera hasła demokracji bezpośredniej (której elementy zawarł również w swoim programie wyborczym). Z drugiej zaś strony, Zełenski konsekwentnie stara się realizować taktykę łagodzenia sprzeczności. Prędzej więc będzie to polityka wielowektorowa w stylu Leonida Kuczmy niż uległość wobec Kremla na wzór Wiktora Janukowycza. Zełenski przywrócił zresztą Kuczmę do zespołu prowadzącego rozmowy pokojowe, co za złe mają mu ukraińscy nacjonaliści. Od stołu negocyjacyjnego odsunął Wiktora Medwedczuka, oligarchę blisko związane-

Zagadka Zełenskiego



Maciej Pieczyński

Nic nie wskazuje na to, żeby nowy prezydent Ukrainy był uległy wobec Kremla. Ciągnie go na Zachód. Na razie zacieśnia relacje z Paryżem. Warszawa może z Wołodymyrem Zełenskim wiele ugrać

go z Putinem. Tutaj akurat Zełenski zdobył uznanie patriotycznie nastawionej części społeczeństwa. Zastanawiające zresztą, że Medwedczuk uczestniczył w negocjacjach w czasie prezydentury rzekomo tak bezwzględnie antyrosyjsko nastawionego Petra Poroszenki.

W poniedziałek Zełenski odwiedził Paryż. Była to druga, po Brukseli, zagraniczna wizyta nowego prezydenta Ukrainy. Pomiędzy Zełenskim i Macronem jest wyraźna niechęć porozumienia. Komik gościł w Pałacu Elizejskim jeszcze w trakcie kampanii wyborczej, a więc zanim ze „sługi narodu” stał się sługą narodu. Teraz, już jako głowa państwa, właśnie podczas wspólnego z Macronem briefingu po raz pierwszy tak wyraźnie określił wektory planowanej polityki zagranicznej Kijowa i koncepcję rozwiązania konfliktu na wschodzie. – Nie jesteśmy gotowi do dialogu z separatystami. Jesteśmy gotowi pracować w ramach formatu mińskiego: wstrzymać ogień, zwolnić jeńców. To pierwsze kroki, które obie strony muszą podjąć – powiedział Zełenski. „Zakończenie wojny i zwrot anektowanych terytoriów” określił jako swoje „podstawowe zadanie”. Zaznaczył przy tym jednak, że „nie da się zaprowadzić pokoju metodami wojskowymi”.

Według Zełenskiego zakończenie wojny może nastąpić jedynie poprzez „naciski dyplomatyczne”, dlatego też poprosił o podtrzymanie antyrosyjskich sankcji. Prezydent Ukrainy w obecności Macrona jednoznacznie stwierdził, że Rosja nie wykonała żadnego z mińskich постано-

wień. Podkreślił też, że Moskwa musi zastosować się do wyroku międzynarodowego trybunału i wypuścić ukraińskich marynarzy, zatrzymanych podczas incydentu w Cieśninie Kerczeńskiej. Zełenski zapowiedział również przygotowanie spotkania w formacie normandzkim. Macron dyplomatycznie stwierdził, że Francja będzie gotowa powrócić do tego formatu, jeśli zostaną spełnione pewne warunki, aby spotkanie takie miało swój efekt. Prezydenci nie porozumieli się co do charakteru sankcji. Zełenski oświadczył, że nie ma podstaw do tego, aby przywrócić delegacji rosyjskiej prawo głosu na forum Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Macron zaś dał do zrozumienia, że sankcje nie powinny dotyczyć kwestii RE, ponieważ „na tym cierpi nie tyle państwo, ile naród rosyjski”.

SZANSA DO WYKORZYSTANIA

Okazało się więc, że Zełenski, wobec którego istniały obawy, iż będzie ulegał Putinowi, jest bardziej zasadniczy wobec polityki Kremla niż jeden z najważniejszych liderów Europy Zachodniej. A Warszawa ma szerokie pole do popisu, by dyplomatycznie wykorzystać tę różnicę zdań pomiędzy Paryżem a Kijowem w sprawie Moskwy. Tak, by nie powtórzyła się sytuacja z czasów Poroszenki, gdy Ukraina wolała szukać porozumienia poza i ponad głowami Polaków. Ówczesny prezydent uczynił swoim kampanijnym hasłem triadę wartości „armia, mowa, wira” (ukr. armia, język, wiara), budował wizerunek



Wołodymyr Zelenski wbrew krytykom
na razie woli Zachód od Rosji

FOT. DANIIL SHAMKIN/NURPHOTO/GETTY IMAGES

silnego „wodza naczelnego”, cieszył się poparciem patriotycznie i nacjonalistycznie nastawionego elektoratu, dlatego też w sprawach polityki historycznej Warszawa nie ustępował. Jego następca takich zobowiązań nie ma...

Polski prezydent, jak wiadomo, nie pojawił się na inauguracji Wołodymyra Zełenskigo. Straciliśmy w ten sposób szansę na błyskawiczne nowe otwarcie w relacjach z trudnym partnerem. Osobista otwartość niedoświadczonego polityka, który jeszcze wczoraj był artystą, niezbyt zresztą w polityce zorientowanym, dawała pole do popisu dla Andrzeja Dudy. Wymierne efekty bliskiej współpracy Kwaśniewskiego i Kuczmy (sprzyjający klimat do odnowienia cmentarza Orląt Lwowskich, uroczystości rocznicowe na Wołyniu, Okrągły Stół w czasie pomarańczowej rewolucji) pokazały już, jak wiele można załatwić w bezpośrednich kontaktach z partnerami w Kijowie. Być może udałoby się przenieść udział Polski w procesie pokojowym.

– Trudno jednoznacznie przewidywać kierunki polityki zagranicznej prezydenta Zełenskigo – mówi „Do Rzeczy” Sofija Fedyna, politolog i dziennikarka, otwarcie sympatyzująca z Poroszenką. – W rozmowach z zachodnimi politykami wygłasza opinie absolutnie zgodne z linią poprzednika. Widzimy natomiast, że gdy tylko Zełenski wraca na Ukrainę, z jego kręgów można usłyszeć deklaracje dialogu z agresorem, ustępstw wobec agresora, wstrzymania ognia. A tego typu deklaracje są sprzeczne z priorytetami ukraińskiej polityki zagranicznej – dodaje. Jej zdaniem dostrzegalna jest też niebezpieczna dla Kijowa retoryka, dająca się streścić w rosyjskim zwrocie „kakaja raznica” (co za różnica). Zełenski często podczas swoich występów podkreśla, że nie ma różnicy, w jakim języku mówią Ukraińcy, ważne, że „są wszyscy razem”. Z punktu widzenia tożsamościowo zorientowanego elektoratu Poroszenki to oczywiście niedopuszczalne, jako że język rosyjski jest „językiem agresora”. Natomiast z punktu widzenia szerokich mas wyborców Zełenskigo to oznaka tolerancji kulturowej i otwartości obecnego prezydenta, który stara się nie dzielić obywateli na lepszych i gorszych. – Niebezpieczna jest też skłonność Zełenskigo do odwoływania się do woli narodu. W kraju, który walczy z obcym najeźdźcą, to nie masy powinny decydować – uważa Sofija Fedyna. – Nie możemy być pewni żadnej deklaracji prezydenta w stu pro-

centach. Ekipa Zełenskigo wycofuje się z wielu wyborczych deklaracji, które dziś przedstawiane są jako „żart” bądź też „nieporozumienie”. Jeśli my sami nie bronimy własnego interesu, to dlaczego zachodni partnerzy mają próbować nas bronić?! – dodaje. Fedyna uważa, że balansowanie Zełenskigo między Wschodem a Zachodem zagraża ukraińskiej suwerenności.

– Polityka historyczna nie jest najważniejszym punktem w działalności prezydenta Zełenskigo. Zostanie ona zmieniona, ale nie od razu. Dla Zełenskigo ważne będą te elementy polityki historycznej, które przede wszystkim sprzyjają pogodzeniu różnych wrażliwości wewnątrz ukraińskiego społeczeństwa – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Wasyl Rasewycz, ukraiński historyk. – Można przewidzieć, że polityka pamięci nie będzie już banderocentryczna czy OUN-centryczna. Jej podstawą przestanie być zachodnio-ukraińska koncepcja „walki narodowowyzwolenczej”. Jednak, aby w pełni zażegnać konflikty, nabrzmiałe przez ostatnie pięć lat, potrzebne będą zmiany w ustawach historycznych, gloryfikujących OUN i UPA – dodaje Rasewycz.

W HISTORII BEZ ZMIAN?

Partia Zełenskigo Sługa Narodu lideruje w sondażach przed wyborami parlamentarnymi. Jednak, zdaniem Rasewycza, nawet mając większość w Radzie Najwyższej prezydent nie zaryzykuje ostrych sporów o politykę historyczną. Przede

Wołodymyr Zełenski przygotowuje się do rozmów pokojowych z Putinem, Macronem i Merkel

wszystkim dlatego, że dałby wówczas swoim przeciwnikom argumenty potwierdzające często formułowaną tezę, jakoby Zełenski planował zwrot w stronę Rosji. – Porządek dzienny polityki historycznej poprzedniej ekipy był formułowany przez Kreml. Kiedy Rosja występowała z krytyką OUN, UPA, Szuchewycza i Bandery, reakcją państwa była obrona bohaterów narodowych – mówi Rasewycz. – Nie uważam Zełenskigo za polityka prorosyjskiego. Moim zdaniem Poroszenkę więcej łączyło z elitami rosyjskimi niż jego następcę.

Dlatego zmiana polityki pamięci będzie konsekwentna, ale powolna. Należałoby stworzyć nową komisję polskich i ukraińskich historyków, ale bez udziału większości uczestników dotychczasowych spotkań, odbywających się w podobnej formule, ponieważ to oni doprowadzili do katastrofy w relacjach polsko-ukraińskich. Badacze przeszłości nie powinni „walczyć na froncie” z wrogiem, ale szukać sposobów wyjścia z trudnej sytuacji.

– Za stosunki polsko-ukraińskie w ekipie Zełenskigo prawdopodobnie będzie odpowiadać Irina Wereszczuk, zajmująca 29. miejsce na liście wyborczej Sługi Narodu – uważa Eugeniusz Biłonożko, redaktor naczelny portalu polonijnego Polonews. Wereszczuk to bliska współpracowniczka Wiktora Juszczenki. Była stypendystką programu „Kirkland Polska”, oferującego stypendia na dwusemestralne studia doskonalące na polskich uczelniach.

– Obecnie widać, że deklaracje oraz kroki polityczne prawdydenta Zełenskigo w sprawach polityki zagranicznej to kontynuacja działań Poroszenki – zauważa Biłonożko. Dodaje jednak: – Wyjątek stanowi kwestia relacji polsko-ukraińskich. Poroszenko grał kartą narodowców i, jak wiemy, ugrał jedynie 25 proc. głosów w wyborach prezydenckich. Zełenski nie potrzebuje wsparcia twardego elektoratu nacjonalistów. Polska powinna złożyć ofertę – uważa. Jego zdaniem już widać pewne sygnały poprawy stosunków. Świadczą o tym liczne ostatnio wizyty polskich urzędników na Ukrainie. Nie bez znaczenia była też wizyta Agaty Kornhauser-Dudy. Pierwsza dama, w ramach polsko-ukraińskiego Dnia Dziecka i akcji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, spotkała się m.in. z polskimi rodzinami na Ukrainie. Jedynie na skrajnej prawicy pojawiły się głosy oburzenia, gdy małżonka prezydenta odwiedziła groby żołnierzy Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, którzy walczyli z Polakami o Lwów w latach 1918–1919.

– Formalnie polityka historyczna nie jest domeną prezydenta. Kwestia pomników zejdzie na szczebel samorządów – komentuje Eugeniusz Biłonożko.

Zełenski przygotowuje się do rozmów pokojowych z Putinem, Macronem i Merkel. Leonid Kuczma, którego prezydent ponownie zaprosił do stołu negocjacyjnego, zaproponował zniesienie blokady Donbasu. Obietnica zakończenia wojny była jedną z najważniejszych obietnic, złożonych przez Zełenskigo w czasie kampanii wyborczej. © Wszelkie prawa zastrzeżone



BANK
GOSPODARSTWA
KRAJOWEGO



Od 95 lat wspieramy rozwój Polski i Polaków

Nasze działania wspierają rozwój firm, poprawiają życie mieszkańców kraju. Pomagamy tworzyć funkcjonalne miasta, odnawiać kultowe miejsca, dbamy o lokalne społeczności. Finansujemy budowę dróg, sieci energetycznych, mieszkań. Uczestniczymy w inwestycjach strategicznych dla przyszłości Polski. Budujemy partnerską współpracę biznesu, sektora publicznego i finansowego.

Dziecinny ruch



Piotr Włoczyk

Część z nich rezygnuje z potomstwa z troski o klimat, a część z troski o komfortowe życie. Antydziecięcy ruch, czyniący cnotę z nieposiadania pociech, robi na Zachodzie coraz większą karierę

Podczas gdy większość polskich mediów na Dzień Dziecka przygotowała tradycyjne materiały na ten temat, „Gazeta Wyborcza” postanowiła wykorzystać okazję, by przedstawić nieco mniej ortodoksyjne spojrzenie na dzieci.

„Nie urodzę dla was. Nie chcę, by moje dzieci dorastały w świecie, który stoi na skraju ekologicznej katastrofy” – pod takim tytułem „GW” promowała wywiad, który ukazał się w numerze 1 czerwca. Rozmówczynią „GW” była Blythe Pepino, 33-letnia Brytyjka, którą gazeta przedstawiła jako „frontmenkę i tekściarkę zespołu Mesadorm, założycielkę ruchu Birth Strike, którego członkowie rezygnują z potomstwa, żeby zwrócić uwagę na katastrofę klimatyczną”.

Gdyby za tak oryginalną filozofią życia stała sama wokalistka Mesadormu, można byłoby machnąć na to ręką. Sęk w tym, że Birth Strike zyskuje na popularności wśród ekoaktywistów, a promowana przez tych najbardziej radykalnych

„zielonych” wizja jak najmniej „emisyjnych” (czyli jak najmniej szkodliwych) rodzin przebija się coraz bardziej do świadomości zachodnich społeczeństw.

W wywiadzie z szefową Birth Strike’u uderza odwracanie pojęć i kompletnie instrumentalne podejście do macierzyństwa. „Wydanie potomstwa na świat, który zmierza ku katastrofie, byłoby skrajnie nieodpowiedzialne, egoistyczne – czytamy w »Gazecie Wyborczej«. – Zamiast tracić energię na karmienie niemowlęcia albo całodzienną opiekę nad nim, mogę ją spożytkować na ratowanie środowiska dla tych młodych ludzi, którzy już żyją”.

Posiadanie dziecka w świecie dotkniętym zmianami klimatycznymi to egoizm, a karmienie niemowlęcia to strata energii...

CZY DZIECI SĄ OK?

Tak otwarte kwestionowanie wartości rodzicielstwa staje się ostatnio zwyczajnie modne wśród najbardziej postępowych członków zachodniej lewicy.

– To generalnie naukowy konsensus, że życie naszych dzieci będzie bardzo trudne, i to prowadzi wielu młodych ludzi do zadawania sensownego pytania: „Czy to OK mieć dzieci?” – powiedziała w lutym podczas relacji na żywo na swoim Instagramie Alexandria Ocasio-Cortez, popularna młoda kongresmenka z Partii Demokratycznej. Ocasio-Cortez, znana też jako AOC, to gorąca zwolenniczka wprowadzenia w USA socjalizmu, a także jedna z najgłośniejszych w Kongresie orędowniczek poszerzenia prawa do legalnej aborcji. Jej wypowiedź o dzieciach nie wzbudziła większego zdziwienia po lewej stronie amerykańskiej sceny politycznej, ale już z prawej strony poleciały na nią gromy.

– To po prostu stare wraca. Kwestionowanie przez AOC posiadania dzieci z powodu zmian klimatycznych to ta sama zaciekle antydziecięca retoryka, którą słyszeliśmy już wcześniej – mówiła na antenie Fox News Penny Nance, szefowa Concerned Women for America, chrześcijańskiej



podkreśla Pepino, była dla niej „wstrząsem”, który sprawił, że porzuciła myśli o posiadaniu potomstwa.

Jej ówczesny partner nie zaakceptował takiego rozwiązania, więc para się rozstała. Szefowa Birth Strike'u szybko jednak związała się z nowym partnerem, o sześć lat od niej młodszym, który – zdaniem Pepino – w pełni popiera jej decyzję. „Dzisiaj nasza relacja jest bardzo mocna i on akceptuje w pełni to, że skoro nie ma woli politycznej, by ze zmianami klimatu walczyć, to nie ma także szans na to, by zostać ojcem” – deklaruje stanowczo Pepino w rozmowie z „GW”.

Organizatorka strajku jest równocześnie aktywistką nowo powstałego „zielonego” ruchu Extinction Rebellion, którego członkowie często w bardzo radykalny sposób, siejąc chaos w centrach największych zachodnich metropolii, starają się zwrócić uwagę na swoje postulaty. Pepino jest oczywiście weganą, a w styczniu zrezygnowała nawet zupełnie z latania samolotami (pod wpływem nastoletniej szwedzkiej aktywistki Greta Thunberg). Jednak rezygnacja z dzieci to nowa jakość w świecie radykalnych „zielonych”.

58 TON CO₂

Skąd w ogóle wziął się pomysł, by powiązać rodzicielstwo z ochroną klimatu? W materiałach poruszających tę kwestię powtarzany jest wciąż jeden parametr: 58 ton CO₂ – tyle właśnie ma średnio „kosztować” rocznie każde dodatkowe dziecko. I właśnie na to badanie, opublikowane w 2017 r. przez czasopismo „Environmental Research Letters”, powołują się ludzie, którzy przekonują, że posiadanie dużej rodziny automatycznie wyklucza nas z grona obrońców klimatu.

Naukowcy, którzy przedstawili te wyliczenia, jasno stwierdzili, że rezygnacja z kolejnego dziecka to największy wkład w ratowanie Ziemi, jaki może uczynić jednostka. Kolejne „oszczędności” wydają się na tle śladu węglowego dziecka absurdalnie niewielkie. I tak jeżeli zrezygnujemy z poruszania się samochodem o napędzie spalinyowym, to zaoszczędzimy rocznie 2,4 tony CO₂, a rezygnacja z jednego lotu na trasie Europa–USA to tylko minus 1,6 tony CO₂ (mycie ubrań w zimnej wodzie to z kolei oszczędność na poziomie zaledwie 0,25 tony CO₂).

„Rozumiemy, że to są głęboko osobiste wybory. Ale nie możemy ignorować tego, jaki efekt wywiera na klimat nasz styl życia

– mówiła w wywiadzie dla »Guardiana« Kimberly Nicholas, szwedzka nauczycielka akademicka z Lund University, współautorka wspomnianego badania na temat wpływu dietności na klimat. – Ja sama nie mam dzieci, ale to jest wybór, który podejmuję i omawiam wraz z moim narzeczoną. Tak bardzo boimy się zmian klimatycznych, że z pewnością będzie to jeden z czynników, które wpłyną na naszą decyzję”.

CHILDFREE

W języku angielskim na określenie osoby nieposiadającej dziecka wystarczało do niedawna słowo „childless”. Teraz jednak karierę robi nowe określenie – „childfree” (wolny od dziecka), które jasno pokazuje nastawienie do rodzicielstwa. Wystarczy przejrzeć pod tym kątem media społecznościowe, by zobaczyć, jak wiele osób (również w związkach małżeńskich) z dumą podkreśla, że wiedzie wspaniałe życie, ponieważ jest ono „childfree”.

Każdy poważny ruch społeczny potrzebuje swojej „biblii” i wydaje się, że ludzie „wolni od dzieci” właśnie dostali do ręki taką pozycję. W księgarniach na początku czerwca ukazała się książka amerykańskiej socjolog (specjalistki od gender) z University of Maine, dr Amy Blackstone, pod wszystko mówiącym tytułem „Wolni od dzieci z własnego wyboru. Ruch zmieniający definicję rodziny i tworzący nową erę niezależności”. Autorka dumnie podkreśla na każdym kroku, że jest kobietą „childfree”. Książka powstała na bazie badań, które dr Blackstone przeprowadziła na grupie 50 kobiet i 20 mężczyzn, którzy deklarowali się jako „childfree”.

Jak zachwala książkę jej wydawca, autorka „od 2008 r. bada ludzi, którzy wybrali wolność od dzieci – tak samo jak ona sama i jej mąż. [...] Blackstone zagłębia się w historię ruchu ludzi wolnych od dzieci od jego początku aż do dziś, badając płeć, rasę, orientację seksualną, politykę, stosunek do środowiska i feminizm, obalając mity na temat nierodzących (sic!), i przedstawia radykalnie brzmiącą myśl, że wspieranie ludzi wolnych od dzieci może prowadzić do lepszego życia i społeczeństwa dla wszystkich”.

Książka, która w sposób „naukowy” pokazuje, że filozofia „childfree” może prowadzić do lepszego życia. Czy to będzie przełomowy moment w „historii ruchu ludzi wolnych od dzieci”, który nada mu nowej dynamiki?

organizacji zrzeszającej Amerykanki walczące o utrzymanie w społeczeństwie tradycyjnych wartości. – Słyszałyśmy już to pod koniec lat 60., kiedy straszono nas przeludnieniem i wzywano nas do ograniczenia wielkości naszych rodzin, ponieważ miały nam grozić armagedon.

Na razie jednak AOC nie posłała w swoich deklaracjach tak daleko jak wokalistka Mesadorm i nie ogłosiła, że w obronie klimatu oficjalnie rezygnuje z posiadania potomstwa.

Sama Blythe Pepino deklaruje, że jeszcze rok temu poważnie myślała o macierzyństwie, ponieważ „czuła tykanie zegara biologicznego”. Momentem przełomowym miała być publikacja jesienią zeszłego roku raportu Międzyrządowego Panelu ds. Zmiany Klimatu. Eksperci ostrzegają w nim, że należy utrzymać wzrost średniej temperatury na Ziemi poniżej 1,5 st. C w stosunku do okresu przedindustrialnego, ponieważ w innym przypadku grozi nam katastrofa. Publikacja raportu, jak



Łukasz Warzecha

Gdy ikona brytyjskiego konserwatyzmu była dekorowana przez prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Wielkim Orderu Zasług RP, brytyjski ambasador brał udział w paradzie LGBT

75-letni Scruton to człowiek instytucja, a zarazem postać wybitna, nawet pomnikowa. Filozof, publicysta, znawca muzyki i architektury. Taki brytyjski Ryszard Legutko, tyle że na tle narastającej w Zjednoczonym Królestwie poprawności politycznej dużo bardziej kontrowersyjny. Jego książka „Czym jest konserwatyzm”, wydana pierwszy raz jeszcze we wczesnych latach 80., to jedna z fundamentalnych pozycji dla konserwatywnej doktryny, obok książek autorów takich jak Edmund Burke, Gilbert Keith Chesterton czy Michael Oakshott. Całość dorobku Scrutona – znaczna część przetłumaczona na polski – to kilkadziesiąt pozycji, nie licząc obszernych esejów i tekstów publicystycznych.

Polscy czytelnicy mają szansę za jakiś czas poznać jeszcze inną twarz sir Rogera. Krakowska Fundacja InCanto zbierała bowiem pieniądze na wydanie tomu jego esejów o muzyce, opartego na angielskim zbiorze „Music Matters”. Zbiórka przyniosła kilkanaście tysięcy złotych, książka się ukaże. W oryginale rozważania sir Rogera na temat muzyki – ale również polityki – można znaleźć na stronie Future Symphony Institute.

POGLĄDY SCRUTONA

O Scrutonie zrobiło się głośno w Wielkiej Brytanii w kwietniu. Najpierw w listopadzie ubiegłego roku minister budownictwa w rządzie Theresy May James Brokenshire mianował sir Rogera szefem komisji do spraw estetyki budownictwa (Building Better, Building Beautiful Commission). Mówił o nim wtedy, odpowiadając na pytanie zadane w Izbie Gmin: „Profesor sir Roger Scruton jest światowym autorytetem w sprawach estetyki, zaś za zasługi dla filozofii, nauczania i edukacji publicznej otrzymał tytuł szlachecki w 2016 r. Jest jednym



Rugowanie filozofa

z najwybitniejszych żyjących filozofów w naszym kraju”.

Zadający pytania laburzystowski parlamentarzysta Andrew Gwynne dążył dalej, pytając, czy minister znał „wcześniej wyrażane poglądy” Scrutona. Gwynne’owi nie chodziło jednak o poglądy filozofa na architekturę, urbanistykę czy budownictwo. Gwynne grzmiał: „Kiedy pan minister został uświadomiony co do komentarza sir Rogera, że homoseksualizm »nie jest normalny«, oraz co do jego porównań homoseksualizmu do kaziroddztwa? Czy był pan świadomy, że sir Roger narzekał, iż geje mają obsesję na punkcie młodych ludzi? Czy przeprosi pan teraz wspólnotę LGBT+ za nominację człowieka, który wyraża takie poglądy?”. Gwynne oburzał się również na to, że Scruton wychwalał Viktora Orbána.

James Brokenshire replikował, mówiąc, że ataki na sir Rogera są bezzasad-

ne, a Gwynne powtarza bardzo niesprawiedliwe opinie. Podkreślał, że Scruton zrobił wiele, aby bronić wolności słowa i opinii.

Ten sam James Brokenshire zrobił zaledwie kilka miesięcy później zwrot o 180 stopni i w kwietniu tego roku odwołał Scrutona z jego funkcji za, jak to określił rzecznik ministerstwa, jego „nieakceptowalne komentarze”. Chodziło o wypowiedź dla brytyjskiego lewicowego tygodnika „New Statesman”. Jak to bywa w brytyjskiej prasie, nie był to spisany wywiad, ale tekst autorstwa redaktora tygodnika George’a Eatona, będący relacją z godzinnej rozmowy z filozofem.

Reklamując ów tekst, Eaton umieścił na Twitterze kilka rzekomych „skandalicznych” cytatów ze Scrutona. Po pierwsze – Scruton miał stwierdzić, że islamofobia to „propagandowe pojęcie,



FOT. ALEXANDRA SZMIDEL/SHUTTERSTOCK/REPORTER

śniej nagranie zdobył publicysta Douglas Murray i opierając się na nim, na łamach konserwatywnego „Spectatora” oskarżył Eatona o zafałszowanie słów Scrutona. „New Statesman” wdrożył wówczas „wewnętrzne dochodzenie”.

Ostatecznie okazało się, że stwierdzenie o Chińczykach było kompletnie wyjęte z kontekstu, który całkowicie zmieniał jego sens, a pozostałe sensacyjne cytaty, przytoczone przez Eatona, nabierały innego wydźwięku, umieszczone w całości rozmowy. Sytuację celnie opisał dziennik „Mail” w swoim niedzielnym wydaniu, tytułując dotyczący jej tekst: „Wrobiony przez policję myśli”. I choć złe intencje redaktora „New Statesmana” nie budziły już wątpliwości, minister sir Rogera na stanowisko nie przywrócił.

CIEPŁO O WĘGRZECH I POLSCE

Brytyjska lewica nie cierpi konserwatywnego filozofa. Oskarża go o islamofobię, antysemityzm i inne grzechy. Sam Scruton z kolei wydaje się wręcz czerpać przyjemność z drażnienia lewicy, nic sobie nie robiąc z reguł politpoprawności. W 2013 r. antyhomofobiczne regulacje, uchwalone we Włoszech, nazywał stalinowskimi w duchu. Krytykował skupienie się ekologów na kwestii globalnego ocieplenia, nie odcinając się zarazem od konserwatywnych wątków ekologii. Porozumienia o ograniczeniu emisji gazów cieplarnianych nazywał wprost „jednym wielkim nonsensem”. Bronił Viktora Orbána, którego zna od ponad 20 lat. W wywiadzie udzielonym podczas pobytu w Budapeszcie w 2017 r. przekonywał, że węgierski premier z pewnością nie jest typem „demagogicznego tyrana”, którego próbuje z niego zrobić liberalny establishment. Zarazem jednak o Donaldzie Trumpie mówił, że „owszem, ma może jakieś konserwatywne instynkty, ale bądźmy szczerzy, jego myśli nie są dłuższe niż 140 znaków” (tyle wynosił ówczesny limit długości wpisu na Twitterze).

Scruton upatruje nadziei na ocalenie tradycyjnych wartości i zdrowego rozsądku w naszej części Europy. Ciepło wyraża się i o Węgrzech, i o Polsce. Podczas niedawnej wizyty w Polsce został zaproszony do wygłoszenia wystąpienia podczas IV Szczytu Przewodniczących Parlamentów Państw Europy Środkowej i Wschodniej (EUROWAW2019). Filozof mówił między innymi:

„Od chwili, gdy w 1980 r. ujawniłem się jako obrońca wartości konserwatywnych przeciwko socjalistycznej ortodoksji, moje życie stało się jedną długą serią ataków, mających na celu podważenie mojej pozycji jako publicznego intelektualisty. [...] Tak naprawdę moje pierwsze prawdziwe doświadczenie wolności intelektualnej było tutaj w Polsce, gdzie przyjeżdżałem, aby przemawiać na konferencjach i prywatnych seminariach, zorganizowanych przez niewielką grupę ludzi z Wielkiej Brytanii, którzy, tak jak ja, chcieli nawiązać kontakt z innymi dysydentami za żelazną kurtyną. W Polsce powszechna pogarda dla systemu komunistycznego oznaczała, że zarówno studenci, jak i profesorowie byli gotowi do szeroko pojętej dyskusji. Dla nich konserwyzm nie był grzechem ani herezją, ale możliwym światopoglądem [...]”.

Zarzut »populizmu« jest wymierzony przeciwko ruchom na rzecz niezależności i odnowy narodowej głównie po to, aby przykryć fakt, że cieszą się powszechnym poparciem”.

Brytyjski filozof zwracał uwagę, że kraje postkomunistycznej Europy mają przed sobą niełatwe zadanie pogodzenia dwóch sposobów myślenia: narodowego i obywatelskiego. Wskazywał, że demokracja polega również na tym, aby pogodzić się z istnieniem drugiej strony – ludzi, którzy nie podzielają naszych poglądów.

Jego stosunek do konfliktu lewicy z konserwatywnymi wartościami, do Europy Środkowej, do oskarżeń niektórych rządzących tam partii o populizm, do poprawności politycznej wszelkiego rodzaju sprawia, że Scruton jest dziś milej widziany na salonach Budapesztu czy Warszawy niż Londynu. Być może najlepiej pokazuje to fakt, że zaproszenie na uroczystość udekorowania Brytyjczyka Orderem Zasługi otrzymał brytyjski ambasador, ale nie pofatygował się do pałacu prezydenckiego. Jonathan Knott wolał brylować na Paradzie Równości, niż pogratulować swojemu ziomkowi honoru, jakim obdarzyło go polskie państwo.

Sir Roger zaś mówi, że w Europie Środkowej czuje się jak u siebie, jak u domu. Może nawet bardziej niż w Wielkiej Brytanii. Narzeka tylko na jedno: upodobanie do długich przemówień przy każdej okazji, poprzedzonych niekończącymi się wyliczankami tytułów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

wynalezione przez Bractwo Muzułmańskie, aby powstrzymać dyskusję o poważnym problemie”. Po drugie – Scruton miał powiedzieć, że „każdy Chińczyk to replika innego Chińczyka”. Po trzecie – miał wskazać, iż „każdy, kto twierdzi, że na Węgrzech nie ma imperium Sorosa, mijają się z faktami”. Po czwarte – za nonsens miał Scruton uznać oskarżanie Viktora Orbána o antysemityzm i islamofobię oraz dodać, że „Węgrzy byli skrajnie zaniepokojeni nagłą inwazją wielkich mas muzułmanów”.

W Wielkiej Brytanii wybuchł skandal, podsycany gorliwie przez polityków Labour Party. Dymisja Scrutona nastąpiła zaledwie kilka godzin po publikacji. Eaton był najwyraźniej zachwycony, bo na Instagramie opublikował własne zdjęcie z kieliszkiem szampana w ręku i obraźliwymi komentarzami pod adresem Scrutona.

Tyle że za moment pojawiły się wątpliwości, czy aby dziennikarz nie wykoślawił słów swojego rozmówcy. Te wątpliwości wzrosły, gdy „New Statesman” odmówił ujawnienia transkryptu rozmowy. Zrobił to dopiero, gdy wcze-



Minimalnie więcej?



Stefan Sękowski

Dzisiaj płaca minimalna odgrywa znacznie większą rolę na rynku pracy niż kiedyś. To nie jest czas na radosne podwyżki w nieskończoność

Chcemy, żeby płaca była bardziej godna, aby ludzie zarabiali na poziomie europejskim. Stąd podwyżka płacy minimalnej o 200 zł – mówił w połowie czerwca premier Mateusz Morawiecki. Jeśli jego zapowiedź podniesienia najniższego dopuszczalnego wynagrodzenia miesięcznego do 2450 zł w 2020 r. zostanie zrealizowana, będzie

to oznaczało, że za rządów PiS płaca minimalna wzrośnie łącznie o 700 zł. Szef rządu stwierdził nawet, że „to nasze niezapowiadane 700+”.

Tak oczywiście nie jest, bo środki, które mają zostać przeznaczone na podwyżki wynikające z wyższej płacy minimalnej, wypracowywane są w przedsiębiorstwach, a nie w zaciszu rządowych gabinetów. Jednak na pierwszy rzut oka może się wydawać, że faktycznie dzięki tej decyzji rosną płace najmniej wykwalifikowanych Polaków (ci lepiej wykształceni i mający specjalistyczny fach w ręku i tak zarabialiby więcej). Mamy rekordowo niskie bezrobocie i nie wygląda na to, by płaca minimalna miała pociągać za sobą negatywne skutki, wieszczane przez liberalnych ekonomistów, takie jak wypychanie ludzi świadczących pracę gorzej wycenianą przez pracodawców poza rynek pracy. Czy tak jest rzeczywiście?

Płaca minimalna i tak będzie musiała wzrosnąć, chyba że PiS chciałby zmienić ustawę o minimalnym wynagrodzeniu za pracę.

I TAK UROŚNIE

Ta ustawa bowiem przewiduje, że należy ją rokrocznie podwyższać i to nie mniej niż o prognozowany na dany rok wskaźnik cen. Dodatkowo jeśli ta nie przekroczy poziomu 50 proc. przeciętnego wynagrodzenia, to należy ją zwiększyć o dwie trzecie prognozowanego na 2020 r. wzrostu produktu krajowego brutto. Oznacza to, że płaca minimalna w przyszłym roku musi zgodnie z prawem wynieść co najmniej ok. 2360 zł. Propozycje rząd przedstawia do negocjacji Radzie Dialogu Społecznego, w której spotykają się oprócz polityków także przedstawiciele przedsiębiorców i związków zawodowych. Jeśli te się nie powiodą, to rząd samodzielnie ustala



kwalifikacjach. Nie ma siły, by rynek tego nie zauważył – dodaje.

DRUGA STRONA MEDALU

Także ekonomista dr Sławomir Kuźmar z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu widzi powód, dla którego płaca minimalna nie ma negatywnego wpływu na rynek pracy, na gospodarczą prosperity. – Mamy niespotykaną sytuację na rynku pracy związaną z bardzo niskim bezrobociem. Jednak gdybyśmy mieli trudniejszą, mogłoby to się źle skończyć. Tym bardziej że zgodnie z ustawą nie można obniżyć już raz podniesionej płacy minimalnej – tłumaczy w rozmowie z „Do Rzeczy”.

Sytuacja może się pogorszyć z wielu powodów: gdyby nastąpiło gospodarcze spowolnienie lub gdyby część emigrantów zarobkowych zaczęła wracać do Polski np. z Wielkiej Brytanii. Profesor Rostkowski dodaje jeszcze jeden aspekt: rozwój technologiczny. – W firmie, w której kiedyś pracowałem, już w latach 90. XX w. dysponowaliśmy technologią, która pozwalała zastąpić kasjerów w sklepach. Była jednak nieopłacalna. Technologia jednak tanieje, a praca drożeje. Ustalanie wysokiej bariery wejścia zachęca do tego, by zastępować ludzi robotami – tłumaczy. To już się dzieje, także w Polsce, by wskazać choćby w pełni zautomatyzowany magazyn firmy Amica we Wronkach czy bezobsługowy sklep sieci Bio Family w Poznaniu.

Ponadto już wcześniej było widać wady płacy minimalnej. Jak wskazywali w 2015 r. ekonomiści Agnieszka Kamińska i Piotr Lewandowski z Instytutu Badań Strukturalnych w badaniu „Wpływ płacy minimalnej na rynek pracy o znacznym odsetku zatrudnienia czasowego”, „w okresie 2002–2013 przeciętnie 317 tys. osób w wieku od 15 do 54 lat traciło rokrocznie zatrudnienie. Z tego 37 proc. przypadków utraty pracy można przypisać wpływowi płacy minimalnej, co daje 116 tys. osób rocznie”. Dotyka to przede wszystkim osób młodszych, niskokwalifikowanych i kobiet.

Ponadto problemem jest to, że w naszym kraju ustala się jednolitą płacę minimalną dla całego kraju. – Mamy w Polsce powiaty, w których bezrobocie sięga 20 proc., i można to powiązać z płacą minimalną, zwłaszcza w prostych zawodach. Należałoby ją zróżnicować regionalnie i branżowo, jak to jest w wielu krajach Europy – mówi Kuźmar.

Rządzący zdają się nie zauważać tych zagrożeń. Mateusz Morawiecki mówił wręcz, że chciałby, by coraz więcej ludzi zarabiał powyżej płacy minimalnej. Jednak – jak wskazują wyniki badań IBS – odsetek osób, których zarobki nie przekraczają płacy minimalnej, wraz z jej wzrostem rośnie, a nie maleje. Z raportu Głównego Urzędu Statystycznego „Struktura wynagrodzeń według zawodów w październiku 2016 r.” z 2018 r. (to najświeższe dane) wynikało, że takich osób było w Polsce blisko 1,5 mln, czyli ok. 13 proc. wszystkich zatrudnionych. Trudno, żeby było inaczej, skoro dynamika wzrostu jest znacznie większa niż średniej krajowej – podczas gdy „minimalka” w ciągu 12 lat wzrosła o 140 proc., przeciętne wynagrodzenie „tylko” o 125 proc. Także najnowsza propozycja idzie na przekór marzeniu premiera.

GOTOWI NA CHUDE LATA?

Hipotetycznie, żeby uniknąć negatywnych skutków płacy minimalnej, można byłoby ją znieść. To jednak tylko teoria, bo żadna licząca się siła polityczna na to się nie zdecyduje. Zresztą nie przesadzajmy też z jej negatywnymi skutkami. Badania ekonomistów nie wskazują jednoznacznie na negatywne skutki płacy minimalnej: wszystko zależy od tego, jaka jest sytuacja na rynku pracy i jak wysoka jest płaca minimalna. Jest grono pracowników, którym ona podwyższa wynagrodzenia (wbrew woli przedsiębiorców, ale nie o tym piszę), i jeśli bierze ona pod uwagę realia gospodarki, to – jak widać i po polskim przykładzie – nie musi przynosić dużych szkód. Niemniej przydałoby się zróżnicowanie regionalne czy branżowe jej wysokości, bo głaichszaltowanie pod tym względem nie służy biedniejszym województwom bądź powiatom oraz pracownikom mniej wykwalifikowanym.

Na razie jednak na to się nie zanosi, lecz prędzej na licytację, kto „da” więcej. Już OPZZ zdążył ogłosić, że propozycja Morawieckiego jest... zbyt niska i że płaca minimalna powinna od przyszłego roku wynosić 2520 zł brutto. Politycy chętnie wezmą udział w tej zabawie, bo ta podwyżka oznacza także wyższe wpływy do budżetu. A zapłacą i tak przedsiębiorstwa, ze środków wspólnie wypracowanych przez zatrudnionych i wnoszących know-how oraz kapitał właścicieli firm.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

wysokość płacy minimalnej w kolejnym roku.

Płaca minimalna odgrywa teraz zupełnie inną rolę niż kiedyś. Jeszcze w 2007 r. płaca minimalna jako odsetek przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce wynosiła 34,8 proc.; w ubiegłym roku aż 45,8 proc. (w pierwszym kwartale tego roku lekko spadła, do 45,4 proc.). Między innymi z tego powodu, że płaca minimalna była stosunkowo niska, nie odgrywała ważnej roli na rynku pracy. – Jeśli cenę minimalną samochodu ustalimy na 20 gr, to nie będzie to miało znaczenia, ale jeśli na milion złotych, to może to spowodować, że prawie nikt go nie kupi. Podobnie jest z płacą minimalną. Długo była fikcją – mówi „Do Rzeczy” ekonomista prof. Tomasz Rostkowski ze Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. – Ponadto 2,5 mln Polaków zachęcono do wyjazdu z Polski, często byli to ludzie o wysokich



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

„Piątka”
Schetyny?

Czy ktoś zna program Platformy? Rzecz jasna poza tymi, którzy go napisali, no i może jeszcze tymi, którzy go zatwierdzili. Obawiam się, że nawet znaczna część członków PO ma o nim co najwyżej mgliste pojęcie, nie wspominając o zdecydowanej większości jej wyborców. W każdym razie Tomaszowi Lisowi, szefowi „Newsweeka”, który nie kryje się z kibicowaniem przeciwnikom PiS, wyszło podczas osobiście przeprowadzonego sondażu, że programu Koalicji Europejskiej (a Platforma jest jej filarem), „nie znał nikt. Literalnie nikt. Żadnego punktu”.

Zamiast „piątki” – „jedynka” Schetyny, czyli zobowiązanie do bycia „najsukuteczniejszym anty-PiS-em”, miała zastąpić wszystko inne. Jak się okazuje, to jednak za mało, by wygrać z PiS, który oprócz tego, że jest anty-Platformą, od dawna ma też niezwykle konkretny program, często sprowadzany do kolejnych „piątek” Kaczyńskiego, co po stronie anty-PiS zwykle wzbudza jedynie wybuchy śmiechu i totalną – czasami uzasadnioną – krytykę poszczególnych obietnic.

Czym więc, oprócz tego, że obnosi się ze swą anty-PiS-owskością, Platforma zamierza skusić wyborców, by na nią głosowali, czyli co zamierza dla nich uczynić po wyborach, i w dodatku jak pragnie ich przekonać, że w odróżnieniu od swych rządów w latach 2007–2015, kiedy nie realizowała kluczowych obietnic, tym razem swe przedwyborcze przyrzeczenia wypełni?

W zasadzie chyba wiadomo, że PO nie zamierza

likwidować programu „500+” ani odbierać pozostałych przywilejów socjalnych, które zafundowano za rządów PiS. Od niedawna wiadomo też, że chce zdecentralizować Polskę do takiego stopnia, iż naprawdę trudno to uznać za pomysł rozsądny, zważywszy choćby tylko na geopolityczne położenie Polski, a przecież to niejedyny powód, który przemawia przeciw temu rozwiązaniu.

Wszelako wciąż brak jasnej deklaracji, czy PO na powrót podniesie wiek emerytalny. Czy znów pośle sześciolatki do szkół? A jeśli nie, to dlaczego? Czy myliła się, forsując te zmiany za swych rządów? Dalej: Czy PO przywróci gimnazja i zlikwiduje przywróconą przez rząd PiS szkołę ośmioklasową? Chyba nie tylko przeciętny wyborca może też czuć się zdezorientowany, nie mając pewności, czy pozostają w mocy wiecowe zapowiedzi szefa PO, że po powrocie do władzy jego partia zlikwiduje Centralne Biuro Antykorupcyjne oraz IPN.

A czy ktoś wie, czy Platforma zamierza obniżyć podatki? Na przykład VAT, który podniosła? A może jest zdeterminowana tym razem nie tylko złożyć, lecz także wreszcie zrealizować swą obietnicę z 2005 r. – 3 x 15 – 15 proc. PIT, CIT i PIT? Albo chciałaby porwać podatników obietnicą, że po dojściu do władzy sprawi, iż nie tylko rolnicy, lecz także nierolnicy nie będą musieli płacić PIT? No, ale jeśli tak, to musiałaby też jasno dowieść, że wie, gdzie znaleźć na to pieniądze. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Kto płaci
więcej

Przy okazji testu przedsięwzięcia powróciła dyskusja o systemie podatkowym w Polsce. W 2014 r. w książce „Ekonomia w matriksie” pokazałem przykłady dwóch osób – „bogacza” zarabiającego 30 tys. zł miesięcznie i „biedniaka” z miesięczną pensją w wysokości 2 tys. zł. Uwzględniając wszystkie obciążenia podatkowe (PIT, ZUS, VAT, akcyza, podatek od nieruchomości) i typowe wydatki takiej osoby, pokazałem, że bogacz płaci podatki w wysokości 37 proc. swoich dochodów, a biedniak 57 proc.

Stopy podatkowe poszczególnych podatków wtedy wynosiły: bogacz (ZUS i pokrewne – 14,8, PIT – 16,9, pośrednie – 4,7, od nieruchomości – 0,3) i biedniak (ZUS i pokrewne – 35, PIT – 4,6, pośrednie – 16,9, od nieruchomości – 0,7). Widać, że o ile mamy progresywny podatek PIT, o tyle ta progresywność jest z nawiązką niwelowana przez degresywność ZUS i podatków pośrednich.

Degresywność podatków pośrednich wynika z tego, że biedniak wydaje wszystkie swoje dochody, które opodatkowane są podatkami pośrednimi od konsumpcji, bogacz zaś wydaje na bieżącą konsumpcję tylko część swoich dochodów. Degresywność ZUS i pokrewnych wynika z tzw. 30-krotności, czyli po osiągnięciu 30 średnich krajowych przestaje się płacić składki emerytalne.

Bieżące dochody sektora finansów publicznych po-

chodzą z wysokiego opodatkowania osób niezamożnych i niskiego opodatkowania osób bogatych, liczonego jako procent ich bieżących dochodów z pracy. Ciekawe, że polskie społeczeństwo akceptuje taki system podatkowy. W demokracji wysoko opodatkowana większość powinna wybrać do władzy partię, która obieca jego korektę. Jest ona możliwa.

Po pierwsze, można zwiększyć progresywność PIT, ale osoby zamożne potrafią unikać opodatkowania, gdy stawka podatkowa staje się bardzo wysoka. Po drugie, można znieść 30-krotność w ZUS, ale to oznacza przesunięcie problemu na przyszłą generację, gdy trzeba będzie wypłacać wysokie emerytury. No, chyba że założymy, iż standardy wprowadzone w Polsce przez Ministra Sami Wiecie Którego będą obowiązywały w przyszłości i gdy przyjdzie czas wypłacania wysokich emerytur, uchwali się, że nie wypłacamy więcej niż pewne maksimum.

Trzeci, najskuteczniejszy sposób to wprowadzenie podatku katastralnego. Na razie jednak żadna licząca się partia polityczna nie proponuje wprowadzenia podatku katastralnego, nawet neutralnego dla budżetu państwa, czyli połączonego z obniżką podatków dla biednych. Wszystko wskazuje na to, że jeszcze przez wiele lat Polska pozostanie rajem podatkowym dla bogatych. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”:

Potężna bateria, bardzo dobry stosunek ceny do jakości i niezła wydajność – to największe zalety budżetowego modelu Motoroli.

Ważący 172 g smartfon jak na tę półkę cenową wygląda naprawdę dobrze. Trzymając w ręku testowany model, nie mamy więc poczucia taniocchy. Przeciwnie: smartfon robi wrażenie solidnie wykonanego (choć np. wyglądająca na aluminium boczna ramka to w rzeczywistości tylko plastik). Są oczywiście na rynku produkty o wiele ładniejsze i sporo smuklejsze (G7 Power ma aż 9,3 mm grubości), ale są one istotnie droższe. Pochwała należy się również za dodawane w zestawie przezroczyste etui.

Największą zaletą tego modelu jest jednak potężna bateria o pojemności aż 5000 mAh. Przy przeciętnym obciążeniu powinna wystarczyć nawet na ponad dwa dni pracy na jednym ładowaniu. Osobom, które bardzo oszczędnie korzystają ze swojego smartfona, Moto G7 Power może zaś działać na jednym ładowaniu nawet przez tydzień! Technologia turbopower pozwala zaś na przedłużenie życia telefonu o ok. 9 godzin po zaledwie kwadransie przy ładowarce.

Stosunkowo niezłe są też zastosowane podzespoły. Sercem urządzenia jest ośmior-



MOTOROLA MOTO G7 POWER

dzeniowy Qualcomm Snapdragon 632. Pod klapką zainstalowano także 4 GB pamięci RAM i 64 GB pamięci wbudowanej. Oczywiście nie jest tak szybki jak iPhone X czy Galaxy S10, ale dzięki najnowszej wersji Androida testowany smartfon Motoroli przeważnie działa stosunkowo szybko oraz płynnie. Nie

zaobserwowałem

też żadnych problemów z przegrzewaniem się urządzenia.

Plusem G7 Power jest też możliwość zastosowania dwóch kart jednocześnie (dual SIM). Ergonomiczne jest też umiejscowienie czytnika linii papilarnych na tylnej klapie obudowy, dzięki czemu można jednym ruchem ręki podnieść i odblokować smartfon.

Główny, pojedynczy aparat fotograficzny o rozdzielczości 12 Mpix i jasności obiektywu f/2,0 w idealnych warunkach oświetleniowych robi poprawne zdjęcia. Jakość fotografii przy gorszym oświetleniu jest jednak fatalna. Jednak podobna uwaga dotyczy większości smartfonów z tej półki cenowej.

Szalu nie ma też, jeśli chodzi o jakość wyświetlacza. Ekran o przekątnej 6,2 cala ma rozdzielczość zaledwie 1570 x 720 (279 ppi). Dla wielu osób dłuższa praca na baterii może się jednak okazać ważniejsza niż ostry jak żyłeta obraz. Decydując się na ten model, trzeba także pamiętać, że ekran w technologii IPS nie będzie miał tak żywych kolorów jak konkurencyjne modele z wyświetlaczem typu AMOLED. Pozostałe wady? Po pierwsze, G7 Power brakuje wodoszczelności. Po drugie, testowany smartfon Motoroli nie obsługuje NFC, co jest złą wiadomością dla osób, które odzwyczaiły się już od noszenia portfela i większość płatności dokonują przy użyciu telefonu. Po trzecie, przeszkadzać może fakt, że głośnik to jedynie mono, a nie stereo. A i mikrofony podczas rozmowy w trybie głośnomówiącym nie zawsze stają na wysokości zadania.

Ogólnie testowany model to bardzo ciekawa propozycja dla osób, które nie muszą mieć flagowca, fotografują głównie ciocię z pieskiem na rodzinnym grillu i szukają taniego smartfona do codziennych zadań. Cena: 799 zł. ©©

Jacek Przybylski



ŚPIJ SPOKOJNIE

Spokojny sen zaczyna być dzisiaj wręcz „dobrem luksusowym”. W okresie wyczerpanej pracy, stresu, smogu, hałasów ulicznych, nerwów, kłótni domowych śpimy krótko, budzimy się za wcześnie i często dręczą nas koszmary. Dla chcących wypaść się komfortowo przydatnym

gadżetem może okazać się iBand+, czyli opaska na głowę EEG, która pomaga spać, kreując marzenia senne dzięki muzyce.

Tak zwana inteligentna bezprzewodowa opaska na głowę Bluetooth EEG iBand+ wychwytuje fale mózgowe z laboratoryjną dokładnością, uruchamia też specjalne czujniki śledzenia stanu zdrowia do pomiaru ruchu ciała, częstotliwości akcji serca i temperatury ciała. iBand+ śledzi i analizuje informacje o mózgu oraz ciele przez cały cykl snu za pomocą zaawansowanego algorytmu oprogramowania do automatycznego uczenia się. Następnie wykorzystuje te informacje do odtwarzania i inteligentnie dostosowuje do nich sygnały audiowizualne.

System, współpracując z opaską, przesyła też do aplikacji smartfonowej dane zebrane z poprzednich cykli snu, proponując zarazem spersonalizowane techniki audiowizualne. Można też wybrać dźwięki z własnej muzyki i biblioteki audiobooków.

Gadżet kosztuje ok. 800 zł i można go zamawiać na portalu Indiegogo.

NASZYJNIK DLA FACETA

Takiego prawdziwego, którego nie bawią błyskotki – krzyże w stylu afro-amerykańskich wykonawców rapu – za to uważają, że dobry nóż może być mężczyźnie przydatny w różnych sytuacjach, zwłaszcza podczas obcowania z przyrodą. Damascus Icon to męski wisior na stalowym łańcuszku, wykonany w wojskowym stylu, przypominający nieco łuskę z karabinu. W rzeczywistości jednak w środku kryje się miniaturowy nóż, którego ostrze wykonano z damasceńskiej stali. Wygląda to całkiem gustownie, o ile ktoś akceptuje mężczyzn z wisiorami. Dostawa w sierpniu. ©©

Wojciech Wybranowski





Jakub Wozinski

Włoski rząd straszy Brukselę wprowadzeniem alternatywnej waluty

Otw. mini-BOT-ach, czyli rządowych papierach dłużnych zabezpieczonych wpływami z podatków, po raz pierwszy zrobiło się głośno przy okazji zeszłorocznych wyborów parlamentarnych we Włoszech. Populistyczny Ruch Pięciu Gwiazd zamieścił postulat ich wprowadzenia w swoim wyborczym manifestie, co wywołało falę dyskusji niemal w całej Europie. Później temat równoległej z euro waluty nieco ucichł, aby powrócić ponownie wraz z zaognieniem sporu między Rzymem a Brukselą. Wobec groźby nałożenia na Włochy 3 mld euro kary za naruszanie dyscypliny budżetowej wicepremier Matteo Salvini stwierdził, że nadszedł czas, aby postraszyć unijne elity uruchomieniem nowego środka płatniczego.

WŁOSKI MARAZM

Włoski parlament poparł rządową propozycję przyspieszenia prac nad wprowadzeniem do obiegu mini-BOT-ów. Co ciekawe, za jej przyjęciem głosowali nawet posłowie opozycyjnych partii Forza Italia oraz Partii Demokratycznej. We Włoszech nie brakowało głosów, że uruchomienie drugiej obok euro waluty może pozwolić opanować rosnące nieustannie zadłużenie, które obecnie sięga poziomu aż 132,2 proc. PKB. Jak jednak przekonuje prezydent Centrum im. Adama Smitha Andrzej Sadowski, nowy środek płatniczy raczej nie rozwiąże podstawowych problemów włoskiej gospodarki:

„We Włoszech rządy od dawna próbują przeprowadzić fundamentalne zmiany, które niestety rozbijają się o panujące status quo. Nie są w stanie ograniczyć wydatków już od lat. Ostatnia taka najdalej idąca próba, którą podjął rząd premiera Berlusconiego w referendum, miała spowodować, że to prowincje byłyby odpowiedzialne we własnym zakresie za finansowanie zdrowia, szkolnictwa i wielu innych funkcji. De facto miało to doprowadzić



Bunt walutowy

do tego, żeby Południe musiało samo się finansować. Dzisiaj Południe jest utrzymywane przez Północ. Zrezygnowano z naprawy państwa i jego finansów, czego konsekwencją jest szukanie możliwości zwiększenia długu. Znalaziono wytrych w postaci kolejnych papierów dłużnych rządu. Pokazuje to, że we Włoszech o przeprowadzenie fundamentalnych zmian w państwie jest w tym systemie praktycznie niemożliwe. Łatwiej jest dalej próbować się zadłużać, niż cokolwiek zrobić”.

Pewną nadzieję na wprowadzenie ważnych zmian daje Liga Północna Matteo Salvini, który zapowiedział niedawno konieczność radykalnego uzdrowienia finansów publicznych oraz obniżenia podatków. Jego plany są jednak wciąż torpedowane przez koalicyjanta, czyli Ruch Pięciu Gwiazd, który doprowadził nawet do uruchomienia pierwszego zakrojonego na tak

dużą skalę programu bezwarunkowego dochodu podstawowego (programem objętych zostało ok. 5 mln osób). Oba ugrupowania tworzą bardzo egzotyczną koalicję, którą dzieli także m.in. kwestia imigrantów i stosunek do Unii Europejskiej. Nieoczekiwanie jednak to właśnie jeden ze sztandarowych pomysłów prounijnego Ruchu Pięciu Gwiazd, czyli mini-BOT-y, stał się jednym z głównych przedmiotów sporu z Brukselą.

KSIĘGOWA SZTUCZKA

Według przedstawionych do tej pory planów mini-BOT-y miałyby mieć nominały od 1 do 50 euro i pozostawać w obiegu wyłącznie na terenie Włoch. Stanowiłyby rodzaj bonów skarbowych, przy pomocy których państwo mogłoby płacić instytucjom lub osobom prywatnym, a te z kolei regulować dzięki nim podatki. Tak naprawdę więc nowa alternatywna waluta byłaby oparta na



FOT. ANGELO CARCONI/EPAP

księgowej sztuczce, gdyż włoski rząd mógłby dzięki niej regulować własne zobowiązania przy pomocy nowego rodzaju długu. Od zwykłych bonów czy obligacji mini-BOT-y różniłyby się także brakiem daty wykupu.

Od strony technicznej obrót nową walutą nie sprawiałby raczej większych trudności. Sugeruje się bowiem, że władze mogłyby ją dystrybuować nawet za pomocą poczty elektronicznej. Już dziś istnieje wiele systemów płatniczych obsługujących m.in. kryptowaluty. Uruchomienie nowego środka płatniczego pociągałoby za sobą za to trudności natury politycznej. Z punktu widzenia unijnych traktatów wprowadzenie mini-BOT-ów jest bowiem nielegalne. Włoskiemu rządowi przypominał o tym wyraźnie poirytowany szef Europejskiego Banku Centralnego Mario Draghi. Jego zdaniem mini-BOT-y są w istocie nowym długiem, który zamiast poprawić sytuację budżetu, jedynie ją pogorszy.

Nerwowa reakcja Brukseli ma co najmniej kilka źródeł. Przede wszystkim wprowadzenie nowego środka płatniczego byłoby w zasadzie równoznaczne z rozpoczęciem procesu opuszczania strefy euro. Decyzja Włoch mogłaby

zachęcić do analogicznych kroków także inne kraje o wysokim zadłużeniu, których w Europie nie brakuje. Zdaniem Andrzeja Sadowskiego taki obrót spraw może mieć bardzo istotne następstwa: „W Brukseli zrozumiano, że to jest mechanizm, który de facto może spowodować, iż kraje zaczną się wymykać ze strefy euro bocznymi drzwiami. W ten sposób kontrola, która przynajmniej formalnie jest cały czas zacieśniana, na przykładzie Włoch może okazać się nieskuteczna. Pokazuje to na pewno, że możliwość wychodzenia z Unii Europejskiej nie jest tylko formalna, tak jak w przypadku Wielkiej Brytanii, gdzie wprost uruchamia się procedurę wyjścia, ale można też uzyskać podobny efekt innymi rozwiązaniami. To właśnie próbują czynić Włochy, rozluźniając zapisy dotyczące kontroli finansów. Ćwiczenie na żywym organizmie i Brukseli, i Włoch może przynieść zmianę. Jaką? Nie wiadomo”.

WALKA O FUNDAMENTY

Eskalacja konfliktu między Włochami a Brukselą dotyczy także kwestii ideowych. Salvini to polityk, który pomimo nieskrywanej sympatii dla Władimira Putina odważnie broni chrześcijańskich wartości, działa na rzecz ograniczenia napływu nielegalnych imigrantów i otwarcie kwestionuje obecny model funkcjonowania Unii Europejskiej. Dodatkowo nie kryje się ze swoimi ambicjami objęcia w przyszłości fotela przewodniczącego Komisji Europejskiej lub przynajmniej stworzenia szerokiego europejskiego frontu zdolnego przeciwstawić się dominującym dziś siłom prącym do jeszcze ściślejszej integracji.

Pod wieloma względami próba nałożenia na Włochy kar za brak dyscypliny budżetowej przypomina wojnę Brukseli z Polską o naruszenie zasad praworządności. Chociaż Włochy mają chronicznie chore finanse publiczne praktycznie od momentu zjednoczenia w 1861 r., w ostatnich latach deficyt zaczął stopniowo maleć, a od pięciu lat dług publiczny przestał przynajmniej wzrastać. Rządząca obecnie koalicja nie wyróżnia się przy tym w żaden szczególnie negatywny sposób na tle swoich poprzedników. Deficyt budżetowy ma w 2019 r. wynieść ok. 2,5 proc., czyli tyle, ile Włochy notowały w latach 2015–2017, gdy krajem rządziła lewica. Wówczas jednak Bruksela nie widziała potrzeby karania Italii.

Ponadto od wielu lat znacznie wyższy deficyt niż Włochy utrzymuje chociażby Francja, która jednak zajmuje w unijnej hierarchii zdecydowanie wyższą pozycję. Co prawda Francja ma zdecydowanie niższy dług publiczny niż Włochy (98,4 proc. PKB), lecz zgodnie z pierwotnymi ustaleniami powinna regularnie płać kary za niespełnianie finansowych kryteriów.

Gdyby Włochy wprowadziły mini-BOT-y, stworzyłyby bez wątpienia precedens. Alternatywne waluty funkcjonowały wprawdzie wcześniej (lub nadal funkcjonują) w wielu miejscach świata, lecz nigdy na tak dużą skalę. W latach 2009–2010 w Kalifornii wskutek braku płynności władze stanowe wprowadziły do obiegu skrypty dłużne, którymi płaciły za różnego rodzaju usługi. Również w Grecji, w wyniku ostatniego kryzysu, lokalnie zaczęto posługiwać się specjalnymi walutami emitowanymi przez władze. Włoska waluta miałaby jednak zdecydowanie szersze zastosowanie, choć nadal nie sprecyzowano, jak wiele miałyby się jej pojawić w obiegu.

Duże zainteresowanie walutami alternatywnymi staje się powoli znakiem naszych czasów. Na całym świecie coraz więcej lewicowych polityków i ekonomistów promuje m.in. współczesną teorię monetarną (Modern Monetary Theory, MMT), postulującą wprowadzenie niezależnego od systemu bankowego tzw. pieniądza suwerennego, który miałby być emitowany bez większych ograniczeń ilościowych. Pokazuje to wyraźnie, że wbrew dążeniom do unifikacji kwestia walutowej niezależności staje się jednym z ważnych przedmiotów publicznej debaty.

Ewentualna kara nałożona na Włochy za nieprzestrzeganie zasad budżetowych byłaby pierwszą w historii unii walutowej. W podobny sposób w ubiegłym roku przeciwko Węgrom po raz pierwszy uruchomiono art. 7 unijnego traktatu, zarzucając naruszenie zasad praworządności. W obu przypadkach unijne organy przeciwdziałają nie tyle realnym nadużyciom, ile próbom wyrwania się ze sztywnego gorsetu politycznej dominacji. Włoska alternatywna waluta z pewnością nie zaradzi fundamentalnym problemom włoskiego państwa, lecz w politycznym sporze Rzymu z Brukselą jest dziś dla rządu ważnym argumentem.



Joanna Bojańczyk

Nie jest łatwo być mężem najślawniejszej kobiety na świecie. Zwłaszcza gdy jest się z królewskiej rodziny

Książę Edynburga (pełna tytułatura: Filip Danii i Grecji, spadkobierca Domu Schleswig-Holstein-Sonderburg-Glücksburg, książę Edynburga, hrabia de Merioneth, baron Greenwich) kończy 98 lat i wycofuje się na dobre z oficjalnego życia rodziny królewskiej.

– Zasłużył na emeryturę – mówi królwa. Starszy pan, który w styczniu spowodował wypadek samochodowy, niezbyt groźny wprawdzie, również przyznaje, że teraz jest czas odpocząć i zacząć korzystać z usług szofera. A tak lubił prowadzić. Niestety, dwa dni po wypadku znowu wsiadł do nowego land rovera freelandera. Bez pasów na dodatek. Rzecz działa się nieopodal zamku Sandringham, w hrabstwie Norfolk, we wschodniej Anglii.

Królowa wciąż pracuje, ale on nie lubi hałaśliwego Londynu. Windsor i Sandringham są o wiele spokojniejsze. Niewielka separacja nie będzie dla królewskiej pary dotkliwa: przez ponad 70 lat małżeństwa prowadzili dwa trochę osobne życia.

Wycofanie dokonało się już wcześniej. 4 maja 2017 r. Westminster oficjalnie ogłosił, że jego królewska wysokość książę Edynburga postanowił od jesieni nie brać udziału w uroczystościach publicznych. Jednak 96-letni książę będzie nadal wspierał małżonkę w jej pracy – podkreślano w komunikacie.

Premier Theresa May podziękowała mu za całe życie „wybitnej służby”.

Od roku 1952 książę wziął udział w 22 219 przedsięwzięciach. Edukacja, ekologia, alternatywna energia, dzika przyroda. Szefował, propagował, przekonywał. Był najdłużej służącym i najstarszym oficerem brytyjskiej marynarki wojennej. Odbył 630 zagranicznych podróży.

Nad jego domniemanymi czy prawdziwymi przygodami erotycznymi zęcały się tabloidy. W serialu „The Crown” został przedstawiony w nie najlepszym świetle. Kobieciarz, uczestnik zabaw w towarzystwie pań nie najlepszego prowadzenia.

Złe plotki dementuje lady Colin Campbell w książce „The Queen’s marriage”, która ukazała się jako reakcja na serial. Zdaniem autorki królowa jest tam przedstawiona zbyt pozytywnie, a jej małżonek oczerniony. „Filip jest nie tylko męski, ale zdecydowany, solidny i godny zaufania. Ona jest tradycjonalistką, z natury konserwatystką, on ma otwarty umysł. Ona nie ma zainteresowań intelektualnych; Filip to otwarty umysł, wiedza i czytanie”.

WYGNAŃCY

Po przegranej wojnie z Turcją i abdykacji króla Grecji rodzice księcia – książę Grecji i Danii Andrew oraz jego żona księżniczka Alicja de Battenberg – z czterema córkami i półtorarocznym synem uciekli z Grecji do Francji na pokładzie brytyjskiego statku „Calypso”. Dziecko przewieziono w skrzynce na pomarańcze. Filip nie zna greckiego, mówi, że czuje się bardziej Duńczykiem niż Grekiem.

Generalnie nie ma jednak miejsca, które uważałby za swój dom. W rodzinie mówi się po angielsku, francusku i niemiecku.

Z rodzicami miał niewielki kontakt. Wychowywała go babcia. U matki zdiagnozowano schizofrenię, ojciec związał się z aktorką znaną jako Andrée Lafayette, również jako contessa Andrée de la Bigne, i zamieszkał na południu Francji. Jako ojciec udzielał się niewiele. Filip traktował kochankę ojca jako macochę i był do niej przywiązany, nie wiedząc, że ta fałszywa arystokratka, wnuczka francuskiej prostytutki, ograbiła go z należnego mu spadku...

Mąż



FOT. GETTY IMAGES

Chłopca posyłano do szkół w Paryżu, w Niemczech, wreszcie w Anglii. Fotografia z 1929 r. przedstawia czterech kilkuletnich chłopców trzymających łuki z cięciwami napiętymi do strzału.

Drugi od lewej to książę Filip. Zdjęcie zrobiono w szkole dla chłopców z internatem Gordonstoun School w Szkocji. Do tej samej szkoły o surowej regule lata później chodził książę Karol. Nie znosił jej. Elżbieta chciała posłać syna do Eton, ale mąż się nie zgodził.

W wieku 18 lat Filip wstępuje do królewskiej marynarki, gdzie służy przez sześć lat.

Przez ten czas kończy królewską akademię marynarki, pływa na Morzu Śródziemnym i Oceanie Indyjskim. Jest w Zatoce Tokijskiej, gdy poddają się Japończycy. W wieku 21 lat, już jako pułkownik, jeden z najmłodszych w brytyjskiej marynarce, walczy na niszczycielu HMS „Wallace”.

Naprawdę walczył na tej wojnie. I to przeciwko swoim niemieckim kuzynom i szwagrom, bo siostry poślubiły niemieckich arystokratów.

ROMANS

Swoją kuzynkę, ośmioletnią Elżbietę, z którą spokrewniony był przez królową Wiktorię, Filip spotkał w roku 1934. Ich korespondencja zaczęła się parę lat później i platoniczny romans rozwijał się w czasie wojny. Płyną listy, ona dzierga dla niego skarpetki, kocha i tęskni.

i zakochana. Gdy narzeczonemu otrzymuje zaproszenie do Sandringham na Boże Narodzenie 1946 r., sprawa jest przesądzona: ślub. W lipcu zaręczyny zostają ogłoszone.

Ślub odbył się pół roku później, 20 listopada 1947 r., w katedrze westminsterskiej. Książę, ochrzczony w Grecji w obrządku grekokatolickim, zostaje przyjęty do Kościoła anglikańskiego. Rezygnuje z tytułów greckich i duńskich, otrzymuje tytuł diuka Edynburga. Mały zgrzyt: siostrę księcia na ślub nie zaproszono – dwa lata po wojnie obecność Niemców w Westminsterze byłaby nie do przyjęcia.

Ceremonia transmitowana jest przez Radio BBC – słucha jej 200 mln ludzi na świecie.

Przybywają 2 tys. gości, suknia Elżbiety, zaprojektowana przez królewskiego krawca sir Normana Hartnella, jest wykonana z jedwabiu w kolorze kości słoniowej, ozdobiona 10 tys. perełek i pięciometrowym trenem inspirowanym obrazem Botticellego. W ciężkich powojennych czasach jej koszt pokryto w części powojennymi kartkami, przysługującymi rodzinie królewskiej. Można ją było oglądać na wystawie urządzonej w pałacu Buckingham z okazji 90. urodzin Elżbiety II (w serialu „The Crown” zagrała jej kopia, przez tydzień pracował nad nią sześciuosobowy zespół hafciarzy. Kosztowała 30 tys. funtów – o ironio, wielokrotnie więcej niż oryginał z roku 1947).

tłumacząc, że kryzys ekonomiczny jest tak ciężki, iż nie wolno stracić nawet jednego dnia.

WINDSOR BRZMI DOBRZE

Pozostaje kwestia nazwiska. Elżbieta powinna przyjąć nazwisko męża. Tylko jakie? Filip sugeruje House of Edinburgh, ale królowa matka się nie zgadza. Winston Churchill sugeruje: Windsor. Brzmi dobrze po angielsku, kojarzy się historycznie. Pozbawiony możliwości głosu Filip mówi: „Jestem tylko cholerną amebą, jedynym mężczyzną w kraju, który nie ma prawa dać dzieciom swego nazwiska”.

Jaka teraz będzie jego rola? Czy będzie tylko figurantem? Ona zabiera się do pracy, on schodzi na dalszy plan. Etykieta go męczy, czuje się poniżony. Musiał uklęknąć przed żoną na koronacji. Wprawdzie Elżbieta deklaruje, że mąż będzie jej towarzyszył na wszystkich uroczystościach i we wszystkich okazjach, „chyba żeby parlament ustalił inaczej”, ale to słabe pocieszenie. Filip szuka rozrywki w londyńskich klubach. I szuka swojej roli w tym wszystkim.

Rodzą się dzieci. Charles, Anne, Andrew, diuk Yorku, Edward, hrabia Wessex.

Nie wszystko z nimi idzie tak, jakby tego oczekiwano. Jednak przynajmniej poza działalnością publiczną w domu Filip czuje się mężczyzną. O ile królowa podejmowała decyzje na szczeblu państwowym, o tyle w domu decyduje on. Próbuje odwozić szwagierkę, księżniczkę Małgorzatę, od małżeństwa z fotografikiem, karierowiczem o podejranej reputacji. Ostrzega Karola przed ślubem z Dianą, bo nie uważa jej za właściwą osobę na towarzyszkę życia dla syna. Uważa, że jest pusta i bezmyślna. Nie podzielało. Małżeństwo Karola i Diany przetrwało 10 lat. Rok po rozwodzie Diana zginęła w wypadku. Parę lat później rozwiedli się Andrew i Sara Fergusson.

W 1961 r. książę udzielił wywiadu telewizji. Jeszcze nikt z rodziny królewskiej nie zgodził się na taki występ. Od tego czasu rodzina królewska nie schodzi z anten telewizyjnych ani szpalt gazet. Nie zawsze jest tak grzecznie jak w BBC.

20 listopada 2017 r. królowa i jej małżonek obchodzili 70. rocznicę ślubu. Byli pierwszymi brytyjskimi monarchami, którzy doczekali do platynowej rocznicy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

swojej żony

W roku 1946 Filip czuje, że sytuacja jest już jednoznaczna: pisze do króla Jerzego VI list z prośbą o rękę córki. Zostaje przyjęty, choć jego kandydatura nie budzi w Londynie entuzjazmu. Narzeczonemu jest bez grosza, ponadto podejrzewany jest o zbyt dużą skłonność do pań.

Zaręczyny odłożono na razie do ukończenia przez Elżbietę 21 lat. Ona nie ustępuje: jest zdeterminowana

Po podróży poślubnej do Szkocji młody małżonek wraca do swoich obowiązków w marynarce wojennej, ale zaraz potem młoda para rusza w objazd po krajach wspólnoty. Wiadomość o śmierci króla Jerzego VI dopada ich 6 lutego 1952 r., w czasie podróży do Kenii. Wracają natychmiast.

Na koronację trzeba będzie jednak czekać 16 miesięcy. Pogrzeb, żałoba. Termin odwleka premier Churchill,



Z prof. Piotrem Chłostą,
prezesem Polskiego Towarzystwa Urologicznego
rozmawia Katarzyna Pinkosz



EndoPower w akcji. Od lewej: prof. dr hab. Tomasz Szydełko (wokół prowadzący, instrumenty klawiszowe), w środku prof. dr hab. Piotr Chłosta (gitarę), z prawej: prof. dr hab. Marcin Słojewski (gitarę, wokół) FOT. MATERIAŁY WŁASNE ZESPOŁU ENDOPOWER

Muzyka, badania i rak

KATARZYNA PINKOSZ: Wygląda na to, że zespół EndoPower na stałe wpisał się w muzyczną mapę Polski, i nie tylko: ostatnio mieliście koncert na Słowacji. Skąd nazwa EndoPower i pomysł, by trzej wybitni profesorowie urologii, którzy na co dzień przeprowadzają skomplikowane operacje nowotworowe, tworzyli zespół?

PROF. PIOTR CHŁOSTA: Nazwa pochodzi od endourologii (dziedziny urologii, która zajmuje się diagnostyką i leczeniem przy wykorzystaniu endoskopów), z którą każdy z nas jest związany, a „power” od wewnętrznej siły. Wraz z prof. Marcinem Słojewskim i prof. Tomaszem Szydełko mamy wykształcenie muzyczne, posta-

nowiliśmy więc razem zagrać. To miała być niespodzianka muzyczna na kongresie naukowym Polskiego Towarzystwa Urologicznego sześć lat temu. Po koncercie namawiano nas, żebyśmy dalej grali. Oczywiście, potrzebowaliśmy lidera: został nim prof. Wojciech Stec, muzyk, kompozytor, aranżer, multiinstrumentalista, dyrygent, pedagog. W muzyce musi być tak jak na sali operacyjnej: z boku mamy wrażenie pewnego chaosu, jednak są szef i porządek, a każdy wie, co ma robić.

„Rano sala: guz, prostata, ze dwie nerki.
A wieczorem jest gitara: znowu wybuch mam

energii” – bycie dobrym chirurgiem da się połączyć z muzyką?

Muzyka to fantastyczne hobby i odskocznia od stresu życia zawodowego. W tekstach wykorzystujemy elementy naszej pracy, jednak nie chcemy, by wiązać nas tylko z „med-rockiem”. Wydaliśmy dwie płyty; pierwsza „Skąd ta siła” zawierała utwory wyłącznie naszego autorstwa, do drugiej („Credo”) teksty oprócz nas pisali też Jacek Cygan i Rafał Bryndal.

„Nie pros o pomoc jedynie Boga, zgłoś się zawsze do urologa”. Muzyka to też sposób, by zachęcić do badań, zanim pojawią się poważne problemy zdrowotne?

Można zachęcać przez apel, ulotkę. Dlaczego nie robić tego także przez muzykę? Dotrze łatwiej. A muzyki nie da się przedawkować – w przeciwieństwie do leków. Coraz bardziej w modzie jest to, żeby się badać. Powoli w zapomnienie odchodzi wizerunek mężczyzny macho, który, gdy coś go boli, zaciska zęby. Choroby wcześniej wykryte często mogą być całkowicie wyleczone. A co więcej, możemy zastosować mniej inwazyjne i mniej „okaleczające” sposoby leczenia.

Znów zacytuję: „Nie skazuj siebie jeszcze na straty tylko dlatego, że rak prostaty”. Zaskoczyło mnie to, że aż 25 proc. wszystkich nowotworów to nowotwory urologiczne. Można z nimi wygrać?

Oczywiście. Najważniejsze, żeby wykryć je odpowiednio wcześniej, kiedy choroba jest ograniczona do narządu, a pacjenta może leczyć specjalista urolog. Rak gruczołu krokowego jest związany z wiekiem, występuje głównie u mężczyzn po 70. roku życia. Rozwija się powoli: od postaci mikroskopowej do jawnej klinicznie często mija wiele lat. Dlatego „nie skazuj siebie na straty” – możemy cię z tego wyleczyć lub leczyć przewlekłe.

Kiedy w takim razie najlepiej iść do urologa?

Każdy mężczyzna po 40.–50. roku życia co najmniej raz w roku powinien iść do urologa – nawet jeśli nie ma żadnych dolegliwości. Trzeba też pamiętać, że w rodzinie, w której wystąpił rak gruczołu krokowego, szczególnie u ojca, brata, ryzyko zachorowania jest 11 razy wyższe i należy zacząć badać się wcześniej.

Wizyta u urologa to jak wizyta u stomatologa. Kobiety już dziś nie trzeba namawiać do wizyt u ginekologa. Również wśród mężczyzn zaczyna się zmieniać podejście: dużą zasługę mają tu organizacje pacjentów, m.in. stowarzyszenie Gladiator. Jego prezes, pan Tadeusz Włodarczyk, swoim życiem i swoją działalnością społeczną pokazuje, że można zostać wyleczonym z nowotworu urologicznego właśnie przez urologów.

Urologia, poza górną częścią układu moczowego, dotyczy też jego dolnego odcinka i spraw intymnych – być może dlatego jest to jeszcze temat tabu. Jednak to się zmienia. Urolog to nie jest tylko lekarz od spraw „wstydliwych”, ale przede wszystkim chirurg układu moczowego, moczowo-płciowego, który zajmuje się leczeniem chorych na raka nerki, moczowodu, pęcherza, gruczołu krokowego, jądra, ale także poprawą jakości życia mężczyzn i kobiet, jeśli mają np. problem z oddawaniem czy gubieniem moczu.

Kilka dni temu zakończył się zjazd Polskiego Towarzystwa Urologicznego, które ma już 70 lat i jest jednym z najstarszych towarzystw naukowych w Polsce. A jak wygląda polska urologia na tle świata? Jesteśmy lecczy tak jak w Europie?

Wykształcenie polskich urologów jest na poziomie światowym, to zasługa Polskiego Towarzystwa Urologicznego. Od 22 lat polscy urolodzy zdają egzamin europejski (FEBU). To powód do dumy i sa-

tysfakcji. Szkołą się również później. Jeśli chodzi o dostęp w Polsce do nowoczesnych technik, takich jak mało inwazyjna chirurgia endoskopowa, laparoskopowa, także z zastosowaniem robotów, to jest on również dobry.

Jednak nowoczesna urologia to uro-technologie – operowanie na najwyższym poziomie wymaga nakładów inwestycyjnych. Niestety wycena procedur i operacji urologicznych w Polsce jest niska, wręcz rażąco niska. Cena nowoczesnego sprzętu w Polsce jest taka sama jak w innych krajach. A wycena operacji urologicznych przez NFZ to np. jedna piąta faktycznej jej kosztu. Operacje z użyciem robota chirurgicznego w ogóle nie są refundowane przez NFZ. Albo odbywają się w ramach grantów naukowych, albo mogą je mieć tylko chorzy w prywatnych ośrodkach, którzy za to zapłacą.

Nie dziwię się dyrektorom szpitali, że patrzą z przerażeniem, jakie mogą

takim zmianom mamy szansę na jeszcze lepsze wyniki leczenia.

EndoPower zagrał już prawie 20 koncertów. Kolejny też będzie związany z namawianiem do badań?

28 września zapraszamy do Krakowa, do Muzeum Inżynierii Miejskiej, na Festiwal kultURO, który kończy Międzynarodowy Tydzień Urologii w Polsce. Organizujemy go przy wsparciu Uniwersytetu Jagiellońskiego i władz miasta Krakowa. Ośrodki urologiczne otwierają wtedy drzwi dla pacjentów. U 10–30 proc. osób, które się do nas zgłaszają, stwierdza się chorobę lub potencjalną chorobę onkologiczną. Gdyby do nas nie przyszli, nowotwór mógłby się rozwijać. EndoPower zagra podczas festiwalu. Będą też najwybitniejsi artyści scen muzyczno-rozrywkowych w Polsce. To fantastyczna impreza, dużo bardzo pozytywnej energii.

„Choćby ktoś nam skrzydła skradł, będziemy lecieć ku słońcu. Takie jest nasze credo, źródło naszej mocy” – śpiewacie w tytułowym utworze płyty „Credo”. Pacjenci cenią pana za wiedzę, umiejętności, empatię, stworzenie świetnego ośrodka urologicznego. A jakie jest pana credo, motto życiowe?

Urologia stała się czymś w rodzaju najdoskonalszego wirusa, jakim zostałem zarażony. Jest znaczącą częścią mojego życia. Jestem dumny z tego, że jestem urologiem. Cieszę się, że żyję w czasach, w których mogę obserwować ewolucję urologii i chirurgii urologicznej i czynnie w tej ewolucji uczestniczyć, że mogę działać dla dobra swoich podopiecznych: zarówno przy łóżku chorego, jak i będąc nauczycielem akademickim czy działając społecznie w PTU. Te trzy elementy w moim życiu się łączą: nie ma ścisłej granicy, kiedy jestem lekarzem, kiedy nauczycielem akademickim, a kiedy działam w PTU. A jeśli do tego mogę realizować swoje hobby muzyczne, wśród przyjaciół, to... To oby to moje „credo” trwało jak najdłużej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Każdy mężczyzna po 40.–50. roku życia powinien raz w roku iść do urologa – nawet jeśli nie ma żadnych dolegliwości.

Wizyta u urologa to jak wizyta u stomatologa

mieć straty przez rażąco niską refundację procedur urologicznych przez NFZ. Niemal wszystkie jednostki akademickie w Polsce są już zadłużone. Patrzę na to ze smutkiem. Jeśli coś się nie opłaca, to jest likwidowane. Likwidacja nowoczesnej urologii to byłby powrót do średniowiecza.

Środowisko urologów opracowało niedawno trzy projekty opieki koordynowanej w nowotworach urologicznych. Taka opieka jest ważna?

Projekt dotyczy raka gruczołu krokowego, pęcherza moczowego i nerki. Model opieki koordynowanej zwiększa szanse, że osoby, u których choroba nowotworowa jest ograniczona do narządu, będzie można wyleczyć. A jeśli nie wyleczyć, to leczyć tak, by nowotwór nie skrócił im życia. Opieka nad takimi osobami powinna być prowadzona i koordynowana do końca życia chorego przez urologa – przy współpracy z lekarzami innych specjalności, fizjoterapeutami, psychologami. Dzięki

prof. Piotr Chłosta – kierownik Katedry i Kliniki Urologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, prezes Polskiego Towarzystwa Urologicznego od 2015 r., członek wielu towarzystw naukowych, doktor honoris causa Uniwersytetu im. Ignacego Semmelweisa w Budapeszcie. Twórca i dyrektor programowy Festiwalu kultURO, międzynarodowej imprezy odbywającej się w Krakowie, propagującej profilaktykę chorób układu moczowego.



JACEK KOMUDA

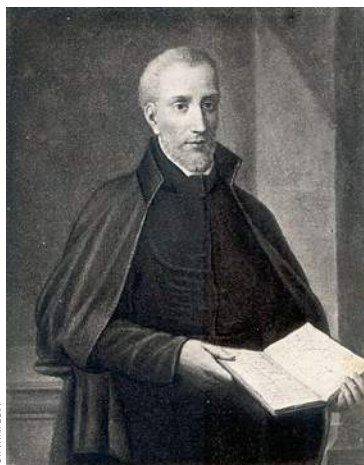
RYCERZE I WARCHOŁY

Pożyteczny idiota nr 1

Pierwszym pożytecznym idiotą w dziejach Europy będzie zawsze dla mnie papieski mediator w konflikcie między Rzeczpospolitą a Moskwą, Antonio Possevino, jezuita i zaufany człowiek papieża Grzegorza XIII. 18 sierpnia 1581 r. stanął przed carem Iwanem IV Groźnym w Staricy, a jego poselstwo było odpowiedzią na moskiewskie zabiegi o pozyskanie mediatorów w wojnie ze Stefanem Batorem.

Czas był już najwyższy – Rzeczpospolita zwyciężała w walce o Inflanty: padły Połock, Wielkie Łuki, armia królewska maszerowała na Psków. Iwan Groźny zagrał chytrze, wysyłając wysłanników do papieża i cesarza; obiecując w zamian za pomoc w zawarciu korzystnego pokoju udział w koalicji antytureckiej, ale nawet zawarcie unii kościelnej z Rzymem. Wszystko to jak zwykle kosztem interesów Rzeczypospolitej.

Iwan Groźny przyjmował Possevina jak udzielnego władcę. Podarował mu konia z rzędem, a dwa dni później wydał ogromną ucztę na jego cześć. Towarzyszący zakonnikowi jezuita byli oszołomieni barbarzyńskim przepychem Moskwy, obyczajami i samowładzą cara, który zasiadał na tronie ze szczerozłotym posochem w ręku; na szyi miał dwa łańcuchy – jeden zwisał aż do piersi, na drugim, krótszym, wisiał krucyfiks ze złota o długości dłoni, szeroki na dwa palce. Possevino wręczył mu dar papieża – kryształowy krucyfiks z częstką krzyża, do którego przybito Chrystusa. Iwan odwdziczył się, czyniąc wyraźne aluzje. W czasie uczt pijany przypominał, że jego przodkowie żyli w przyjaźni z papieżami. Oświadczył też, że skoro Ojciec Święty jest zwierzchnikiem świata chrześcijańskiego i namiestnikiem Chrystusa, to winno się uznać jego władzę w sprawach wiary.



FOT. WIKIPEDIA

Jak podaje Władysław A. Serczyk w biografii cara, wydawało się dziwne, że jego wypowiedź nie wzburzyła przedstawicieli Cerkwi, tradycyjnie odcinającej się od katolicyzmu. „Wszyscy chyba zdawali sobie sprawę, że mają do czynienia z manewrem taktycznym, mającym przychylnie usposobić mediatorów do cara” – pisał historyk. Possevino tykał kolejne obietnice, nie zdając sobie sprawy, że pada ofiarą perfidnej gry Moskwy, która już pod koniec XVI w. uczyła się, jak rozgrywać Zachód przeciwko sobie. Zaraz po tym car posłał Possevina pod Psków, oblegany przez armię Batorego. Wysłannik papieża, a teraz cara, omamiony dokładnie tak samo jak późniejszy pożyteczni idioci, usiłował wytargować dla Moskwy korzystny rozejm.

W grudniu 1581 r. doszło do rozmów z posłami polskimi – Januszem Zbaraskim, Michałem Hraburdą i Albrychtem Radziwiłłem. Mediował w nich – na początku ze wskazaniem na stronę moskiewską – Possevino. I doczekał się wzgardy. Oficjalne bowiem poselstwo cara, które przyjechało razem z nim, miało zupełnie inne instrukcje, niż Iwan dał papieskiemu wysłannikowi, i nie chciało zrezygnować z większości Inflant. Dodatkowo Groźny zażądał dla siebie uznania

przez Batorego tytułu cara (a więc cesarza). Possevino nie wytrzymał wówczas i oświadczył, że potrzeba do tego oficjalnego pozwolenia papieskiego.

Kolejne dni przynosiły coraz większe rozczarowania, w miarę gdy poseł papieski odkrywał, że wystrychnięto go na dudka, najpierw w oficjalnych papierach nazywając go posłem papieża Grzegorza i odmawiając Ojcu Świętemu tytułów. Później Moskale chcieli umieścić w traktacie rozejmowym niebezpieczny passus stwierdzający, że to książę Iwan ustępuje Batoremu Inflanty, co można by interpretować, że tereny te kiedyś należały do Moskwy. Possevino zdenerwował się tak bardzo, że ponoć pobił i wyrzucił posłów moskiewskich za drzwi.

Natychmiast po zawarciu rozejmu w Jamie Zapolskiej świeżo upieczony papieski stronnik Moskwy udał się na dwór cara, aby zrealizować obietnice w sprawie unii kościelnej. Za usługi w zawarciu rozejmu dostał od Moskwy figę z makiem. Iwan Groźny nie zgodził się na wyprawę na Tatarów, odrzucił pomysł unii kościelnej i powrotu pod władzę papieża, tym razem twierdząc, że o tym mogą zdecydować jedynie metropolita i sobór. Na koniec nazwał nawet Ojca Świętego „wilkiem, a nie papieżem”, co doprowadziło Possevino do oburzenia. Car nie zgodził się też na posłanie do Rzymu grupy młodych Moskali na studia ani tym bardziej na budowę w Moskwie kościoła katolickiego. „Tak jeszcze nie było, aby stawiać w państwie naszym świątynie dla niewiernych” – perorował. Wysłał jednak z wracającym Possevinem własne poselstwo do papieża, aby zrównoważyć wagę oskarżeń, którymi zapewne wysłannik tłumaczył będzie klęskę misji. I z typowo wschodnią chytrością zostawić sobie w Rzymie furtkę dla negocjacji na przyszłość. ©

MACIEJ ORŁOŚ REZYGNUJE Z MIĘSA

Przyznam, że od pewnego czasu zwracam coraz większą uwagę na to, co jem. Między innymi ograniczam spożycie mięsa i otwieram się na niesamowite możliwości diety bezmięsnej. Mam różne motywacje oraz dwie główne inspiracje: córka i Warszawa. Córka od kilku lat nie je mięsa w ogóle, a Warszawa kusi niesamowitą ofertą i nic dziwnego, że jest w czołówce światowego rankingu miast wege (portalu happycow.net). No i właśnie z powodu tych moich inklinacji proponuję czytelnikom przepis na wegańskie burgery z fasolą. Podaję za portalem savorysweets.pl.

Składniki:

- pół dużej cebuli lub jedna mała
- 40 g masła orzechowego
- 40 g przecieru pomidorowego
- 100 g płatków jaglanych
- 200 ml gorącej wody
- 1 łyżeczka wędzonej papryki
- 2 łyżki płatków drożdżowych
- 1 łyżeczka suszonej kolendry
- sól i pieprz do smaku
- 1 puszka czerwonej fasoli (240 g po odsączeniu)

Przygotowanie:

Siekamy cebulę w drobną kostkę, wrzucamy do garnka i wlewamy

tyle wody, żeby cebula została całkiem zanurzona, następnie dusimy ją przez kilka minut, tak by zmiękla. Kiedy woda wyparuje, dodajemy masło orzechowe i przecier pomidorowy; mieszamy dokładnie, jednocześnie podgrzewając. Dodajemy 200 ml gorącej wody, płatki jaglane i przyprawy, czyli wędzoną paprykę, płatki drożdżowe, kolendrę oraz sól i pieprz do smaku. Podgrzewamy i mieszamy.

Zdejmujemy garnek z gazu czy elektrycznego panelu wtedy, gdy

płatki jaglane zaczną być miękkie, klejące i stworzą gęstą masę. Dodajemy porządnie wypłukaną czerwoną

fasolę z puszki, rozgniatą

i dokładnie mieszamy

– tak, by powstała jednolita masa.

Następnie formujemy burgery (z tych składników wyjdzie ich sześć)

i smażymy bez tłuszczu na małym ogniu przez kilka minut z obu stron (na nieprzywierającej patelni). ©©

oprac. raw

Maciej Orłoś przez 25 lat pracował jako dziennikarz i gospodarz programów w TVP1, przez rok w Telewizji WFP. Teraz niezależny dziennikarz, influencer, youtuber i prowadzący szkolenia



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Co modne na talerzu

Kiedyś jadało się to, co rośło w okolicy, i to, na co człowieka było stać. Przez jakiś czas to, co było w sklepach. Teraz, gdy dostępne jest wszystko, w jedzeniu pojawiły się trendy, podobnie jak w modzie, jak we wszystkim. Z tym że trendy żywnościowe wyznaczają nie wyspecjalizowane agencje, ale naukowe (lub pseudonaukowe) teorie. Nie muszą dodawać, że od czasu do czasu nowości wywracają poprzednie ustalenia do góry nogami. O zdrowym jedzeniu cały czas mówią media. Szkoda, że reklamy pod pozorem zdrowotności wciskają nam często różne sfałszowane.

To, czy istotnie nasze nadwiślańskie plemię jada zgodnie z tymi trendami i czy one bardzo nas obchodzą, zbadał portal Pyszne.pl (badanie przeprowadzono na grupie 800 osób w grupie wiekowej od 18 do 69 lat).

Okazuje się, że w naszych wyborach i deklaracjach jesteśmy niekonsekwentni. Z jednej strony lubimy tradycyjne jedzenie, z drugiej podciągają nas nowinki. Zachodnia kultura posiłków niezbyt się w Polsce przyjęła. Lunch? Jada go tylko 18 proc., i to ci, którzy robią to w godzinach pracy. Brunch jada jeszcze mniej, bo zaledwie 3 proc. 85 proc. badanych woli obiad i to jest najważniejszy posiłek dnia. Kuchnię polską cenią wszyscy – 98 proc. Największym powodzeniem w młodym pokoleniu cieszą się pierogi, w starszym pro-

wadzi schabowy. To też bez zaskoczeń.

Z oferty kuchni obcych wybieramy oswojone przeboje: zupę tajską z Tajlandii, curry z Indii, z meksykańskiej – burrito, z wietnamskiej – zupę pho, z rosyjskiej – pielmieni.

Zasada: lubię piosenki, które już znam, wiecznie żywa. No i chętnie zamawiamy jedzenie do domu.

Jakie? Tego badania nie precyzuje. Podaje tylko, że 63 proc. badanych zamówiło je sobie w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

Street food nie jest bardzo rozpowszechnione – zna je tylko 40 proc. Polaków, o słow foodie słyszała jedna piąta.

Natomiast wszelkiego rodzaju diety są naszą mocną stroną. Odchudzamy się lub przynajmniej o tym mówimy. 63 proc. stosuje jakiś rodzaj diety, dla zdrowia lub/i dla sylwetki. Czy to jednak tylko teoria? O tym, że w rzeczywistości nie jesteśmy gotowi do poświęceń, świadczy to, że z cukru zrezygnowało zaledwie 10 proc. badanych, a z mięsa 4 proc., choć drugie tyle się do tego przymierza. Jednak większości trudno sobie wyobrazić obiad bez mięsa czy kolację bez wędliny.

Stanowczo przereklamowana jest popularność diety bezglutenowej – stosuje ją zaledwie 4 proc. badanych, a 3 proc. ogranicza laktozę. Mleko sojowe musi jeszcze poczekać na swój złoty czas. ©©



FOT. ADRIAN STOK

TERENOWE LAMBORGHINI



Lamborghini Huracán Sterrato. Tak się nazywa koncepcyjny model, który na początku czerwca zaprezentował słynny włoski producent pojazdów. Dziwna nazwa dobrze pasuje do charakteru auta. „Sterrato” oznacza bowiem „brud”. A nowy model ma być jednocześnie samochodem szybkim i potężnym oraz zdolnym do jazdy w terenie. Jego prześwit w porównaniu z bazowym Huracánem EVO został więc zwiększony o 47 mm, zwiększo-

no również kąty natarcia oraz zejścia, a na 20-calowe felgi założono opony ze specjalnie wzmocnionymi ściankami i lepszą przyczepnością na bezdrożach. Konstruktorzy zadbali także o specjalny off-roadowy tryb jazdy.

Pod maską znalazł się dostrojony pod kątem dynamiki jazdy w terenie 5,2-litrowy silnik V10 o mocy 631 KM, z siedmiobiegową, dwusprzęgłową skrzynią oraz napędem na wszystkie łapy. Miłośników technologicznych nowinek

zainteresuje też to, że niektóre części Sterrato zostaną wydrukowane na drukarce 3D.

Auto zostało tak dobrze przyjęte przez opinię publiczną, że szefowie Lamborghini kilka dni po pokazaniu konceptu zdecydowali, iż model niebawem trafi na rynek. Produkcja ma ruszyć w 2021 r. Chętni powinni się zgłaszać jak najszybciej, bo z taśmy montażowej ma zjechać maksymalnie tysiąc egzemplarzy. Cena szacowana jest na ok. 270 tys. dol.

AUTONOMICZNE VOLVO GOTOWE DO PRODUKCJI

Uber i Volvo Cars zaprezentowały w Waszyngtonie nową generację Volvo XC90, które potrafi jeździć bez jakiegokolwiek pomocy człowieka. Na wszelki wypadek w pierwszym przeznaczonym do normalnej produkcji aucie w pełni autonomicznym nadal będą montowane kierownica oraz pedały gazu czy hamulca – konstruktorzy podkreślają jednak, że samochód został zaprojektowany raczej pod automatycznego kierowcę. W przyszło-

ści takie auta będzie można zamawiać za pomocą aplikacji i będą one wozili pasażerów bez kierowcy.

ULEPSZONY LEXUS RX

Japoński producent luksusowych samochodów zmodernizował swego flagowego SUV-a. Na szczęście auto z zewnątrz nie przeszło rewolucji, lecz jedynie retusz, co zapewne docenią miłośnicy tego modelu.

Nowością jest specjalna konstrukcja świateł. Japońska marka jako pierwsza na świecie zastosowała system BladeScan AHS. W tym systemie światło pochodzące z diody LED pada na dwa zwierciadła, umieszczone na szybko obracających się przesłonach. Następnie jest przekazywane do soczewki i oświetla drogę przed samochodem. Światło wydaje się nie poruszać, lecz BladeScan Type AHS precyzyjnie kontroluje jego rozsył, synchronizując obroty zwierciadeł, a także włączając i wyłączając diody LED w obu reflektorach. System oświetla miejsca, które mogą być trudne do doświetlenia w konwencjonalnych układach świateł drogowych, np. pobo-



cze drogi. Według Lexusa możliwość zauważenia nocą pieszych znajdujących się przed autem została zwiększona z odległości 32 do 56 m.

Samochód jest też naszpikowany systemami zwiększającymi bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów, np. zaopatrzonego go w system ochrony przed zderzeniem, który wykrywa pieszych w dzień i w nocy. Wewnątrz pojawi się zaś wreszcie ciekłokrystaliczny ekran dotykowy (Lexus pozostawia jednak trackpada dla tych, którzy wolą nie mazać palcem po ekranie). Sprzedaż czwartej generacji modelu RX rozpocznie się jesienią. ©

Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



**polski
produkt**

**IV EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNER



PARTNER GALI



SŁAWOMIR
CENCKIEWICZ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Z jak zająb

Tydzień temu z okładem towarzystwo z ul. Czerskiej przystąpiło do frontального ataku na IPN. Nic nowego!

Przywykłem do tego już przez ponad 20 lat! Tym razem (choć i tak nie jest nowe) poszło o likwidację tzw. zetki, czyli zbioru wyodrębnionego przez tajne służby po 1998 r. (formalne powstanie IPN) w ramach archiwum IPN. Padł argument znany przynajmniej od czerwca 1992 r. i przy różnych okazjach odgrzewany (później intensywnie w czasie likwidacji WSI): oto ujawnione zostały aktywa wywiadu, co uniemożliwia na przyszłość prowadzenie jakiegokolwiek działalności wywiadowczej. Pomyślałem sobie, że skoro od 1992 r. aż do teraz co jakiś czas ujawniamy „zasoby wywiadowcze” (przez systemową lustrację, likwidację WSI, jawność akt IPN, dezubekizację...), to co w tym wywiadzie jeszcze zostało?

Na poważnie jednak: gdyby nie emocjonalne potraktowanie „newsa” Czerskiej przez wielu ludzi przyzwoitych, ale i niezorientowanych, to bym się tym zupełnie nie przejął ani nie zabierał głosu. A zatem:

- „masowe ujawnianie polskich zasobów wywiadowczych” nie

zaczęło się wcale od likwidacji zbioru zastrzeżonego;

- większość materiałów po byłym Departamencie I MSW znajdowała się w zbiorze jawnym i nawet 15 lat temu dotyczyły one nieraz osób żyjących (nigdy w przepisach związanych z ujawnianiem akt IPN nie stosowano kryterium zgonu oficera czy agenta, by jakieś materiały ujawnić);
- mało tego, nawet bez znajomości tajnych spisów aktowych, na podstawie różnorodnych źródeł, które były ogólnodostępne w IPN, można było rozpoznać tożsamość oficerów, agentów i figurantów części spraw, które dopiero później „wyszły” ze zbioru zastrzeżonego. Część z nich była też publicznie znana, choćby Andrzej Madejczyk („Lakar”), Jerzy Kaczmarek czy Marian Zacharski;
- w zbiorze zastrzeżonym nie byli ukryci wyłącznie ludzie, którzy pracowali dla służb po 1990 r. Były w nim ukryte często osoby nieżyjące (czasem nawet od kilku dziesięcioleci), rozpracowywane oraz wiele różnego rodzaju dokumentacji administracyjnej, która nie miała bezpośredniego związku ze sprawami agenturalnymi ani planami tajnych budynków (o które się tak dzisiaj niektórzy troszczą).
- likwidacja i ujawnienie zbioru zastrzeżonego pokazały, że większość zbioru była demonizowana, a zagrożenia związane z jego ujawnieniem znacznie przesadzone. Należy również zauważyć, że zbiór w znaczący sposób zaczął topnieć już ponad 10 lat temu, a w ciągu minionych 15 lat nie wystąpiły żadne perturbacje związane z udostępnianymi dokumentami;
- likwidacja i ujawnienie zbioru zastrzeżonego stały się jednym z kluczowych elementów zamknięcia za sobą epoki

PRL w służbach III RP. Przez minione lata problem akt po bezpiecie ciągle wracał, a w tej chwili mamy go już praktycznie za sobą i możemy zajmować się współczesnymi wyzwaniem dla bezpieczeństwa, czerpiąc wiedzę o mechanizmach i modus operandi służb zbudowanych według sowieckiego modelu;

- i co bardzo ważne, przecież po 1990 r. nastąpiła zmiana kierunków działania służb! To, co było często „aktywem” służby przed 1990 r., nie mogło nim być później! Przykładowo z oczywistych względów nie można już było wykradać technologii na Zachodzie, co było stawiane mocno przez stronę amerykańską w latach 1989–1990. Aktywa w środowiskach polskich, kościelnych czy zachodnich również straciły na znaczeniu. To sprawiło, że bardzo wiele spraw zakończono w 1990 r. lub na początku tej dekady. Ujawnienie ZZ pokazało, że rzekomo silna i liczna agentura w krajach arabskich jest mitem!
- liczba rzekomych oficerów „N” (pionu nielegalnego) jest zupełnie wymysłem, bo było ich znacznie mniej (mniej niż 20). Część z nich była już w 1990 r. nieaktywna lub nigdy nie wyszła ze sfery „uśpienia” do aktywności operacyjnej. Mało tego, „akta osobowe funkcjonariuszy” większości nielegalistów zostały ujawnione już ponad dekadę temu. Tutaj ujawniona została dokumentacja na temat ich działalności.

Chciałbym, żeby ktoś, kto wypisuje różne brednie w mediach na temat zasobu aktowego po tajnych służbach PRL, odznaczał się chociażby minimalną wiedzą. Dobrze by było, gdyby w ogóle wiedział, o czym pisze... ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Już nigdy...

Ten właśnie przypomniał mi się wiersz Marcina Świetlickiego, znany raczej dzięki Bogusławowi Lindzie. To znaczy wiersz znany dzięki Lindzie, a nie Świetlicki. Bo Linda go zaśpiewała. Wiersz zaśpiewała, przecież nie Świetlickiego. Czy ludzi w ogóle można śpiewać? Ciekawe pytanie, ale przejdźmy do poezji śpiewanej. Świetlicki też śpiewa, taki śpiewający poeta, łatwiej tak popularyzować poezję, jak się ją śpiewa. Bo kto by na przykład znał Adama Mickiewicza, gdyby nie Marek Grechuta? Nie, nie, ten akurat przykład całkiem bez sensu. Wycofuję się, ale innego nie dam, bo uciekam w dygresję, a wiersz czeka, zniecierpliwiony...

Nigdy papieros nie będzie tak smaczny

A wódka taka zimna i pożywna

Nigdy nie będzie tak ślicznych dziewcząt

Nigdy nie będzie tak pysznych ciastek.

Ładny, prawda? A przypomniał mi się, bo zakończyła się kolejna edycja „Big Brothera”, ale to już nie ten Wielki Brat co kiedyś. Kiedyś to był Wielki Brat, wszyscy o tym mówili. A teraz? Jakoś tak niepostrzeżenie przemknęła cała ta edycja. Pewnie państwo nie wiedzą, że to już 18 lat minęło. A jaka była początkowo bulwersacja! Wszyscy, ale to wszyscy oglądali, ale się nie zaciągali.

A moc pierwsza edycja miała taką, że zwycięz-

ca Janusz Dzieciół na fali zwycięstwa został posłem Platformy Obywatelskiej, a wcześniej był sobie strażnikiem miejskim. Tak było. I dostał 500 tys. zł, a teraz pani, która wygrała, tylko 100 tys. dostała. Tak było.

Ale najgłośniejszy był o trzeciej edycji, jak Agnieszka Frykowska dzakuzowała się z takim Kenem. Prawie pornografia to była na żywo. A tak swoją drogą, to pani Agnieszka chyba nie jest za bardzo dumna z tego dzakuzi, gdyż dla niepoznaki zmieniła imię. Nie wiedzieli państwo, że można? Można, można, nie tylko nazwisko, ale imię też sobie można. Tylko trzeba iść do urzędu stanu cywilnego i zadeklarować. I teraz pani Agnieszka jest panią Mają.

Skandaliści mają dziś naprawdę trudno. Chociaż dziś za skandal zaczyna powoli być uważane wszystko to, co kiedyś było normalne, to znaczy dalej jest normalne, ale niektórzy już fukają i wyśmiewają, wręcz prycają. Coraz częściej paluchami pokazują, że to niemodne jest skandalicznie. I tak mi właśnie przyszła do głowy pani Maja, kiedyś Agnieszka, bo ona po okresie pewnej takiej, można by rzec rozwiązałej, aktywności medialnej przeszła nawrócenie i wstąpiła do Chrześcijańskiego Kościoła Reformacyjnego.

W zasadzie można by powiedzieć skandalistka konserwacyjna. Nigdy skandale nie będą takie jak kiedyś... ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIĄŁ

Przesłanie
z Libanu

W ciągu ostatnich 45 lat dwie wojny domowe, dwa konflikt z Izraelem, polityczne rewolucje, starcia religijne, naprzemienne przeciąganie liny o wpływy między Rosją a Syrią, fale imigrantów. A jednak gdy wylądowałem tydzień temu pierwszym lotem z Warszawy w Bejrucie, słowa, którymi przywitał pasażerów lokalny urzędnik, brzmiały: „Liban to więcej niż kraj, to przesłanie dla świata. Na naszych ziemiach wyznajemy jedną religię: wierzymy w Boga i ojczyznę, każdy na swój sposób i chcemy, żeby tak pozostało”.

Pomimo burzliwej historii przez stulecia udawało się ten stan względnej równowagi utrzymać. Fenicjanie, Grecy, Rzymianie, Bizantyjczycy, imperium osmańskie, Francuzi... Każdy zostawiał coś od siebie na ziemi Libańczyków, ale nie zmieniał istoty tego miejsca – bramy Morza Śródziemnego na Zachód. Styku kultur, religii, systemów politycznych. Również dzisiaj jest coś przejmującego i symbolicznego w stojącym w centrum stolicy ogromnym meczecie Mohammed Al-Amin, obok którego wybudowano archikatedrę św. Jerzego, stanowiącą centrum wyznaniowe maronitów – lokalnego odłamu katolicyzmu.

Chrześcijananie i muzułmanie dzielą niemal równo na pół populację 4,5-milionowego Libanu. Monastyczna tradycja słynącego z uzdrowień św. Szarbela jest tutaj równie żywa co szyicka i sunnicka odmiana islamu. O tym, gdzie

prowadzi zachwianie zapisanej w konstytucji równowagi wyznaniowej, przypominają tysiące opuszczonych po wojnie domów, rozsiane po górach i wybrzeżach państwa, liczne posterunki wojskowe i noszące ślady ostrzału opustoszałe hotele w centrum Bejrutu.

Liban w ostatnich latach, choć Syria uległa państwowemu rozkładowi, a dyplomacja z Izraelem praktycznie nie istnieje (pieczętka w paszporcie z tego kraju blokuje przekroczenie granicy), stopniowo staje na nogi. W stolicy w błyskawicznym tempie budowane są nowe drapacze chmur, na ulicach obok pamiętających lata 80. niemieckich mercedesów widać coraz więcej luksusowych aut.

Libańska lira oparta jest na kursie dolara i to właśnie z Amerykanami, w kontrze do Rosji, swoje nadzieje na stabilność wiąże duża część mieszkańców. Wszyscy mają jednak świadomość, jak krucha jest obecna równowaga. „Rozmaite społeczności, stanowiąc bogactwo tego kraju i decydując o jego oryginalności, nasuwają jednocześnie trudne do rozwiązania problemy. Dla wszystkich mieszkańców tej ziemi życie w Libanie jest jednak wspólnym zadaniem” – powiedział Jan Paweł II podczas pielgrzymki w 1997 r. O jego słowach się pamięta, a wizerunek papieża obecny jest w wielu miejscach kultu. Warto odwiedzić je samodzielnie, bo historie Polaków i Libańczyków mają ze sobą zaskakująco wiele wspólnego. ©©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Podatkowy kult młodości

Lekarz stażysta (27 lat), pracujący w publicznej służbie zdrowia, zarabia 2369 zł brutto. 4700 zł brutto zacznie zarabiać, gdy już będzie robił specjalizację, co zajmie mu – w zależności od wybranej specjalności – nawet do sześciu lat. Gdy już w wieku ok. 30 lat zrobi specjalizację, może liczyć na „całe” 6750 zł brutto. Efekt? Zamykane kolejne oddziały szpitalne, nawet te najbardziej potrzebne w każdym mieście – porodówki. Lekarz bowiem, który chce jeszcze od czasu do czasu widywać własną rodzinę,

została zgwałcona przez pacjenta. W cieniu wielkich i medialnych dramatów codziennie rozgrywają się jednak te mniejsze, bardziej banalne. Niedługo zostaniemy bez lekarzy, bo nie domagamy się od polityków pochylenia się nad ich postulatami, a gdy walczą o nie zbyt skutecznie, łatwo dajemy się poszczuć przez nieodpowiedzialnych propagandystów władzy.

Wszyscy ci lekarze, także ten nieborak stażysta na głodowej pensji ledwie przekraczającej minimalne wynagrodzenie za pracę, będą musieli od swoich pensji odprowadzić 18-procentowy podatek dochodowy, bo przekroczyli 26. rok życia. Tymczasem rząd uznał właśnie, że jako państwo stać nas na zwolnienie części podatników z podatku dochodowego, ale ze wszystkich możliwych kryteriów, które mógł przyjąć, wybrał to najgłupsze – wieku. Ulga podatkowa będzie więc przysługiwała osobom, które w życiu i tak mają stosunkowo najlżej, bo najczęściej nie są jeszcze obciążone własną rodziną. 27-letni lekarz będzie więc odprowadzał podatek od swojej skromnej pensyjki, ale już 20-letni sprzedawca

będzie mógł zarobić bez podatku nawet 85 tys. zł rocznie. Pewnie jest w tym jakaś logika, ale ja jej nie dostrzegam. Poza logiką roku wyborczego – znowu trzeba komuś coś dorzucić, więc w tej kampanii dokarmiamy wyborczą kielbasą młodych. Podatkowe premiowanie roku urodzenia wydaje mi się wyjątkowo absurdalne. Jednak kto bogatemu zabroni?

Prawnicy już zwracają uwagę, że zaproponowane rozwiązanie będzie polem ogromnych nadużyć, bo „bezpitowcy” staną się najłatwiejszym sposobem na robienie kosztów w działalności gospodarczej. Zatrudniam 20-letnią córkę kuzynki na maksymalne zwolnione z PIT wynagrodzenie i obniżam w ten sposób swój podatek – banalnie proste, łatwe do przeprowadzenia, trudne do wykrycia. Kwestią czasu jest więc wprowadzenie jakichś zaostreżeń i wyposażenie inspekcji pracy oraz służb wszelakich w dodatkowe uprawnienia, aby skutecznie walczyć z oszustwami, o jakie fiskus sam się prosi. Nie wątpię jednak, że wyborczo i ten produkt z PiS-owskiej wyborczej masarni się opłaci. ©©

„Bezpitowcy” staną się najłatwiejszym sposobem na robienie kosztów w działalności gospodarczej

na lekarskim etacie w publicznej służbie zdrowia może na nią po prostu nie zarobić. Najbardziej dramatyczny przykład zapaści w służbie zdrowia to niedawny dramat 15-letniej dziewczynki, którą po zamknięciu oddziału dziecięcego w szpitalu psychiatrycznym położono na oddziale dla dorosłych, gdzie

PODSŁUCHANE

Marketingowa strategia

No i jak, Patryk, podrzuciłeś Kaczorowi scenariusz?

Grzesiek, wszystko jak krew w piach. Ja już nie wiem, co robić.

Ale przecież Kaczor powiedział, że hejt...

Coś tam powiedział, bo ktoś mu coś widocznie streścił. Raz

powiedział i tyle. A miał cały czas gadać i się wściec. Na tym budowaliśmy strategię marketingową.

No, ale scenariusz...

Człowieku! Najpierw wysłałem kurierem na Nowogrodzką. To wróciło nieotwarte, że niby pomyłka. Potem kazałem podrzucić Brudzińskiemu na wycieraczkę w Szczecinie. Że wiesz, on doniesie prezesowi. A moi ludzie mi potem mówią – ten tylko okiem rzucił i zaczął tym grilla podpalać. Rozumiesz?!

No to w końcu sam zawiozłem na Żoliborz, cichutko, nad ranem, położyłem na wycieraczkę i czekam. Kaczor rano, widzę, drynda z kubelkiem do śmietnika, a z kubelka scenariusz wystaje. Zapakowany.

Fatalnie. Jak Kaczor cię jeszcze nie zareklamuje, to będzie kłapa.

Wiem. Ale już pomysłu nie mam.

Patryk – pomysł to tam na pewno gdzieś jest, tylko trzeba go znaleźć. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Dowody w sprawie wypadku Szydło uszkodzone. A to dopiero początek. Wkrótce zaczną się znajdować dowody winy w sprawach wytaczanych przeciwnikom PiS”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze



fot. Jerzy Gumowski

Oszczer 2

Kościół zasłużonego licznymi donacjami oraz fundacjami (prof. Tadeusz Grudziński: „Szczególnie wymowny w tym względzie jest fakt odprawiania modłów za duszę Bolesława w katedrze krakowskiej, na miejscu rzeckiej zbrodni”).

Poziom scjentyczny cotygodniowych popularyzatorskich przepisywań historiograficznych pana Komudy ma jakoś dowodzić, że woda jest mokra, tymczasem jego umiejętności polemiczne są zawężone do przemilczania argumentów adwersarza lub ich lakonicznego zbywania. Weźmy mój pasus z „Oszczera” wzmiankujący, że w pras-kim Archiwum Państwowym leżą dokumenty świadczące, iż biskup Stanisław „był na stałym wysokim żołdzie zawziętego wroga Polski, czeskiego króla Wratysława”. Oto jak Komuda odniósł się do tego: „«Kwity» na św. Stanisława w Pradze? Może od razu w IPN?” I to wszystko, kropka — głupawe tandetne szyderstwo (typowe dla nienawidzących IPN-u salonowców) zamiast kontrargumentów, taki jest poziom fechtunku pana Komudy. Cała jego pseudopolemika skła-



Henryk Elzenberg:

„Pomnij, że sąd laika,
gdy mówi o dziele,
o dziele mówi mało
— o laiku wiele”



da się z analogicznych trików. Jego główne dictum stanowi gładzenie, że istnieją historycy (wymienił jednego: Franciszka Sielickiego), którzy się z nim zgadzają co do „sodomii” królewskiej. Zwołennicy poglądu, że Ziemia jest płaska (tzw. „płaskoziemcy” — „flat-earthers”) mają więcej współwyznawców, już pierwsze zdanie ich statutu mówi z rozbrajającą logiką: „Stowarzyszenie Płaskiej Ziemi zrzesza miliony ludzi na całej kuli ziemskiej”. Logika Komudy jest tego samego rodzaju, stąd motto niniejszego mojego tekstu (będące cytatem z pism wybitnego polskiego bibliotekarza XIX-wiecznego, Henryka Elzenberga) świetnie do pseudopolemisty pasuje.

Komuda — niepomny faktu, że biskup Stanisław ze Szczepanowa został skazany zarówno przez sąd królewski, jak i sąd kościelny (sąd arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, co potwierdza bulla papieża Paschalisa II), tudzież tej okoliczności, że hierarchowie Kościoła krakowskiego „obudzili się” w kwestii martyrologii biskupa po prawie 200 latach (prof. Włodzimierz Dzwonkowski: „... gdy postać Stanisława stała się potrzebna Kościołowi dla walki z państwem”) i wówczas spłodzili oszczerczą fałszywkę — swoją „polemiką” trochę rozszerzył zakres idiotycznych oskarżeń wobec monarchii: do lanso-

wanych przez siebie wcześniej pederastii i zoofilii dodał rzekomą nienawiść społeczeństwa wobec króla. To nonsens, przecież temu różne świadectwa, z których ja szczególnie cenię przekaz „postmortalny”. Kilka lat po śmierci Bolesława otruli jego syna Mieszka ci sami proczesy/proniemieccy spiskowcy, którzy wykończyli ojca. Gall Anonim: „Cała Polska tak oplakiwała tego chłopca, jak matka śmierć syna — jedynaka. Thumy nieprzebrane z całego kraju lamentowały, postępując z placem za marami zmarłego. Wsieńnicy rzucali plugi, pasterze trzody, rzemieślnicy warsztaty, robotnicy wznoszone domy — kto mógł przerywał wszelkie zajęcia, umartwiając się z bólu za tym małoletnim Mieszkiem. Nawet dzieci niedorosłe, służebnicy i niewolni uczcili pogrzeb dzieciaka łzy szczere lejąc”. Polskie kroniki nie notują drugiego takiego żalu, nawet po zgonie koronowanego monarchy. Ergo: całe społeczeństwo, a zwłaszcza biedny lud, zapłakiwało się po śmierci królewicza, którego prawie nikt w Polsce nie znał (krótko przed otruciem wrócił on z Węgier). W oczywisty sposób świadczy to o miłości do pamiętanego sprzed kilku lat Bolesława (monarchy, którego według Galla cechowała „wieloraka zacność i szczodrość”), jaką lud przełał na jego dziecko, marząc, iż kiedyś Bolesławowy syn zasiądzie na tronie i sprawi, że ponownie zapanuje sprawiedliwość. Jaki inny wniosek można wysnuć z przekazu Galla? I jak się tłumaczy świętość Stanisława wobec tego morza plebejskich łez?

Dzisiaj już nikt nie czyta książek, lecz w minionym stuleciu przez całe dekady dorastający oraz młodzi — dorośli ludzie pierwszą swą wiedzę o konflikcie między Bolesławem Śmiałym a krakowskim biskupem czerpali z powieści Karola Bunscha „Imiennik” (1949 — tom 1 „Śladem pradziada”, tom 2 — „Miecz i pastoral”). Gdy ja w „Wyspach bezludnych” twardo zaatakowałem kościelny antyBolesławowy PR — Bunsch roku 1987, przeczytawszy moją książkę, sięgnął po maszynę i zaczął pisać do mnie list, gratulując mi odwagi, a także ubolewając, że jemu niegdyś jej zabrakło: „To, co napisałem w «Imienniku», napisałem wbrew sobie, chciałem i Panu Bogu świeczkę, i diabłu ogarek! Pan Bóg po to dał człowiekowi rozum, żeby człowiek sam się nim posługiwał (...) Jak Pan słusznie zapewne przypuszcza, był Stanisław nie tylko zdrajcą, ale i schizmatykiem, który przeszedł na stronę antypapy, za co zasądził go synod, a Bolesław wyrok wykonał...”. Bunsch nie dokończył tego listu, zmarł nad maszyną w trakcie pisania. Jego córka przysłała mi tę kartkę, dodając: „Miło mi, że ostatnie pisane słowa mojego ojca panie były dla Pana”.

W swoim pseudopolemicznym tekście Komuda palnął tylko jedno zdanie mające trochę sensu: „Łysiak uprawia typową dla siebie «łysiakizację» historii Polski”. To prawda, a „łysiakizacja” już od z górą pół wieku polega na defalsyfikowaniu dziejów ziemi ojczystej. ©

Waldemar Łysiak

Kilka tygodni temu opublikowałem w tym miejscu felieton pod tytułem „Oszczer”, karcąc Jacka Komudę za jego paszkwilanki wobec króla Bolesława Śmiałego/Szczodrego tekst „Święty gromi króla sodomie”, na co Komuda odparł inseratem podtrzymującym kalumnijne tezy i próbującym zdeza-wuować mnie jako autora parającego się historiografią. Wytknął mi m. in. brak znajomości aktualnych prac naukowych dotyczących konfliktu między królem a biskupem Stanisławem ze Szczepanowa („Łysiak mentalnie zatrzymał się na początku lat 70.”), sugerując tym, że wybitni polscy historycy przez 200 lat (1780–1980) pletli głupstwa, które nauka późniejsza sprostowała, pewnie dzięki jakimś nowo odkrytym świadectwom/dokumentom, nie był jednak łaskaw wskazać choćby jednego. Jednego! A jeżeli tak — jeżeli baza źródłowa nie zmieniła się ani o jotę — to wszystko co się pisze jest mieleniem spekulacji dawno już zmilionych przez świat nauki tysięcy razy. Zderzają się i będą zderzać interpretacje antyBolesławowe z anty-Stanisławowymi i vice versa, lecz zawsze karygodnym będzie brak krytycyzmu wobec szkalującego procedurę, bez względu na to czy jest on medialny, czy też aktualny. Istnieje takie amerykańskie powiedzonko: „Opinie są jak dziura w dupie, każdy ma inną”. Co nie znaczy, że każda jest słuszna. Opinia Komudy — że Bolesław Śmiały uprawiał „sodomie” — nie jest słuszna, gdyż jest paszkwilanka, na jej poparcie ma on zero dowodów.

Komudę, gdyby miał w łepetynie trochę oleju, winno zastanowić dlaczego polski Kościół (krakowski zwłaszcza) prawie 200 lat nie wnioskował o martyrologiczną świętość Stanisława i nie uważał króla za „zabójcę biskupa”, a także nie kontestował stwierdzeń najbliższego wydarzeniem kronikarza, Galla Anonima (1116), że biskup był zdrajcą. Prof. Aleksander Brückner: „Jeżeli episkopat Polski XII wieku nie zaprotestował przeciwko Gallowym oskarżeniom, to i nam nie zostaje nic innego, jak tylko poprzestać na tym samym, jeśli nie chcemy rzeczywistości dla fantazji poświęcić”. Ale to właśnie czyni Komuda, dla którego zaskoczeniem będzie pewnie informacja, że jak dowiodły badania prof. Zofii Kozłowskiej-Budkovej (przejrzała ona skrupulatnie średniowieczne europejskie zapiski nekrologiczne, „anwersze”) — w polskich i cudzoziemskich centrach kościelnych gorąco się modlono za duszę zmarłego Bolesława, tak bardzo dla

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



**NOWOŚĆ
W PRENUMERACIE**



W PREZENCIE
KSIĄŻKI

PAWEŁ LISICKI
„GRÓB RYBAKA”

TOMASZ TERLIKOWSKI
„PADRE JAREK OD ŚW. SZARBELA”

~~656~~ zł



241,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
417 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl